

Robert Cichowlas

Efemeryda

dedykuję Kazimierzowi starszemu

Kazimierz Kyrzcz Jr

a ja maleńkiemu Hubertowi

Światło prosto w oczy

Trochę mocno bije

Nie chcę widzieć ani słyszeć cię

Prawda mnie zabije

Tak się boję bólu, Closterkeller

Rozdział 1

Taryfa była tak rozklekotana, że Artur Gałęcki przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy w ogóle do niej wsiąść. Gdy zatrasnął drzwi, w jego nozdrza wdarł się cierpki odór potu i dymu tytoniowego. Zwalczył pokusę, by zadzwonić po inną taksówkę. Przeważyło jednak pragnienie znalezienia się jak najdalej od ławicy i jak najbliżej czekającego w lodówce sześciopaku. Poza tym perspektywa spędzenia kolejnych długich minut w upale była niezbyt pociągająca. Jakoś przeboleje pół godzinki

w tym cholernym pudle na kółkach, wszak życie to nieustanne pasmo wyrzeczeń, jak zwykł mawiać ojciec, Panie święć nad jego...

— Na Stablewskiego — rzucił, kładąc na kolanach dużą kwadratową teczkę pilota.

Łysiejący taksówkarz poruszył się na siedzeniu i mrugnął coś pod nosem. Z karku ściekał mu pot. Stał go dłonią, porośniętą tak gęstą szczeciną, że spokojnie wystarczyłoby jej na kilka pędzli do golenia.

— Od Głogowskiej czy Lodowej? — spytał. Ton głosu sugerował, że w razie niewłaściwej odpowiedzi wyciągnie zza pazuchy pistolet i strzeli klientowi w łeb.

— Może być od Głogowskiej. Wsiądę przy kościele.

— Jak pan sobie życzy.

Gdy silnik podjął pracę, Artur musiał zatkać palcami uszy, by nie ogłuchnąć. Nie był przewrażliwiony na punkcie hałasu. Ryk gigantycznych silników, także tych odrzutowych, znosił dzielnie, odkąd ukończył szkołę dla pilotów, ale — na litość boską! — wycie motoru zdezelowanej taksówki ćwiartowało mózg! Pośpiesznie zasunął szybę i z ulgą stwierdził, że zrobiło się nieco ciszej.

— Panu nie gorąco? — zdziwił się taksiarz, wjeżdżając w ruchliwą Bukowską. Biegi zgrzytały za każdym razem, gdy je zmieniał. Gałęcki z narastającym przerażeniem patrzył, jak facet szarpie kierownicą, wyprzedzając śmieciarkę. Miał na końcu języka pytanie o wysokość łapówki,

jaką musiał wręczyć za załatwienie przeglądu technicznego, ale powstrzymał się od złośliwości. Taksjarsz wyglądał na socjopatę, a tacy raczej nie mają poczucia humoru.

— Nie — odparł krótko, po czym przetłknął ślinę. Była ciepła i lepka jak glut. Marzył o chmielowej pianie. Najpierw jednak musiał dotrzeć do domu w jednym kawałku. Przypadkiem zawieszając wzrok na lusterku wstecznym, uświadomił sobie, że taryfiarz sonduje go przenikliwym spojrzeniem. Stali w korku nieopodal ronda Kaponiera, gdy błyszcząca od potu gęba taksówkarza nabrała osobliwego wyrazu.

— Wracamy z wakacji, hę? — zagaił. Zabrzmiało to jak zarzut, a uśmiech zadedykowany pasażerowi nie znamionował ani odrobiny sympatii.

— Proszę? — mruknął Artur, nieco zbity z tropu.

— Z wa-ka-cji. Z Majorki, Tunezji czy innej wyspy świętego spokoju, gdzie snoby wygrzewają sobie tyłki w promieniach słońka. Widać, że miał pan ciężką podróż.

Co, turbolencje? — Taksjarsz roześmiał się, ubawiony własnym dowcipem, którego Gałęcki nie załapał.

— Nie byłem na wakacjach — odparł, zastanawiając się, kiedy Tunezja z państwa przeistoczyła się w wyspę.

— Tylko w pracy.

— W pracy? Ohoho, panbyznesmen! Aktóweczka, te rzeczy. Takich jak pan rozpoznaję od razu.

— Takich jak ja?

— No, byznesmenów.

— Czemu uważa pan, że miałem ciężką podróż?

— Sapie pan jak lokomotywa, że normalnie pogadać nie idzie.

Gałecki westchnął z udręką. Korek nie malał. Upał także. Na lewym pasie młoda i całkiem ładna blondynka zawzięcie katowała klakson fiesty. Kiler w spódnicy, pomysłał, obserwując jej wydatny biust i przypominając sobie, co ostatnio czytał o badaniach amerykańskich naukowców, którzy udowodnili, że poziom agresji u kobiet jest wprost proporcjonalny do wielkości ich piersi. A do tego uparta jak muł, sądząc po ciągłych ruchach warg. Z całą pewnością przeklinała. Zupełnie jak Beata. Ona też do jednego zdania wypowiedzanego w furii potrafiła wtrącić niezliczoną ilość „chujów” i „kurew”. Odrażające. Artur odwrócił głowę. Blondynka nie była w jego typie.

— Ja pierdołę, zafajdany korek! — wypalił taksjarsz, aż Gałecki podskoczył na siedzeniu. — Panie byznesmenie, obawiam się, że trochę postoiimy. Albo na Kapo-
nierze był wypadek, albo znowu sygnalizacja się spierdoliła.

— Nie jestem biznesmenem.

— Że co?

— Nie jestem biznesmenem, proszę pana.

Taksjarsz odwrócił się i spojrział na Artura zaskoczony.

I mokry od potu, zupełnie jak wyjęte z wrzątku jajko. Na

jego krzaczastych brwiach gromadziły się błyszczące w słońcu kropelki.

— Ciekawe... Więc kim?

Na pewno nie idiotą jak ty! — pomyślał Gałeczki, walcząc z narastającą frustracją. Jeszcze trochę i rzuci miechem. Spokojnie, daj sobie na luz, chłopie. Za chwilę będziesz w domu. Za cholernie długą chwilę...

— Pilotem — odrzekł.

Kierowca wybałuszył oczy, po czym ponaglony wyją-
cym klaksonem, wrzucił jedynkę i przejechał kolejnych kilka metrów. Gałeczki poczuł satysfakcję. Zaskoczył go-
ścia. Może teraz wreszcie da mu spokój. Niestety, tary-
fiarz najwidoczniej miał w sobie niewyczerpane pokłady ciekawości.

— Pilotem? Od jak dawna?

A co cię to, kurwa, obchodzi?! — chciał wrzasnąć, ale powstrzymał się. Zamiast tego wyjaśnił, zgodnie z prawdą:

— Od dziesięciu lat.

— Na czym pan lata? Na tych dużych?

— Ma pan na myśli boeingi czy airbusy? A może hugh-
esa? — w głosie Artura pojawiła się nutka złośliwości.

— Te pierwsze. O tamtych nigdy nie słyszałem.

— A więc na tych pierwszych.

— Nieźle, nieźle. A niech mi pan powie, trudno pro-
wadzi się takiego bo... be... wie pan, takiego kolosa?

— Sterowanie boeingiem to dość skomplikowana ope-

racja — odparł ogólnikowo. Nie miał ochoty ciągnąć tematu. Ostatnie sześć godzin spędził w powietrzu i wolał nie gadać o pracy. Cieszył się, że resztę dnia spędzi w domowym zaciszu. Wyśpi się, napije piwa, wieczorem może spotka ze znajomymi. Cokolwiek się wydarzy, nie będzie to związane z robotą.

— Kiedy kolejny lot? — nie dawał za wygraną taksjarsz. Szczęrzył do Gałęckiego zęby, nieustannie obserwując go w lusterku.

— W środę.

— Dokąd tym razem?

— Dublin.

— Dublin? To we Francji?

— O ile mi wiadomo, w Irlandii.

— Kawał drogi! Latał już pan w te strony?

— Zdarzało się.

— Biją tam naszych?

— Nie mam pojęcia.

Gałęcki zastanawiał się, na ile pytań będzie jeszcze zmuszony odpowiedzieć, zanim uwolni się od tego wścibskiego debila. Taksjarsz wyraźnie zmienił do niego stosunek. Miejsce sarkazmu zajęła irytująca dociekliwość. Z radością zauważył, że korek wreszcie nieco się rozluźnił. Dojechali do ronda Kaponiera, po czym skręcili w Roosvelta, gdzie dostrzegli przyczynę gigantycznego zatoru na drodze.

— Zdaje się, że grubsza afera — osądził kierowca, zjeżdżając na prawy pas. Lewy blokował wagon tramwaju linii numer czternaście, który wypadł z szyn na skrzyżowaniu. Dookoła roiło się od wozów policyjnych i strażackich, które z kolei blokowały dwa inne pasy. Jeden z funkcjonariuszy wymachiwał rękoma tak szybko, jakby zamiast kierować ruchem, odganiał od siebie róższerszeni.

— Ciekawe, ilu rannych, co?

— Bo ja wiem — bąknął Artur, niecierpliwie oczekując sygnału ze strony mundurowego, który pozwoliłby im zostawić w tyle cały ten uliczny bajzel. — Może tylko się stuknęli?

— Nie, panie, na pewno są ofiary. To pechowa krzyżówka — ciągnął z zadowoleniem taksówkarz. — W ostatnim miesiącu było tu pięć albo i więcej wypadków. Prawie zawsze trupy... Albo chociaż ranni...

Nadjechały dwie karetki na sygnale, z których wyskoczyło kilku rostrych sanitariuszy. Najniższy z nich, a zarazem najbardziej mobilny, podbiegł do wagonu, by zniknąć w jego przeszklonym wnętrzu.

— Ranni są, na bank — triumfował taksjarz. Reagując na znak, że może jechać, wduślił gaz do dechy. Przd gabloty niemal uniósł się w powietrze. — Nie chciałbym tkwić teraz w tym wagonie. Za gorąco. Stanowczo za gorąco — stwierdził, po raz stutysięczny ocierając pot z karku.

Artur dziękował Bogu, że Głogowska jest przejezdna. Miał wrażenie, jakby przeniósł się w czasie i wylądował w komorze gazowej. Nigdy więcej taryfą do domu, poprzysiągł sobie. Przynajmniej nie taką. Był sfrustrowany i zły. I nieco przestraszony, choć nie miał pojęcia, z jakiego powodu. Może to nadciąga depresja albo starość, zażartował w myślach, usiłując poprawić sobie humor. Bezskutecznie. Wziął kilka głębszych wdechów, ale i to na niewiele się zdało. Nogi bolały go tak okrutnie, jakby dopiero co odbył na kolanach pielgrzymkę do Jasnej Góry. Ucisk w żołądku, z początku ledwie wyczuwalny, wzrastał się. Coś było nie tak, choć za cholerę nie mógł się zorientować, co takiego. Mimo że wydawało się to niemożliwe, pocił się coraz obficiej, a na domiar złego ręce rozdygotały mu się jak pijakowi w delirium tremens.

— No i prawie jesteśmy — zakomunikował radośnie taryfiarz, włączając kierunkowskaz. — Stanąć koło kościoła, nie?

— Poproszę. — Artur przetknął ślinę, marząc o zimnym prysznicu. Jeszcze kilka minut i to marzenie wreszcie się spełni. Znów przechwycił w lusterku sondujące spojrzenie kierowcy.

— Piekielnie gorąco, co? Moja stara dostaje szału od tego upału. Łazi po domu nago, wyobrazasz pan sobie? Dzień w dzień. Koszmar, szczerze mówiąc. Jak nie przestanie, odpłacę jej tym samym.

Pilot opuścił szybę i do kabiny wdarło się trochę rozgrzanego nad patelnią asfaltu powietrza. Najgorsze miał już za sobą, dzięki Bogu. Home, sweet home! Koniec durnej zabawy w Milionerów. Pokrzepiony tą myślą, wydobyl z kieszeni spodni portfel i zapłacił za kurs.

— Reszty nie trzeba, dzięki.

— To ja dziękuję! — Po dziesięciozłotowym napiwku taksiarz ożywił się jeszcze bardziej. — Skoro pojutrze wyrusza pan w rejs, życzę szerokich lotów i wąskich dziewczyn, he, he, he!

Artur kiwnął głową i otworzył drzwi. Gdy postawił nogę na chodniku, znowu odezwał się ten dokuczliwy ciężar w żołądku. Matko Boska, ja się rozpadam, jęknął w duchu, po czym z trudem wysiadł.

— Wszystko gra? — zainteresował się taryfiarz.

— Tak, to ten upał. Paskudny.

— Co racja, to racja! Jeszcze raz szerokich lotów życzę! — Przerwał na moment, następnie uśmiechnął się.

— A może powinienem życzyć połamania skrzydeł, co?

Jak pan myśli?

Gałecki nie odpowiedział. Walcząc z osłabieniem, poczłapał w stronę trzypiętrowej kamienicy naprzeciw kościoła. Na klatce schodowej zatrzymał się. Drżały mu ręce. Wciąż oblewał się potem. Coś jest nie tak, pomyślał. Skąd ten strach, i przed czym? Skąd wewnętrzne rozdygotanie? Co wyprowadziło go z równowagi? Usiłował so-

bie przypomnieć. Lot do Egiptu i z powrotem był spokojny i nijaki jak festiwal poezji śpiewanej. Musiał co prawda wysłuchać przerywanych łkaniem zwierzeń jednej ze stewardes o jej byłym, który poszedł do łóżka ze swoim kolegą z pracy, ale nie było to aż tak traumatyczne przeżycie. Znał faceta i zawsze podejrzewał, że jest gejem. Trochę go to zaszokowało, jednak w żadnym razie nie mogło tak na niego wpłynąć.

Wspinając się po wyłobionych tysiącami stóp schodach, przypomniał sobie ostatnie zdanie taksówkarza. Gość życzył mu połamania skrzydeł. Artur zmarszczył brwi. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego analizuje słowa durnego kierowcy. Czemu wyświetlały się na ekranie jego wyobraźni niczym olbrzymi neon, potęgując jeszcze drżenie dłoni?

Przystanął na półpiętrze, przytrzymując się poręczy. — Szlag by trafił! — zaklął, co nie zdarzało mu się często. Od zawsze uważał, że wulgaryzmy są oznaką słabości. Pod wpływem impulsu odwrócił się i uważnie zlustrował klatkę schodową. Mógłby przysiąc, że ktoś go obserwuje. Przenikliwie, z zajadłą wrogością. Nie dostrzegł nikogo. To nerwy, tłumaczył sobie. Jesteś zestresowany. Potrzebujesz odpoczynku. I piwa. Piwa przede wszystkim. Wiedział jednak, że to, co czuje, nie jest zwyczajnym strachem, towarzyszącym niekiedy pilotom. Wielokrotnie tuż przed startem oślizły maż lęku wślizgiwał mu

się do przełyku albo zagnieźdżał w żołądku. Zdarzało się, że po szczęśliwym lądowaniu odnosił wrażenie, iż miał fuksa, przecież coś mogło pójść nie tak, jak powinno, a wtedy zginąłby w katastrofie wraz z dwoma czy trzema setkami pasażerów. Do tej pory zawsze radził sobie z lękiem, ale ten, który dopadł go teraz, był jakiś inny. Zrodzony ze złych przeczuć, nicował jego pewność siebie i wciąż rósł. Skąd się wziął? Gałęcki był doświadczonym pilotem, odpornym na stres, opanowanym, podejmującym właściwe decyzje, dlaczego więc zachowywał się tak, jakby ta chlubna przeszłość nie miała znaczenia? Czy wszystkie jego pilotażowe dokonania są warte tyle, co kilo stłuczki?

Zaciskając zęby, pokonał jeszcze kilka stopni, następnie przystanął. Nie! Nie da się opętać przez głupi strach. Chrzanić go! Chrzanić tę przereklamowaną intuicję, znaki i zabobony.

Irytacja dodała mu sił. Zebrał się w sobie i w kilka sekund wbiegł na ostatnie piętro. Zdyszany, ale szczęśliwy, że jego mordęga za moment się skończy, wydobył z aktówki klucze i otworzył drzwi. Skarcił się za kretyńskie myśli.

Co w ciebie wstąpiło? Gdzie podział się twój nieomal przyśłowiowy spokój, gdzie, jakże cenne, opanowanie? Zapomniałeś o nich? Idiota! Lepiej, żeby to się więcej nie powtórzyło, jasne? Halo? Zrozumiałeś, zakuta pało?

— Tak jest, tato — odpowiedział sobie na głos, zdej-

mując marynarkę i wieszając ją na podarowanym przez Beatę mahoniowym wieszaku. Nagle zatęsknił za nią. Intensywnie, nieomal do bólu. Musiał przyznać, że umiała zaskakiwać, nie tylko w kwestii prezentów. Niewysoka, szczupła, o bajecznym biuście i najdrobniejszych, zarazem najjędrniejszych pośladkach, jakie dane mu było pieścić. Dosiadała jak mało kto, miłość francuską potrafiła uprawiać o każdej porze dnia i nocy, a i w hiszpańskiej nie miała sobie równych. Istny demon seksu. Wyciskała z niego wszystkie soki... Przez blisko dwa lata, po których oznajmiła, że to koniec.

— Mam dość, Artek. Ciągłe latasz, widujemy się w przelocie. Podjęłam już decyzję.

Tak, w podejmowaniu decyzji też była dobra. I w ich realizowaniu. Wyniosła się dwa dni po tej rozmowie. Nie zatrzymywał jej, choć serce wrzeszczało, by coś zrobił, cokolwiek. A może to jego mały wrzeszczał? Całkiem możliwe. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma sensu walczyć. Zapewne postawiłaby mu ultimatum: natychmiastowy ślub i zmiana trybu życia albo rozstanie. Pokłóciliby się. Znowu. Na sto procent. Zresztą, nie miał zamiaru rezygnować z pracy pilota, a ona nie była osobą, którą można mieć bajkami.

Wszedł do kuchni. Na stole leżała kartka z informacją od pana Zenka, który pod jego nieobecność doglądał mieszkania. Podlewał kwiaty, wietrzył, czasami nawet

odkurzał. Wszystko to za flaszkę raz w tygodniu. Dzięki ci, Panie, za tego świętego człowieka, mruknął Gałeczki, odczytując bazgroły. Ich treść wprawiła go w lepszy nastrój. „Rozmroziłem lodówkę. Zmroziłem browar. Wszystko gra i śpiewa”.

Pierwszą puszkę opróżnił kilkoma haustami. Drugą sączył łyżeczek po łyżeczku, delektując się smakiem. Dopiero wtedy uświadomił sobie, jak bardzo zgłodniał. Zwykle w takich chwilach zamawiał pizzę, lecz tym razem postanowił podzielać sam. Marzyła mu się jajecznicza na boczku z kilkoma grubymi plasterkami pomidora. Do tego trzecie piwo. A potem czwarte, piąte i szóste.

Boczek niestety zzieleniał. Szynka również. Wyciągnął z lodówki masło i pół tuzina jajek i zabrał się do dzieła. Wkrótce wszystkie te cudowności znalazły się na patelni. Gdy sięgał do szafki po sól, zastygł na moment w bezruchu. Półka z przyprawami wisiała w zupełnie innym miejscu niż dotąd, czyli obok szafki z talerzami i miseczkami. Otwierając szafkę, w której powinny znajdować się talerze i miseczki, dostrzegł pojemnik z tabletkami wszelkiej maści, kiedy zaś otworzył tę, w której powinny być lekarstwa, wyszczerzyły się do niego zębiska uśmiechniętego od ucha do ucha kucharza z nieotwartej jeszcze torebki pieprzu.

Co tu jest grane?!

Zastanawiał się przez chwilę, czy przypadkiem coś

mu się nie pomyliło, ale nie, zdecydowanie nie. Ktoś poprzekładał rzeczy w szafkach. Tylko kto i po co, u licha? Jego konsternacja nasiliła się, gdy uzmysłowił sobie, że ze ścian poznikały kalendarze i obrazki w drewnianych ramkach. Właściwie to niezupełnie poznikały. Widocznie dostały nóg, bo zawisły w przedpokoju, zaraz przy wieszaku na kurtki.

— Co jest... — Podszedł do ściany i przyjrzał się obrazkom tak wnikliwie, jakby podejrzewał, że zaraz ożyją, by wzorem zabłąkanych wróbli fruwać po mieszkaniu.

Czyżby Zenek je przewiesił? Ale po co?

Dostrzegł coś jeszcze. Szafki na buty też były przedstawiane. Nie stały już jedna przy drugiej, tuż obok lustra, lecz w przeciwległych kątach przedpokoju. Wchodząc do mieszkania, jakimś cudem to przeoczył. Z trudem opanowywał wzbierającą falę irytacji. Bardzo wysoko cenił sobie pomoc sąsiada, lubił go za niewyczerpane pokłady życzliwości i uczciwość, ale coś takiego...? To już przesada!

Wkroczył z powrotem do kuchni i spojrzał na patelnię z przypaloną jajecznicą. Odechciało mu się jeść.

Najpierw zadzwoni do Zenona i zapyta, co mu strzeliło do łba, aby przemeblowywać mieszkanie.

Miał właśnie sięgnąć do kieszeni po komórkę, gdy rozległ się dźwięk, który wprawił go w jeszcze większe zdumienie. Z rozdziawionymi z zaskoczenia ustami podszedł do kuchenki gazowej i przez dobrą minutę wpatry-

wał się w gwizdzący czajnik. Tajemniczy gość, który przewiesił kalendarze i obrazki, a do tego przemeblował przedpokój, zachował się jeszcze bardziej nieodpowiedzialnie, wstawiając wodę na gaz i zapominając o tym!

Skręcił palnik i pośpiesznie wybrał numer Zenona.

Odczekał kilka sekund, zanim nastąpiło połączenie.

— Witam... — odezwał się, gdy usłyszał zachrypłe „halo” po drugiej stronie.

— Witam, panie kapitanie! — niemal wykrzyczał do słuchawki sąsiad. — Miło słyszeć. Jak się udał lot?

— Dzięki, jakoś poszło — odparł bez specjalnego entuzjazmu. — Panie Zenonie, świetnie, że zajął się pan moim mieszkaniem. Mam jednak pytanie. Czy wstawiał pan wodę na gaz?

Sąsiad zamilkł na moment, wyraźnie zaskoczony.

— Co? — odezwał się wreszcie. — Wodę? Na gaz?

— Ktoś włączył palnik...

— Chyba pan żartuje! Zresztą, gdybym nawet to zrobił, byłoby już raczej po zawodach.

Artur chrząknął. Miał wrażenie, jakby chłodny wietrzyk przeleciał mu po plecach, przyprawiając o gęsią skórkę.

— Słucham?

— Ostatni raz odwiedzałem pańskie gniazdko wczoraj wieczorem — tłumaczył cierpliwie Zenon. — Chodzi mi o to, że gdybym wtedy wstawiał wodę na gaz, to dzisiaj nie miałby pan mieszkania, tylko pogorzelisko...

Gałecki milczał, próbując zebrać myśli.

— A szafki w przedpokoju? — spytał wreszcie. —

Przestawiał je pan?

— Ja? — obruszył się Zenon. — Proszę nie robić sobie ze mnie jaj! Nie teraz. Stłukłem właśnie wazonik, który moja żona dostała od pierwszego męża, wie pan, tego prawnika, co wyjechał do Brukseli, i zaraz rzuci mi się do gardła. Jak tak dalej pójdzie i jak zaraz się nie zamknie, to ją ukatrupię!

Gałecki postanowił dać za wygraną. Drażnienie tematu najwyraźniej nie miało sensu.

— Cóż, chyba mamy podobne nastroje.

— Panie Arturze. Trochę żartowałem z tym ukatrupieniem. Wie pan, jakie są baby, nawet świętego wyprawdzą z równowagi...

— Taaa.

— Kiedy kolejny lot?

— Pojutrze.

— Zatem niech pan będzie spokojny o badyle. A z tym czajnikiem to rzeczywiście dziwna sprawa. Może sam pan wstawiał wodę na gaz po powrocie do domu... Tak machinalnie, co?

Przez moment rozważał tę sugestię... ale tylko przez moment. Nie przypominał sobie, aby dotykał czajnik.

— Skleroza, znaczy? — mruknął niewyraźnie.

— Zgadza się. Podobno nie boli, ale każdemu się przy-

plące, prędzej czy później. Panu, jak widać, prędzej...

— Miłego dnia, panie Zenonie. Jeszcze raz dziękuję za opiekę nad kwiatami.

— Nie ma sprawy. Zawsze do usług.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, podczas której Zenon dyszał do słuchawki, natomiast Artur, przygryzając wargę, kombinował, jak zadać ostatecznie pytanie w taki sposób, by nie wyjść na niewdzięcznego upierdliwca.

W końcu wypalił:

—Yyy i jeszcze coś. Tych małych obrazków w drewnianych ramach, które wisiły w kuchni, nie przewieśli pan przypadkiem do przedpokoju?

Sąsiad bez słowa przerwał połączenie.

Chyba powinienem być sobie darować, pomyślał

Gałecki.

W szufladzie, w której trzymał dokumenty, znalazł dwie konserwy i długopis, a w koszu na brudną bieliznę kilka płyt CD. Meble w sypialni też były poprzestawiane. Nakastlik stał nie po prawej, lecz po lewej stronie łóżka, a szafę na ubrania jakiś nadpobudliwy duszek przesunął o dobry metr. Stolik z telewizorem przewędrował trochę bliżej do komody, jakby w pragnieniu rozprawienia się ze swoją samotnością.

— Zwariuję — wymamrotał Artur. Kto, do ciężkiej cholery, miał tak spaczony poczucie humoru, by zabawiać się jego kosztem? Zenka można było raczej skreślić z listy po-

dejranych. Po tym, jak zadał mu ostatnie, dość niefortunne, pytanie, a następnie usłyszał milczącą, ale wymowną odpowiedź, był nieomal stuprocentowo pewny, że sąsiad nie miał nic wspólnego z wędrowną sprzątaczką.

Beata, niespodziewanie zaświtała mu w głowie. To do niej podobne. Ile razy robiła porządki w jego szafie, tłumacząc, że powinien sprawić sobie drugą? Ilekroć grzebała mu w ciuchach, nie potrafił potem odnaleźć się w tym jej „ładzie”. Zdarzało się, że kierując się kompletnie poronionymi regułami Feng Shui, przestawiała mu meble. „Skarbie, nie sądzisz, że teraz jest ładniej? I dużo zdrowiej?” — pytała piskliwym głosikiem Myszki Mickey, oczekując aprobaty, którą grzecznie okazywał, choć akurat niespecjalnie podobały mu się jej aranżacyjne pomysły, a newage'owe brednie, którymi szafowała, rozśmieszały go do łez.

Szczeniara, nie dość, że poszła w długą, to jeszcze pod moją nieobecność buszowała mi po chacie! Bezcelna siksa!

Wściekły niczym kobra szykująca się do ataku, wybrał numer swej eks. Odebrała niemal natychmiast.

— Tak?

— Beata?

— Artur?

— Cześć.

— Cześć. W czym rzecz?

W czym rzecz?

— To chyba ja powinienem o to zapytać.

— O co?

— Przemeblowałaś moje mieszkanie.

Parsknęła śmiechem. Nieoczekiwanie wyobraził sobie jej słodkie karmelowe sutki, uwięzione pod delikatnym materiałem skąpego biustonosza. Skarcił się w duchu, ale wizja nie chciała się rozwiać. Prawie widział swe drżące z podniecenia dłonie, pieszczące krągłości, a potem odpinające stanik. Język penetrujący...

Dość!

— Że niby co?!

Potrafiłaby doprowadzić do szału najspokojniejszą istotę na tym przeklętym globie, tego był pewien. Postawiłby na to całą swą wypłatę.

— Czy ja mówię po chińsku?

— Możliwe, bo kompletnie cię nie rozumiem.

— Nie musisz się tego wypierać. Powiedz, czego szukałaś.

— Artur, pojechało cię? Chyba przez to frutowanie tam i z powrotem głowica ci się przegrzała!

— Nie musisz mi teraz prawić komplementów... i odwracać kota ogonem.

— Kota ogonem?! — wybuchła. — Powinieneś się leczyć!

— Zdaje się, że zabrałaś wszystkie swoje szpargały.

Więc czego szukałaś?

Westchnęła głośno.

W nowej wizji Artur rozwierzał jej pośladki, by wejść w nią od tyłu. Nie potrafił poskromić tych myśli. Brakowało mu seksu. Wciąż był oczarowany Beatą. Przypominał sobie chwile, kiedy jego ciało potrafiło w dosłownym znaczeniu stwardnieć i...

Opanuj się, powtarzał sobie w duchu. Inaczej para pójdzie ci z uszu. Wybuchniesz. Ekspłodujesz na kwintylion kawałków...

— Ty naprawdę sądzisz, że myszkowałam u ciebie?

Może mi zatem łaskawie wytłumaczysz, w jaki sposób miałabym się tam dostać, co? O ile dobrze pamiętam, zwróciłam ci klucze. Poza tym, zastanów się sam, czego miałabym u ciebie szukać? Pieniądzy, które trzymasz w banku?

Zatkało go. Nie z powodu jej riposty. Przypomniał sobie, że rzeczywiście zwracała mu klucze. Nie wyzbył się jednak podejrzeń.

— Nie dorabiałaś? — zapytał. Mimo wszystko miał chęć zaprosić ją na kolację. Ale powstrzymał się. Raz, że z pewnością by odmówiła, a dwa, chciał być fair w stosunku do Mai. Między nimi wyraźnie coś iskrzyło.

— Zwariowałaś, Arturze — skwitowała Beata. — Nie mam ochoty z tobą gadać. Do widzenia.

— Poczekaj...

Połączenie zostało przerwane. Cóż, summa summarum mogłoby być gorzej, prawda? Mógłby na przykład rozkleić się i zacząć ją błagać, by do niego wróciła, mógłby zaproponować jej kasę za zrobienie mu loda, mógłby...

— Jasny szlag! — warknął, rzucając aparat na łóżko.

Podszedł do otwartego okna. Padało. Ciężkie od spalin powietrze powoli się oczyszczało, dzięki czemu oddychanie stawało się łatwiejsze. Zamiast jednak delektować się spadkiem temperatury, nie mógł przestać myśleć o tym, co się stało z jego mieszkaniem. Może powinien zadzwonić na policję? Szybko zrezygnował z tego pomysłu. Nic nie skradziono ani nie uszkodzono. Niepotrzebnie wystawiłby się na pośmiewisko.

Usiadł na skraju łóżka i westchnął. Kto jeszcze posiadał klucze od mieszkania? Nikt. Do niedawna zapasowy komplet miała Beata, ale jak słusznie zauważyła, oddała go krótko po ich rozstaniu. Jego matki też nie można było brać pod uwagę. Musiałaby przejechać pół Polski, a wcześniej pokonać Alzheimera i uciec z domu pogodnej jesieni.

Może naprawdę zaczynał wariować? Może eks-dobrze mu radziła, sugerując wizytę u psychiatry? W końcu ktoś te meble poprzestawiał, prawda? I ktoś przewiesił obrazki z kuchni do przedpokoju. Ktoś wstawił wodę na gaz... Czyżby on sam? Kompletny absurd!

Przeciągnął skrzydłem okna, raz i drugi, wstał więc z ociąganiem, zamknął je, spuścił rolety i ruszył do

przedpokoju. Przez moment obserwował obrazki w drewnianych ramach, które powinny wisieć w kuchni. Jeden z nich przedstawiał zasmuconą dziewczynkę o blond włosach i mocno podkrążonych oczach. Patrzyła na Gałkeckiego nieruchomym spojrzeniem, od którego ciarki przebiegały po plecach. Z oczu dziecka wзираło nie-me błaganie o litość, którego nigdy wcześniej nie dostrzegł. Na innym obrazku młody labrador pędził leśną ścieżką. W pysku trzymał sporą gałąź, która jednak, mimo rozmiarów, wydawała się dla zwierzęcia lekka jak piórko. Typowa chałtura, ot co.

Artur przetknął ślinę, porwał z wieszaka marynarkę i wyszedł z mieszkania z nadzieją, że szklaneczka czegoś mocniejszego w pubie Pod Płaczącą Wierzbą naprowadzi jego podejrzenia na właściwe tory.

Nagle żołądek skurczył mu się do wielkości gnijącego jabłka, włosy się zjeżyły, na czoło wystąpiły kropelki potu. Dojmujące przecucie nieszczęścia, przecucie, że wkrótce stanie się coś przerażającego, nieomal pozba-
wiło go tchu.

Zadygotał, zaciskając zęby.

Co mogło się wydarzyć w najbliższej przyszłości?

Strach, choć ma wiele twarzy, nie jest realny, powtarzał sobie w myślach. Każdy pilot miewa podobne stany, nawet tato miewał.

Pojutrze leciał do Dublina. Zapowiadali kiepską po-

godę. Ale to drobiazg. W końcu po co wprowadzono system ILS na lotniskach?

Był w doskonałej formie. Jak mógł w to wątpić?

— Chrzanię... — syknął, opuszczając kamienicę. Mimo wszystko nie mógł wyzbyć się wrażenia, że coś wisi w powietrzu. Jakieś fatum, które tylko czeka na odpowiedni moment, by się ujawnić.

Nie wiedział jeszcze, kto miał być drugim pilotem.

Miał nadzieję, że nie będzie to żaden żółtodziób. Chciał kogoś doświadczonego, wiedzącego, jak zachować się za sterami w trudnych sytuacjach.

Gałecki schodził wolno po schodach, z natężeniem wpatrując się w przestrzeń klatki schodowej.

Bał się.

* * *

Oddychając przesiąkniętym dymem powietrzem, zastanawiał się, czy nie wykręcić się od najbliższego lotu.

Miał pełne prawo od czasu do czasu dać sobie na luz.

Nikt by się nie czepiał. Wystarczyłoby powiedzieć, że nie czuje się na siłach, że rozkłada go grypa. Nie poniósłby z tego tytułu żadnych konsekwencji. To oczywiste, że pilot przed rejsem musi być zrelaksowany, wypoczęty i w pełni władz umysłowych. Z drugiej jednak strony — czy miał zrezygnować z lotu z powodu złych przeczuć? Zaraz na dzień dobry przepuścił blisko stówę na automatach, które miały go zrelaksować, a które zamiast

tego perfidnie ogołociły z floty.

— Cienko coś dzisiaj... — skomentował jakiś nieznamy i Artur przez dłuższą chwilę walczył z chęcią przyłożenia mu w mordę.

Nie wdając się dyskusje, zajął stolik przy oknie oferującym widok na szarą i cichą ulicę Limanowskiego, kwintesencję bylejakości. Ulica, jakich mnóstwo. Patrzysz i zapominasz o niej natychmiast, gdy znajdziesz się na następnej, równie nijakiej.

Zamówił Jamesona z colą. Czekając na drinka, dumał o swym niezbyt wesołym położeniu. Z głośników porzmiewał kawałek Red Hot Chili Peppers — przez moment wsłuchiwał się w prościutki tekst. Choć niemal wszystkie stoliki w pubie były zajęte, panował względny spokój. Nikt nie pokrzykiwał przy barze ani nie toczył piany z pyska.

Podziękował śniadej kelnerce za napitek, po czym obserwując, jak dziewczyna się oddala, upił dwa łyki. Niezła sztuka, choć trochę zbyt mięsista, podsumował, natychmiast rugając się za swój komentarz. To jednak było silniejsze od niego. Kobiety zawsze odgrywały w jego życiu ważną rolę. Wiedział, jak z nimi rozmawiać, a one lubiły go słuchać. Czy raczej lubiły, kiedy on ich słuchał. Zwłaszcza Maja, urocza stewardesa, z którą często latał. Była młoda, niezwykle ponętna, o specyficznym poczuciu humoru. Zastanawiał się, czy przydzielili jej lot

do Dublina. Miał nadzieję, że tak.

Dwadzieścia minut później wlał w siebie ostatnią kropelkę drinka i przywołał kelnerkę. Gdy podeszła, zlustrował ją uważnie. Zdecydowanie nie była w jego typie. Zbyt długie paznokcie, w dodatku pomalowane na brązowo, krótkie włosy, za mocno nażelowane. Do tego małe piersi, wielkości suszonych moreli. Na stare lata będzie płaska jak spód żelazka.

— Podać coś czy rachunek? — zapytała oschle. Kultura z pewnością nie była jej drugą naturą.

— Rachunek—odparł, czując, że kręci mu się w głowie.

— Mocny ten wasz jameson — dodał nieco bełkotliwie.

— Miewał pan lepsze dni, co?

Spostrzegawcza, pomyślał, spoglądając jej w oczy.

Małe, głęboko osadzone i bardzo ciemne, bynajmniej nie dodawały jej uroku.

Wzruszył ramionami.

— Bywało lepiej.

— Może kawy? — zdobyła się na uprzejmość.

— Nie, dzięki. Dosyć na dzisiaj.

— Jak pan chce.

— Pani nowa?

— Słucham? — Zatrzepotała rzęsami, porywając dwudziestozłotowy banknot. — Dzięki, reszta dla mnie?

— Niech stracę — uśmiechnął się słabo. — Pytałem, czy pani jest tu nowa.

— Och, tak, to dopiero mój drugi dzień. A pan? Stały bywalec?

— Można tak powiedzieć.

Miał właśnie wstać, gdy naprzeciw niego usadowił się mężczyzna w średnim wieku i zapytał, czy wolne.

— Jasne, właśnie wychodzę.

Kelnerka odeszła od stolika, tymczasem nieznajomy pochylił się w jego stronę i zaczął nawijać:

— Kompletnie popierdolony dzień, panie. Najpierw podprowadzili mi walizkę z dokumentami, ważnymi dokumentami, a potem o mały włos nie wpadłem pod tramwaj na Ratajach. Masakra.

Artur zerknął na mężczyznę, po czym westchnął. Co jak co, ale nie był w nastroju do wspierania kogokolwiek na duchu.

— Proponuję drinka — powiedział. — Do zobaczenia.

— Już pan idzie? Tak szybko? — zapytał nieznajomy. Rozczarowaniem pobrzmiwającym w jego głosie można by z powodzeniem obdzielić stado bankrutów. —

Napijmy się razem...

— Właśnie skończyłem.

— Papieroska, cygaro?

— Nie palę.

— Nawet marysieńki?

Gałecki potarł spocone czoło.

— Nawet — odrzekł i wstał od stolika.

— Mówię panu, to był popierdolony dzień! Szedłem ulicą, a przerażenie dosłownie mnie dusiło. Widok tych wszystkich ludzi... — facet przerwał na moment, aby zaczerpnąć tchu, bezceremonialnie łapiąc pilota za łokieć. — Oni byli kompletnie zdeformowani, rozumie pan? Wszyscy. Mieli nieproporcjonalnie duże głowy, chropowatą skórę, pokrytą jakimiś wągrami... Ale nie takimi zwykłymi wągrami. Były wielkie jak piłki! I pękały! Kurwa mać!

Gałecki próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, co jeszcze mu się dzisiaj przytrafi. Atak Marsjan? Powódź stulecia? Wyszarpnął rękę z uścisku natręta, ten jednak, zaaferowany opowieścią, nawet tego nie zauważył.

— Niektórzy wyglądali, jakby mieli raka. Wie pan, ostatnie stadium, gdy choroba zżera co się da. Moja matka zmarła na raka. Na koniec też tak wyglądała. Jak ci wszyscy ludzie. Szkielet obciągnięty skórą, nie inaczej. Gdy do stolika podeszła kelnerka, mężczyzna uśmiechnął się do niej szeroko i powiedział coś, czego Artur nie był w stanie dosłyszeć, gdyż dopadał właśnie do wyjścia z knajpy.

* * *

Na klatce schodowej panował mrok, więc po omacku odszukał kontakt i zapalił światło. Nie miał pojęcia, ile czasu spędził w pubie, ale najwyraźniej dobre dwie albo i trzy godziny, skoro słońce dawno już zaszło. Na półpiętrze coś zaskrzypiało. Pewnie pani Grześkowiakowa,

pomyślał. Miała siedemdziesiąt osiem lat i słuch osiemnastolatki. Wścibskie babsko, które zawsze wtykało nos w nie swoje sprawy. Wiecznie przyczajona przy drzwiach, otwierała je prawie za każdym razem, gdy ktoś korzystał ze schodów. Byłaby cennym nabytkiem dla każdej służby bezpieczeństwa.

— Późno pan wraca — usłyszał pełną nagany uwagę staruszki, zanim jeszcze zdołał dostrzec ją samą.

— Powinna się pani położyć, skoro tak późno — odparował, bardziej wściekły z powodu popapranego dnia niż bezczelności Grześkowiakowej.

— Jutro się wyśpię.

— Świetnie. Pogratulować.

Gdy mijał jej mieszkanie, w szparze między krawędzią drzwi a futryną dostrzegł pociągłą, pokrytą zmarszczkami twarz o tępych spojrzeniu. Na starość ludzie stają się tekturowi, pomyślał.

— Dobranoc, karaluchy na noc — powiedziała z niezwykłą jak na nią wylewnością.

Zatrzymał się na moment i obrzucił kobietę czujnym spojrzeniem. Co za idiotka, skomentował w duchu.

— I wzajemnie, droga sąsiadko. Niech mi pani powie, która jest godzina?

Odparła z marszu, patrząc mu prosto w oczy.

— Zbliża się północ. Godzina duchów.

— Północ?

Coś się starej ewidentnie pokiełbało.

— Za chwilę wybije. Lepiej niech pan uważa.

— Jasne. Będę uważał — mruknął, ruszając na ostatnie piętro. Kiedy był już prawie u celu, zgasło światło.

— Cholera — jęknął, na wszelki wypadek chwytając poręcz balustrady.

Po omacku odszukał włącznik. Wduszał plastikowy przycisk do oporu, raz za razem, jednak żarówki pozostały martwe. Wygrzebał z kieszeni pęk kluczy i przynajmniej minutę celował jednym z nich w dziurkę. Spocony przekręcił klucz, ale drzwi nie ustąpiły. Przypomniawszy sobie, że zamykał je również na górny zamek. Po kolejnych długich sekundach zabawy w ślepego klucznika wreszcie trafił.

Odetchnął z ulgą, postąpił krok naprzód i wyrzucił czołem w coś twardego.

Zamarł, czując, jak pulsują mu skronie.

Przyłożył dłoń do głowy. Bolało jak diabli.

Wzrok powoli zaczął przyzwyczajać się do ciemności. Wtedy dostrzegł futrynę, w którą uderzył. To nie mogło być naprawdę. Nie mogło...

Z armią mrówek rażno maszerującą po plecach i obłędem w oczach pochylił się i ostrożnie, by znów nie zawadzić łbem w belkę, wszedł do mieszkania.

Zapalił światło w przedpokoju i stanął jak wryty.

Sufit znajdował się zaledwie kilka centymetrów nad

czubkiem jego głowy, w dodatku był szary i zasnuty pajęczynami. Ze ścian złuszczała się farba, a podłogę pokrywał bury, wytarty dywan. Szafki na buty zniknęły, ich miejsce zajęły stare rowery z powyginanymi szprychami i zardzewiałymi ramami. Lustro chowało się pod grubą warstwą kurzu, a jego czarna plastikowa rama w ogóle nie przypominała tej, którą kupił dawno temu na wyprzedaży w antykwariacie i która tak bardzo podobała się jego znajomym.

Pod butami chrzęścił gruz, który sypał się z sufitu jak jakieś wojenne konfetti.

To sen, pomyślał Gałeczki ledwie powstrzymując się od płaczu. Pierdolony, jebany, kurewski sen!

Pomylił mieszkania. Po prostu. Wszedł nie na trzecie, a na drugie piętro i wtarabanił się do dziury Kasperskiego. Facet chlał dzień w dzień. To musi być jego nora.

Kiedy jednak wyszedł z powrotem na klatkę, zamiast dostrzec schody prowadzące na ostatnie piętro, ujrzał balustradę.

— Nie... — wyszeptał. — Niemożliwe. To jakaś pomyłka...

Nie ulegało wątpliwości, że znajdował się na trzecim piętrze. A przypominający zapuszczoną melinę lokal należał do niego.

Przeskakując po kilka stopni naraz, zbiegł na pierwsze piętro, omal nie spadając ze schodów na drugim i zapukał

do drzwi Grześkowiakowej. Uściślając, załomotał w nie jak wariat, jakby właśnie doganiały go piekielne zastępy.

Usłyszał szuranie i czyjeś oko zerknęło przez wizjer.

— Zwariował pan? — usłyszał nieco stłumiony głos staruszki. — Jest środek nocy.

Artur puścił tę informację mimo uszu.

— Musi pani pójść ze mną — wydusił, z trudem odychając. — Proszę.

— Niby gdzie, u diabła? Spałam. Obudził mnie pan.

— Przecież dopiero co rozmawialiśmy.

— Co? O czym?

— O duchach — ciągnął Artur, zły i zmieszany zarazem. — Radziła mi pani, abym uważał. I posłuchałem.

Naprawdę.

Staruszka najwyraźniej cierpiała na zaniki pamięci, bo nie wydawała się przekonana.

— Pan zwariował, nie?

— Po prostu proszę zobaczyć, co stało się z moim mieszkaniem.

Kobiecina uchyliła szerzej drzwi i posłała mu zaniepokojone spojrzenie.

— Pan robi ze mnie wariatkę?

Nie czekając na odpowiedź, cofnęła się w głąb przedpokoju, by po chwili pojawić się z okazałą dwururką w rękach. Trzymała ją w rękach niczym wytrawny strzelec.

— Pamiątka po moim mężu, niech mu ziemia lekką

będzie — wyjaśniła, widząc pełną niedowierzania minę Artura.

Pilot nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

— Nie... Nie wiem, czy to będzie konieczne — wydukał, rozkładając ręce w geście wyrażającym pełną bezradność. — Proszę, niech pani po prostu pójdzie ze mną i sama zobaczy.

Sąsiadka wahała się jeszcze, ale wreszcie ciekawość przeważała szalę.

— A prowadź pan.

Wspięli się na ostatnie piętro. On dosłownie w kilka sekund, Grześkowiakowej — co dziwne — nie zajęło to dużo więcej czasu.

— Nie ma tu światła? — zapytała, mierząc z dubeltówki w ciemność klatki schodowej.

— Nie działa. Niech pani spojrzy... — Słowa utknęły mu w gardle, a oczy omal nie wyskoczyły z oczodołów. Staruszka zmierzyła go surowym spojrzeniem i z godną pozazdrosczenia odwagą przekroczyła próg.

— Coś z nim nie tak? — rzuciła przez ramię, podchodząc do wieszaka na ubrania, obok którego wisiał obrazek w drewnianej ramce. Przyjrzała mu się.

— Całkiem ładna dziewczuszka — skomentowała. —
Zupełnie jak żywa.

Pilot pociągnął nosem, ze wszystkich sił walcząc o pozostanie przy zdrowych zmysłach. Otworzył usta, aby wy-

jaśnić, że przed momentem jego mieszkanie było zapadłą dziurą, że zamiast szafek stały jakieś zdezelowane rowery, ale nie potrafił. Niepewnie spuścił wzrok, aby sprawdzić, czy podłoga również odzyskała właściwy fason.

Odzyskała. A niech to jasny...

Grześkowiakowa odwróciła się do niego i zapytała

ze zniecierpliwieniem:

— Dowiem się wreszcie, o co chodzi? Dziwny pan jakiś. Chyba nie zaciągnął mnie pan tutaj, aby zgwałcić, co? Panie Gałęcki? Do czego to doszło. Wygląda pan, jakby zobaczył upiora! Wszystko gra? Panie Gałęcki?

Rozdział 2

Port Lotniczy Ławica, któremu całkiem niedawno nadano imię wirtuoza skrzypiec Henryka Wieniawskiego, ma ponad dwupółkilometrowy pas startowy, dzięki któremu nie tylko wiele średnich, ale i całkiem dużych maszyn, takich jak Boeing 757 czy 767, może tam swobodnie startować i lądować. Do nielicznych mankamentów Ławicy należy położenie, a konkretnie fakt, że sąsiaduje z trzydziestą pierwszą Bazą Lotniczą Poznań-Krzesiny — lotniskiem, które posiada drogę startową o podobnej długości, przez co zdarzają się głupie pomyłki. Gałęckiemu nigdy nic takiego się nie przytrafiło, ale kilku jego znajomych zamiast na Ławicę poleciało właśnie na Krzesiny. Biedacy stawali się później pośmiewiskiem całej obsługi naziemnej.

Tak czy inaczej, Artur darzył to lotnisko szczególną

sympatią. Właśnie tu poznał Maję Lawendowską, wyjątkowo miłą stewardesę, która ostatnio wyraźnie zainteresowała się jego osobą. Maja była jedną z tych kobiet, w których towarzystwie zapomina się o wszelkich troskach. Cierpliwa, o opiekuńczym usposobieniu, potrafiła skutecznie uspokajać zarówno tych trzęsących się ze strachu pasażerów, dla których dany lot był pierwszym spotkaniem z podniebnymi przestrzeniami, jak i zatwardziały awiofobów, których wykonywany zawód zmuszał do częstego „wtaczania” się na pokład. Nie bez znaczenia był i ten szczegół, że Maja należała do najpiękniejszych spośród wykonujących wspomniany zawód pań, co już samo w sobie wysoko podnosiło poprzeczkę. Długie kasztanowe włosy, duże brązowe oczy, nieskazitelnie białe zęby, pełne i skore do uśmiechu usta... Wszystko to stanowiło zaledwie kilka z wielu jej fizycznych atrybutów. Miała metr sześćdziesiąt dziewięć wzrostu, a jej idealna figura była tematem wielu pogawędek nie tylko koleżanek po fachu, ale i pilotów. Także Gałęckiego, który od momentu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, z najwyższym trudem powstrzymywał się od flirtu. Nie przyznałby się do tego, ale fakt pozostawał faktem — Maja jawiła mu się jako partnerka idealna nawet wtedy, gdy był jeszcze w związku z Beatą.

Los lubi płatać figle. Kilka miesięcy później, po długiej podróży z Wysp Kanaryjskich, opuścił kabinę pilo-

tów i ujrzał ją stojącą przy drzwiach w przedniej części pokładu. Uśmiechała się szeroko, włosy rozwiewał jej hulający po pasie startowym wiatr. Ot, scena rodem z taniego romansidła. Mimo to zakotwiczyła się w jego pamięci i pojawiała tak często, że momentami nie mógł skoncentrować się na wykonywanych czynnościach. Zmarszczyła wtedy niewinnie brwi i oznajmiła, że powinni się lepiej poznać, a on wiedział już, że zostaną przyjaciółmi. Zaprosił ją na kawę do niewielkiej knajpki w pobliżu Ławicy. Przez blisko dwie godziny rozmawiali o lataniu i niezwiązanych z nim pasjach. Powiedziała mu, że jest jedynaczką i że rodzice bardzo przeżyli jej decyzję o zostaniu stewardesą. Opowiadała o swoich najdłuższych lotach, zwierzyła mu się również, że chciałaby zostać pilotem. Odparł z celowo ponurą miną, że to nie najlepszy pomysł, bo przy jej urodzie z łatwością mogłaby zostać top modelką i zarabiać krocie za każdą sesję zdjęciową. Parsknęła śmiechem, zabawnie marszcząc przy tym swój lekko zadarty nosek.

Nie da się ukryć, że samo to, iż potrafi ją rozśmieszyć, działało na jego zranione męskie ego niczym najlepszy z balsamów.

Kiedy więc dowiadywał się, że mają wspólny lot, wpadał nieomal w euforię. Była jedyną dziewczyną z jego otoczenia, na którą miał tak wielką ochotę, że zaciągnąłby ją do łóżka przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Może i mógł, może ona właśnie tego pragnęła, ale... No właśnie — speprzenie czegoś na dzień dobry jest dziecinnie proste, a naprawienie tego bywa niewykonalne. Oto kolejne mądre słowa ojca Gałęckiego, które rozbrzmiewały mu w uszach za każdym razem, gdy na horyzoncie pojawiała się Maja.

Turlając się steranym autobusem na lotnisko, miał wreszcie czas, by sprawdzić wiadomości. Włączył komórkę, a kiedy ciekłokrystaliczny ekranik ożył, wybrał numer poczty głosowej. Zadrżał, słysząc jej głos. Nie ukrywała zadowolenia ze wspólnego lotu do Dublina. Zasugerowała też, że liczy na to, iż okaże się dżentelmenem i zaprosi ją na kawę, gdy już dotrą na miejsce.

I właśnie wtedy znów poczuł się nieswojo. Cały poprzedni dzień spędził w mieszkaniu, rozmyślając o ostatnich wydarzeniach. Nie potrafił ich racjonalnie wyjaśnić, więc by ukoić nerwy, zapakował się do łóżka. Obudził się w środku nocy, w pościeli wilgotnej od potu, spłoszony, roztrzęsiony. Miał koszmar, w którym Grześkowiakowa najpierw oznajmiła mu, że jest świr i idiota, a następnie zaprowadziła go do jakiegoś mieszkania, gdzie nakazała, aby zaczekał w pomieszczeniu, które nazwała kuchnią, choć w żadnym szczególe jej nie przypominało.

Raczej ciemną i zimną piwnicę. Gdy został sam, nagle wokół zaroilo się od ogromnych szcurów, które tarły nosami o jego łydki, kopulując ze sobą i wydając przy tym

najzupętniej ludzkie jęki rozkoszy. Gdy sąsiadka wróciła, osłupiał. Staruszka była kompletnie naga. Obwiste ciało pokrywały strupy, niektóre pękały z cichym szelestem, inne dosłownie eksplodowały. Z ran tryskała krew i ropa. Z odrazą patrzył, jak staruszka rozchyła nogi, a z jej pochwy wyłania się wielki czarny szczur z pyskiem wykrzywionym w ironicznym uśmiešku.

Nigdy nie miał koszmarów. Nawet w dzieciństwie.

Więc skąd...?

Miał wrażenie, że wszyscy w autobusie bacznie go obserwują. Może nawet śledzą? Wtedy kobiecy głos poinformował, że za moment będzie mógł zapoznać się z kolejną wiadomością. Dopiero gdy w słuchawce rozbrzmiał głos Szymona Krzyżanowskiego, choć wciąż zaniepokojony, Artur doszedł do siebie na tyle, by zapanować nad drżeniem rąk. Krzyżanowski był drugim pilotem. Poznali się jeszcze na studiach i od tamtych czasów wciąż utrzymywali ze sobą kontakt. Wiadomość dotyczyła ich wspólnego lotu do Girony, który przypadał pojutrze. Oznaczało to, że po przylocie z Dublina, z marszu ruszał w kolejny rejs. Nie był tym szczególnie zachwycony, ale przynajmniej będzie miał okazję pogadać ze starym druhem. W ostatnich miesiącach, przytłoczeni nadmiarem obowiązków, widzieli się zaledwie raz czy dwa na lotnisku, gdzie zamienili kilka słów, po czym — zgodnie z rozpiską — każdy parł do swojej maszyny.

Niepokój niespodziewanie odpłynął, gdy odsłuchał trzecią wiadomość.

— Przepraszam, że tak na ciebie wyjechałam — mówiła ze skrucłą Beatą. — Miałam akurat zważony humor, wiesz... Mam nadzieję, że przy następnej okazji pogadamy na spokojnie. Ja... eee... chciałabym, żebyśmy mimo wszystko pozostali przyjaciółmi.

— Srały muszki, będzie wiosna... — fuknął pod nosem.

Autobus zatrzymał się pod terminalem lotniska. Mięła dziesiąta. Artur wziął głęboki wdech. Za godzinę i piętnaście minut miał zasiąść za sterami. Ta myśl przeraziła go bardziej niż roznegliżowana Grześkowiakowa z sennej mary.

* * *

Po przedstartowej zewnętrznej kontroli samolotu wspiął się po schodach na pokład, gdzie zastał Maję i Claudię Stones. Dyskutowały zażarcie po angielsku na tyłach maszyny. Jako że diametralnie różniły się zarówno charakterami, jak i poglądami, można było odnieść wrażenie, że lada chwila wydrapią sobie oczy. Nic bardziej mylnego.

— Na co mi to było? — obruszyła się Claudia. Tego

dnia spięła swe długie ciemne włosy w koński ogon.

Ogromna zielona spinka w kształcie czterolistnej koniczy rzucała słoneczne refleksy za każdym razem, gdy we wzburzeniu potrząsała głową. — Mogłam skończyć studia i zostać na ziemi. Pomyśleć, że męczyłam się dwa

miesiące na kursie, a teraz ciągle wysłuchuję, jak ważne jest zaangażowanie i profesjonalizm... Stewardesa to wizytówka firmy, bla, bla, bla... Jasne! Chęć przygód... Kto by pomyślał, że wpakuję się w takie gównno! Podróże? Chyba do sklepu bezcłowego i z powrotem!

Zbuntowany anioł, pomyślał Artur, nie przerywając im rozmowy.

Majka wydeła policzki w wyrazie dezaprobaty.

— Jeśli tak bardzo chciałaś przesiadywać w domu, mogłaś zostać krawcową, gosposią, zająć się szydełkowaniem czy czymś w tym stylu... — odparła. — Czemu pchałaś się na stewardesę?

— Czemu?

— No?

Claudia zawahała się na moment, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— No wiesz, jak byłam mała, miałam cztery, może pięć lat, leciałam z rodzicami do RPA. Mój ojciec podpisał akurat kontrakt na budowę linii kolejowych w Afryce... Z tego wszystkiego najlepiej zapamiętałam śliczne panie, które chodziły po pokładzie samolotu i rozdawały cukierki. I postanowiłam, że też taka będę...

— Śliczna to rzeczywiście jesteś — uśmiechnęła się Maja, dodając z udawaną powagą: — Gorzej z tymi cukierkami.

Claudia parsknęła śmiechem.

— Bardzo śmieszne! — wymierzyła oskarżycielsko palec w przyjaciółkę, nie przestając przy tym chichotać.

Artur był pełen podziwu wobec ich wzajemnych relacji. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z kobietami tak różnymi od siebie, a jednocześnie potrafiącymi tak znakomicie się dogadywać.

Nie znał zbyt dobrze Claudii. Słyszał tylko tyle, że wychowała się w londyńskiej Chelsea i że jej starym świetnie się powodziło. Sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie, podczas lotów raczej nie wdawała się w dyskurs z pasażerami, o ile to możliwe, ograniczając się jedynie do zwrotów grzecznościowych i instruktażu. A w obecności Mai rozgadywała się jak mało kto. Potrafiły trajkotać godzinami.

Kiedy go zauważyły, stojącego przy drzwiach do kabiny pilotów, zamilkły. Można by pomyśleć, że go obgadują. Może wcześniej rzeczywiście on był na tapecie?

— Cześć — powiedział.

— Cześć — odparły równocześnie, po czym Maja zapytała: — Ładnie to tak podsłuchiwać? Kaczka sprawdzona?

— Pokład wypucowany? — zripostował.

— A jakże, wielmożny panie. Pierwszy autobus z pasażerami podjedzie za kwadrans, więc może napijemy się kawy?

— Przykro mi, ale mam jeszcze sporo...

Wyczuła, że jest spięty. Przy jej spostrzegawczości nawet najmniejsze niuanse nastroju nie mogły pozostać

niezauważone.

— Wszystko w porządku?

Popatrzył na nią przenikliwie, mając ochotę opowiedzieć jej o wszystkim, co przytrafiło mu się w ciągu ostatnich dwu dni. Cóż, nie było na to ani czasu, ani warunków.

— Oczywiście, jak zawsze. Gdzie reszta naszej brygady? Wszyscy są na posterunku?

— John siedzi w kabinie...

— Domyślam się, że John siedzi w kabinie. A chłopaki?

— Pewnie lada chwila się doczołgają. Dopiero co skończyli poprzedni rejs...

— Dobrze, że nie mieli opóźnień.

Claudia zniknęła na moment w toalecie. Korzystając z tego, że zostali sami, Maja przysunęła się do Artura i zapytała ściszym głosem:

— Co z tobą?

— Długo by gadać.

— Wyglądasz jak trup.

— O! — otworzył usta, udając zaszokowanego tą niebywałą impertynencją hrabiego, by natychmiast wyjść ze swej roli i lekko zmierzić jej włosy. — Ty też, tyle że sto razy ładniejszy od gnijącej panny młodej.

— Chcesz o tym pogadać?

— O czym?

— Nie drocz się ze mną.

Westchnął przeciągle.

— Prawdę mówiąc, bardzo. Ale nie teraz. Lecę do Johna, bo zamartwi się na śmierć. Jeśli w Dublinie wybierzesz się ze mną na kawę, to obiecuję, że chętnie...

Uśmiechnęła się na znak, że się zgadza.

— Pewnie.

— Świetnie, więc jesteśmy umówieni na kolejną randkę.

Szturchnęła go w bok, a zaraz potem — jakby w ramach zadośćuczynienia — stanęła na palcach i cmoknęła w policzek.

* * *

John Everson był drugim pilotem, niezwykle ambitnym i uwielbiającym swoją pracę. Kiedy Gałęcki dowiedział się, że polecą razem, nieco się uspokoił. Everson niejednokrotnie sadzał Boeingi 737 w wersji osiemset na pasie i robił to po mistrzowsku. Znał się na rzeczy, a jego awans na kapitana wydawał się kwestią najbliższych tygodni.

John, podobnie jak Claudia, urodził się w Anglii, ale szybko wraz z rodzicami przeprowadził się do Stanów Zjednoczonych. Studiował tam historię współczesną. Zanosilo się nawet, że będzie się doktoryzował i poświęci się karierze naukowej, po czym zaskoczył najbliższych decyzją o tym, że zostanie pilotem. W ekspresowym tempie ukończył kurs pilotażu, następnie prywatną lotniczą szkołę w San Francisco. W przeciągu kilku lat po otrzymaniu dyplomu latał już na cessnach, a trochę później zajął prawy fotel pierwszego oficera. Podobnie jak Gałęcki,

cechował się niezwykłym opanowaniem.

— Witaj przystojniaku — wyszczerzył się na jego widok. — Dasz mi słodkiego buziaka na szczęście?

— Spadaj — uciął Artur, otwierając teczkę, by jeszcze raz przejrzeć posegregowane mapy i tabele.

— Zająłem się już wklepaniem danych do kompa i nawigacją — ciągnął Everson. — Wszystko gra.

— Świetnie.

Nad głową Gałęckiego setka przełączników czekała na ich odpowiednie potraktowanie. Gdy z nimi skończył, zajął się następną setką kontroltek i wskaźników. Rutowana robota, niewymagająca szczególnego skupienia. Dobry moment na plotki i opowiadanie sobie kawałów. Dziś jednak milczał, spięty. Czuł ściekający po szyi pot. Było mu duszno. Sprawdził klimatyzację. Działała.

— Wszystko okej? — zapytał John.

— Tak. Tylko trochę tu gorąco.

— Dwadzieścia jeden stopni.

Artur zerknął na termometr. Przełknął ślinę. Coś było cholernie nie w porządku. Wyrzął przez okno i dostrzegł autobus z pasażerami, podjeżdżający pod schody samolotu. Po chwili uformowała się przed nimi całkiem pokaźna kolejka. Pewnie Maja zapraszała właśnie wszystkich na pokład.

Przekonywał samego siebie, że obawa przed startem i przeczucie, iż wydarzy się coś złego, wynika z nad-

miernego stresu, lecz w głębi duszy wiedział, że to coś innego, nieuchwytnego.

Spojrzał na zegarek.

Pod samolot podstawiono drugi autobus. Pasażerowie z pierwszego zajmowali już swoje miejsca. Słyszał ich głośnie rozmowy.

Everson zamienił kilka słów z wieżą.

Za piętnaście minut oderwą się od ziemi.

Wstrzymał oddech.

Miał wrażenie, że zaraz pójdzie mu para z uszu.

* * *

— Stary, co jest? — odezwał się Everson, gdy nabrali odpowiedniej wysokości i w końcu mogli pozwolić sobie na odrobinę luzu.

Gałecki włączył automatycznego pilota, rozpierając się wygodniej w fotelu. Jego złe przecucia ulotniły się, ale wciąż doskwierało mu to wewnętrzne rozdygotanie.

Chyba zaczynał rozumieć, w czym rzecz. Był przemęczony, zbyt pochłonięty robotą, aby uzmysłwić sobie, że najwyższa pora nieco przystopować, przestać myśleć o lataniu. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był na urlopie. Ciągłe praca i praca. Musi odpocząć, wyjechać na kilka tygodni — pociągiem czy autokarem, w żadnym wypadku nie samolotem — i skoncentrować się wyłącznie na sobie. I co ważne, odwiedzić wreszcie psychologa. Stany takie jak te, które obecnie przechodził, nie były

normalne i nie powinien ich lekceważyć. Roztrzęsiony, przerażony, obezwładniony przez lęk pilot za sterami maszyny, na której pokładzie znajduje się ponad stu pięćdziesięciu pasażerów, to zbytnie ryzyko. Jeśli John domyśli się, w jakim jest stanie, afera murowana...

— Artur?

Kapitan wytarł wilgotne dłonie o materiał spodni, po czym spojrzał niepewnie na drugiego pilota.

— No?

— Coś cię gryzie? — spytał z troską w głosie Everson.

— Przeziębiesz się?

— Jasne, że nie. Jestem zdrowy jak koń.

— Jeśli nie czujesz się na siłach, może lepiej, abym przejął stery?

— Naprawdę, wszystko w normie — odrzekł stanowczo, choć już wcześniej przeszło mu przez myśl takie rozwiązanie.

— Na pewno?

— Oczywiście. Zawołam Majkę, żeby zaparzyła nam po małej czarnej. Chcesz?

John zabębnił palcami w oparcie fotela. Zwykle oznaczało to, że jest w doskonałym humorze. Jednak lekko ściągnięte usta zdradzały, że tym razem jest inaczej.

— O, tak! Jak najbardziej. Przed wylotem piłem tylko herbatę, bo ekspres do kawy mi się schrzanił. Wyobraź sobie, że to już trzeci w tym miesiącu! Zaczynam

podejrzewać, że ktoś mi robi na złość.

— Sabotaż — zażartował Artur, wyciągając rękę i naciskając przycisk na centralnym panelu. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Czyżby sprzątaczkę? — jęknął z udawanym przerażeniem pierwszy oficer. — Chcą wypucować nam zaworki? Zanim Artur zdążył odpowiedzieć, do kabiny zajrzała Maja.

— Co jest, chłopcy? Pijecie coś? — Uśmiech na jej twarzy był tak kojący, że miał ochotę wziąć dziewczynę w ramiona i nie puszczać do końca świata. Opanował się jednak. Zamówił dwie czarne bez cukru.

— Do usług. Może przynieść wam jeszcze ciasteczka? Dziś są wyjątkowo świeże. Kakaowe.

— Chcesz mnie utuczyć? — wtrącił Everson, poklepując się po brzuchu. — Żebym toczył się jak kula armatnia? Dziewczyna machnęła ręką.

— Jak mówi stare chińskie przysłowie: mężczyzna bez brzucha jest jak niebo bez gwiazd.

— Dobre, muszę sobie zapamiętać — roześmiał się Artur. — W takim razie, jeśli jesteś taka miła, poprosimy też o ciasteczka.

Po kilku minutach Maja wróciła z zamówieniem.

Miała już wyjść, ale zatrzymała się na progu, by z chmurną miną poprosić kapitana o potrząśnięcie samolotem.

— Co mam zrobić? — nie zrozumiał.

— Taki jeden frajer ciągle podrywa Claudię. I to nie-specjalnie ładnie. Właśnie zaproponował, że da jej coś słodkiego do possania.

— I co to ma do rzeczy? — zapytał niepewnie Artur.

— To, że Casanova-amator właśnie wybrał się do WC...

John pierwszy zajarzył.

— A! — Pstryknął palcami z łobuzerską miną. — Już się robi! Reszta siedzi grzecznie w swoich fotelach?

— No jasne!

Maja przytknęła wyprostowaną dłoń do czoła, udając, że się odmeldowuje, a następnie opuściła kabinę pilotów.

— Arturze! — Everson mrugnął porozumiewawczo.

— Pokaż temu oszołomowi, jak przyjemne są turbulencje w naszym aerodynamicznym kibelku!

* * *

Samo lądowanie poszło nadspodziewanie gładko. Co prawda Gałęckiemu niezbyt spodobały się wektory, jakie otrzymali z kontroli ruchu lotniczego, ale widząc znajome tereny, uspokoił się.

Schizujesz jak dziecko we mgle, bo brakuje ci odpoczynku, tłumaczył sobie. Ale wkrótce to się zmieni, więc nie zadręczaj się i rób, co masz do zrobienia.

Zanim jeszcze posadził maszynę na pasie, włączył mikrofon, podziękował pasażerom za lot i życzył miłego pobytu w stolicy Irlandii.

Po przykołowaniu na właściwe miejsce pod terminalem Everson poszedł osobiście dopilnować, aby wszyscy szczęśliwie opuścili pokład. Artur pozostał w kabinie.

Nie czuł się wystarczająco dobrze, by stawić czoła wymaganym w takich sytuacjach wymianom uprzejmości, oklaskom i wypowiedzanym przez popisujących się bufonów nic nieznaczącym pochwałom. Wolał przez te kilka minut pobyć sam.

Omal nie skopał kokpitu, kiedy jeden ze stewardów przekazał mu najnowsze dyspozycje kierownictwa. Bo choć — jak niczego innego na świecie — pragnął znaleźć się sam na sam z Majką, zjeść coś pysznego, napić się dobrze schłodzonego wina i nie myśleć o problemach, okazało się, że jakiś domorosły geniusz postanowił, że samolot z Dublina do Poznania, ten sam, w którym właśnie siedział, odleci zaraz po przeglądzie, ale z innymi pilotami. Musiał razem z Eversonem jechać do hotelu.

Kompletny bezsens, mruknął, widząc przez szybę dwóch czarnoskórych pilotów, podążających w stronę boeinga. Ciekawe, czy ich również zostawią na cały dzień w Poznaniu?

Mają złapał w terminalu. Rozmawiała z Claudią przed jedną z kawiarenek. Dookoła panował taki gwar, że dosłownie rozsadało mu czaszkę.

— Słyszałeś? — zapytała z ożywieniem Maja, gdy stanął przy nich, rozglądając się za jakimś automatem

ze słodyczami.

— O czym? — położył dłonie na jej ramionach.

— Zastrzelili jakiegoś faceta.

Zawahał się. Niepewnie zdjął dłonie z ramion dziewczyny.

— Gdzie?

— Tutaj, na lotnisku.

— Kogoś z ekipy?

— Podobno z biura.

Zdenerwował się. Ten świat zmierza do zagłady, pomyślał, jeśli do tak dobrze strzeżonego miejsca jak lotnisko ktoś potrafi przesmuglować broń. A potem nagle uświadomił sobie, że wie, kto powinien zostać zastrzelony.

Facet odpowiedzialny za jego przedłużony pobyt w Dublinie. Osoba, która pokrzyżowała mu plany.

Zwariowałeś do reszty, upomniał samego siebie. Lecz się stary.

Parsknął śmiechem, wprawiając w osłupienie stewardesy.

— Przepraszam — zreflektował się w jednej chwili, podnosząc ręce w obronnym geście. — Przepraszam, to nie było śmieszne, po prostu coś sobie przypomniałem...

A kto zginął?

— Koordynator zaióg.

Artur zamrugał, jakby dostał cios prosto w szczękę.

Momentalnie odechciało mu się śmiać. W zasadzie ode-

chciało mu się wszystkiego. Od dawna wyznawał zasadę, że skoro ze wszystkich stron atakuje nas więcej informacji, niż jesteśmy w stanie przetworzyć i przyswoić, powinniśmy filtrować bodźce, minimalizować ich ilość, po prostu bronić się przed przegrzaniem płyty głównej, która i tak zwykle ciągnie resztką sił... A jednak musiał się tego dowiedzieć, oczywiście.

— Chyba na mnie już czas — wykrztusił z trudem przez ściśnięte gardło. — Miłego lotu wam życzę.

Pognał przed siebie, lawirując między kręcącymi się po terminalu ludźmi, aż wreszcie zniknął z oczu ostupiałym jego zachowaniem stewardesom.

* * *

Dopiero po drugim piwie rozdygotanie nieco go odpuściło. Nie na tyle jednak, by zapragnął wybrać się na zwiedzanie miasta czy krótkie zakupy. Z małego stolika stojącego między oknami wziął pilota i bez większego przekonania przerzucał kanały. Oczywiście żadna stacja nie emitowała nic ciekawego, przynajmniej nic takiego, czego nie oglądałby już z dziesięć razy. W ramach relaksu wziął więc długi prysznic, po czym odświeżony niczym skazaniec przed egzekucją przebrał się w czysty podkoszulek i spodnie od dresu. Elegancja? Owszem, ale wtedy, gdy są ku temu powody. Sam dla siebie nie musiał się stroić, nad wymuskany image przedkładając zwykłą wygodę. Dochodziła dwudziesta. Zdecydowanie za wcześnie

na sen. Co prawda był padnięty, wydrenowany i zmaltretowany, ale nie do tego stopnia, by nie przeczytać kilku stron klasyki. Wychodząc z założenia, że siła prawdziwego mężczyzny nie wynika z walorów fizycznych, a ze sprawnego mózgu, starał się dbać i o ten — zazwyczaj niesłusznie niedoceniany — organ. Z trzecim piwem w zasięgu ręki zaległ na wygodnym fotelu, z oprawionej w skórę książki wyciągnął kolorową zakładkę i zabrał się za lekturę. Początek ósmego rozdziału Portretu Doria-
na Graya niespecjalnie przypadł mu do gustu, jednak w pewnym momencie natknął się na fragment, który sprawił, że ciarki przebiegły mu po plecach:

Jeśli myśl może wywierać wpływ na żywy organizm, czy nie mogłaby go też wywierać na rzeczy martwe, nieorganiczne? Czyż rzeczy, leżące poza nami, nie mogłyby niezależnie od naszej myśli i świadomej woli reagować zgodnie z naszymi nastrojami i namiętnościami, na mocy tajemnej siły przyciągania lub dziwnego powinowactwa atomów?'

Ciekawe pytania, skonstatował z narastającym zdumieniem. Ktoś, kto umiałby w praktyce udowodnić zasadność odpowiedzi twierdzących, stałby się równy Bogu...

Myśl była oczywiście bluźniercza i jeszcze tydzień wcześniej, jako człowiek wychowany w katolickim kraju, z pewnością by ją odrzucił, ale po ostatnich wydarzeniach nie patrzył już na świat tymi samymi oczyma, co dotąd.

Czuł się rozstrojony niczym przedwojenne radio, a jednocześnie miał wrażenie, że stanął na progu poznania jakiejś wielkiej tajemnicy, czegoś, co w diametralny sposób odmieni jego życie. Powrócił do lektury, lecz w połowie następnej strony zorientował się, że nie rozumie tego, O. Wilde, Portret Doriana Graya, przeł. M. Feldmanowa, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1957, s. 136.

co czyta. W głowie wciąż kotłowały się niejasne obrazy, których nie potrafił zidentyfikować, jakby coś przemykało na obrzeżach świadomości, zbyt małe lub zbyt szybkie, by zostać nazwanym.

Trzecie i czwarte piwo sprawiły, że powieki stały się bardzo ciężkie, a nurtujące go wątpliwości odpływały coraz dalej i dalej, stopniowo tracąc na znaczeniu. Klasnął dwa razy i światło w pokoju zgasło. W następnej chwili zgasł i on. W kabinie było bardzo gorąco. Zaczerpnął głęboko powietrza, rozpluwając się jak kostka masła na lipcowym słońcu. Koszula lepiła mu się do pleców, kołnierzyk bezlitośnie wżynał w szyję. Nawet powieki się spociły. Co z tą cholerną klimatyzacją? Niby działała, a zauważalnych efektów zero. Zlustrował kontrolki i wskaźniki umieszczone na kokpicie. Wydawało się, że wszystko jest w porządku...

— Artur? — odezwał się nagle Everson.

Gałecki niepewnie spojrział na drugiego pilota.

— Co?

— Gryziesz?

— Nie rozumiem...

— Pytam, czy dokładnie wszystko gryziesz? — w głosie Johna pojawiły się twarde nutki. — To bardzo ważne! Jeśli połkasz za duże kawałki, żołądek nie może tego strawić i łatwiej się utuczyć!

— O czym ty gadasz? — nie wytrzymał Artur. — Po-
gięło cię?

Zamiast odpowiedzieć, Everson uśmiechnął się szeroko, demonstrując monstrualnie wielkie i ostre jak u piranii zęby. Była ich cała masa, w paru rzędach, tak jakby ktoś, kto umieścił je w ustach pilota, chciał pobić rekord Guinnessa. Gorszy od tego widoku był tylko odór, który wydobywał się z trzewi monstrum i napływał potężnymi falami niemal dotykanej mieszanki rozkładu, śmierci i czegoś karykaturalnie erotycznego.

Gałecki w panice szarpnął się, próbując wstać i uciec jak najdalej, ale nie mógł wykonać najmniejszego ruchu.

Gdy spojrzął na swoje nogi, zdołał jedynie wrzasnąć.

Wielkie jak kraby pająki pożywiały się jego mięśniami i obgryzały kości, wydając jednocześnie upiorne, bulgotliwe dźwięki. Na szczęście w następnym momencie w ich magmę wdarł się porządkujący czasoprzestrzeń sygnał alarmu. Zmory czmychnęły równie szybko, jak się pojawiły, spłoszone wydobywającą się z komórki melodią Sweet Dreams.

Rozdział 3

Musisz pamiętać, że pilot to nie to samo co kierowca MPK, maszynista czy motorniczy. Jeśli schrzani się silnik autobusu, kierowca po prostu zatrzymuje gablotę i informuje pasażerów, że dalej nigdzie nie pojedzie. Gdy siądzie zasilanie tramwaju, motorniczy rozkłada ręce, czeka na ekipę remontową i generalnie ma wszystko w dupie. Jak spieprzy się koło wału głównego nastawnika jazdy w lokomotywie, czy jak to się tam mądrze nazywa, maszynista wyhamowuje pociąg, po czym, podobnie jak reszta tych cwaniaczków, oznajmia, że dalsza podróż na razie nie jest możliwa. Ale gdy nastąpi awaria w samolocie, gdy padnie zasilanie albo okaże się, że ze zbiorników uchodzi paliwo... cóż, wtedy to już zupełnie inna bajka. Los twój i dziesiątków albo i setek ludzi leży w rękach Boga. Tak, właśnie w jego rękach! W powietrzu, gdy uświadamiasz sobie, że nastąpiła poważna awaria, zdajesz się tylko na niego. Lotnictwo to nie gra w kręgle. Jedno drobne przeoczenie, jedna chwila nieuwagi może doprowadzić do tragedii. Musisz być perfekcyjnie przygotowany. W tym zawodzie jeden błąd oznacza... —

Ojciec Artura nigdy nie dokończył tego zdania. Pomimo że często powoływał się na Boga, był strasznie przesądny. Może naiwnie sądził, że jeśli nie będzie mówił o najgorszym, wtedy to się nie stanie?

Niestety, stało się.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku porucznik Stefan Gałeczki, mistrz walki powietrznej i doświadczony pilot, odbywał nocny rutynowy lot ćwiczebny myśliwcem MIG-21MF. Lot zaplanowano po trójkącie, na trasie Malbork — Płock — Chojnice — Malbork. Do dziś pozostaje zagadką, jak doszło do tego, że porucznik zamiast obliczonego kursu 190° obrał kurs 90°, nie poleciał na południe, a na wschód.

Od początku miał problemy z utrzymaniem łączności.

W końcu, jakieś trzy kwadranse po starcie, zameldował do bazy, że się zgubił, że nie wie, gdzie się znajduje i że zaczyna brakować mu paliwa, więc o ile w ciągu najbliższych kilkunastu minut nie znajdzie odpowiedniego lotniska, będzie zmuszony się katapultować. Ponieważ nikt mu nie odpowiedział, uznał, że wyszedł z zasięgu łączności lotniska i punktów naprowadzania.

Myśliwiec to nie helikopter — nie wylądujesz nim gdzie popadnie. Potrzeba do tego albo lotniska o odpowiedniej długości pasa startowego, albo DOL-u, czyli drogowego odcinka lądowania. W Polsce w tamtym czasie był w użyciu tylko jeden taki — pod Goleniowem, ale ojciec Artura z oczywistych względów nie miał szans do niego dotrzeć.

Porucznik przekroczył granicę Polski i Związku Radzieckiego, lecąc na wysokości pięciu — sześciu tysięcy metrów. Samolot wykonujący lot na tej wysokości znaj-

duje się cały czas w polu radarowym, jednak z niewiadomych powodów polski myśliwiec nie został namierzony przez radzieckie radary. Z informacji, jakie Arturowi udało się zebrać przez lata, włączając w to relację znajomego wojskowego, wkrótce po całym tym zajściu dymisjonowano szefa radzieckich oddziałów radarowych odpowiedzialnego za rejon, w którym Gałęcki senior przekroczył granicę. To oczywiście nie miało większego znaczenia dla samego porucznika, który katapultował się nad terytorium północnej Białorusi. Co ciekawe, pilot w kombinie miał pod pachą kieszeń, w której trzymał służbowego P-64. Pistolet raczej lekki, ale przy katapultowaniu przeciążenie rzędu 20 g doprowadziło do tego, że szwy momentalnie puściły, i zarówno porucznik, jak i jego broń wylądowały oddzielnie.

Niedługo po tym, jak na jakiejś podmokłej łące uwolnił się ze spadochronu, otoczyły go światła, ujadanie psów i mężczyźni, krzyczący: „Szpion! Szpion”.

Zanim zdążył wytłumaczyć, kim jest i co tam robi, padły strzały.

Kiedy żołnierze radzieccy zorientowali się, że domniemany szpieg jest polskim oficerem, natychmiast przewieziono go do szpitala. Kilkugodzinna operacja powiodła się. Stefan Gałęcki odzyskał przytomność, ale nie dotarł żywy do domu. W następstwie powikłań pooperacyjnych zmarł w dwa tygodnie później.

Nie zniechęciło to Artura do spełnienia dziecięcych marzeń. Nie ciągnęło go do wojska, podjął więc studia na Politechnice Rzeszowskiej na kierunku mechanika i budowa maszyn. Po pięciu latach ciężkiej pracy z powodzeniem zdał egzaminy licencyjne, uzyskując tytuł magistra inżyniera ze specjalności lotnictwo. Kolejne cztery lata zajęło mu zdobycie licencji pilota liniowego. Nie było łatwo, szczególnie że przez dłuższy czas matka starała się odwieść swego jedynaka od tego niedorzecznego, jej zdaniem, pomysłu. Gałęcki pozostał jednak nieugięty. Tym bardziej że podświadomie czuł, iż w ten sposób składa hołd ojcu.

* * *

Powietrze zastygło w bezruchu. Całe miasto, od przedmieść, przez położone na obrzeżach osiedla, aż po enklawy nowobogackich i ścisłe centrum — prażyło się w bezlitosnym słońcu. Upał i spaliny wysały barwy z drzew, spękana ziemia pod stopami stwardniała niczym szybko schnący beton, a porastająca pobocze drogi trawa już dawno przekształciła się w pożółkłą słomę, odśnając niezbyt urodziwe oblicze Gai.

Gałęcki czekał na taksówkę, wachlując się złożoną gazetą. Miał wrażenie, że połowa życia schodzi mu właśnie na czekaniu na taryfy. Modlił się do wszystkich diabłów, aby ta, którą mu dziś podeślą, była wyposażona w klimatyzację. Zatelefonował do innej sieci niż po-

przednio, mając szczerą nadzieję, że złotówkę więcej do zapłacenia za kilometr jazdy zrekompensuje mu jakiś cywilizowany samochód, w którym będzie mógł przynajmniej swobodnie oddychać.

Lot do Poznania przebiegł spokojnie. Nie targały nim żadne obawy i lęki. Dobry omen, pomyślał, walcząc z chęcią zapalenia papierosa. W tej chwili, jak nigdy wcześniej, czuł potrzebę sztachnięcia się kojącym skołatane nerwy dymem. Dwadzieścia miesięcy wcześniej rzucił palenie. Do teraz pamiętał tamtą feralną niedzielę. Podczas zakupów w supermarkecie, które miały ograniczyć się do zgrzewki piwa, parówek, keczupu i kilku butelek mineralnej, nagle upuścił koszyk. W mgnieniu oka ból w klatce piersiowej pozbawił go tchu. Zanim pojął, co się stało, leżał między regałami niczym żółw na skorupie, spazmatycznie łapiąc powietrze. Kilka sekund później stracił świadomość. Oprzytomniał w szpitalu, gdzie lekarz prowadzący poinformował go, że miał stan przedzawałowy. Facet w białym fartuchu, o nic niepytany, dodał stanowczo, że jeśli natychmiast nie rzuci palenia, kopnie w kalendarz. Początkowo nie traktował tego ostrzeżenia poważnie. Zawsze tak gadają, wiadomo, za to im płacą — tłumaczył sobie. Muszą się powymądrzać. Rzuć palenie, bo odziesz wcześniej, niż ci się wydaje, i niekoniecznie tam, gdzie byś sobie życzył. Będziesz kaszlał i będzie ci źle. Pieprzenie... Kiedy jednak pierwszego wieczoru po opusz-

czeniu szpitala zapalił i w jego wnętrzu znów rozlało się to paskudne pieczenie, bez zastanowienia wyrzucił peta za okno. Ból ustąpił, ale Artur nie sięgnął po kolejną fajkę. Z dwojga złego wolałby już zginąć w katastrofie lotniczej, niż choćby jeszcze raz narazić się ten koszmar.

Zdziwił się, że nagle naszła go ochota, by zajarać. Do tej pory całkiem nieźle radził sobie z nałogiem. Wydawało mu się, że w tym temacie najgorsze ma za sobą. Jak widać, mylił się. Cóż, ponoć błędzić jest rzeczą ludzką. Gdzie ta taryfa? — pomyślał, opędzając się od wizji papierosa w ustach i z nudów wystukując na chodnikowej płycie połamany jak paralityk rytm.

Wreszcie jego udręka się skończyła. Wielki, najwyżej dwuletni biały mercedes pojawił się wcześniej, niż można było się spodziewać. Siedzący za kółkiem młody, perfekcyjnie ogolony i tak samo opalony chłopak z szerokim uśmiechem zaprosił Gałęckiego do środka. Pilot odetchnął z ulgą. W aucie pachniało lawendą, chłodne powietrze z klimatyzatora pozwalało ochłonać.

Cudownie...

— Na Stablewskiego — poprosił.

— Od strony Głogowskiej?

— Tak. Wsiądę przy kościele.

Podczas jazdy kierowca nie zadawał żadnych pytań, nie opowiadał o swojej byłej żonie czy kochance, nie komentował też tonem znawcy skomplikowanej sytuacji

w polityce. Artur był mu za to niewymownie wdzięczny. Bukowską pokonali w dziesięć minut. Korek na Rooseveltą przeczekali w milczeniu, słuchając piosenek Roxette z odtwarzacza CD. Za mostem Dworcowym przyśpieszyli. Taksówkarz wyłączył muzykę i przez moment grzebał w radiu. Trafił na wiadomości. Donośny głos spikera poinformował ich, że premier znów udał się do Stanów Zjednoczonych na rozmowy w sprawie zniesienia obowiązkowych wiz. „Mamy nadzieję, że ta rozmowa doprowadzi do konsensusu” — tak poseł partii rządzącej spointował swój niedorzecznie długi i niezrozumiały chyba nawet dla niego samego monolog. Po bloku reklamowym znów zabrzmiał głos spikera. Zdawał relację z postępów śledztwa w sprawie ludzkich stóp wyrzucanych w hurtowych ilościach przez ocean na brzegi kanadyjskich plaż.

— Na razie nie wiemy nic — orzekł z obojętnością w głosie jeden z funkcjonariuszy, po czym dodał nieco ironicznie: — Być może mamy do czynienia z porachunkami gangów, z wygodniałym rekinem rodem z filmu Spielberga albo ze skutkami tsunami... Badamy tę sprawę i nie spoczniemy dopóty, dopóki nie dowiemy się, z czym lub raczej z kim mamy do czynienia...

Najwyraźniej znudzony częścią gadaniną taksjarski przełączył stację. Z głośników popłynął cikliwy kawałek Piaska:

lawinami z gór spadamy wprost na siebie

po to nas Bóg na ziemię słał..

Słyszając o spadaniu, Gałęcki aż się wzdrygnął. Zanim zdążył się zastanowić, zwrócił się do kierowcy niezbyt uprzejmym tonem:

— Może pan to wyłączyć? Jak słyszę o lataniu, dostaję trzęsionki.

Taksiarz nie odpowiedział. Wzruszył obojętnie ramionami i pstryknął w przycisk wyłącznika. W samochodzie zaległa cisza, zmącona jedynie stłumionymi przez zamknięte okna typowymi ulicznymi odgłosami — rżeniem przeciążonych silników, klaksonami i odległym sygnałem karetki pogotowia.

Arturowi zrobiło się głupio, ale postanowił się nie odzywać.

W oddali ukazała się wieża kościoła Matki Boskiej Bolesnej. Taksówkarz wrzucił na luz i nieco przyhamował.

— Proszę bardzo — odezwał się, wjeżdżając na Stablewskiego. Mercedes zatrzymał się przy krawężniku przed domem Gałęckiego. Kapitan dodał do należności za kurs piętnastozłotowy napiwek, po czym otworzył drzwi.

— Na razie — rzucił na odchodnym i wysiadł.

— Do zobaczenia — odparł kierowca. — Połamania skrzydeł jutro.

Zatkało go. Czy to, że jest pilotem, ma wypisane na

czole?

Spojrzał na taksówkarza. Ten szczyrzył do niego zębami jakby nigdy nic.

— Lepiej dajmy spokój skrzydłom — odparował, zastanawiając się, skąd taksiarz wie o jego kolejnym locie.

Zgadł?

— Okej, jak szanowny pan sobie życzy. Wszystkiego dobrego w takim razie. Dla pana i pańskiej załogi.

— Dla mojej załogi?

— Oczywiście.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Taksówkarz udał ubolewanie.

— Chciałem być miły — powiedział, wzduszając ramionami. — To chyba nie jest zabronione?

— Niech pan już jedzie.

— Się robi.

Mercedes ruszył z piskiem opon. Gałęcki patrzył tępo jak skręca w Lodową i znika za murami kościoła.

A potem zerknął w stronę wieży zegarowej. Dochodziła piętnasta. Niebo wciąż rzygało żarem, wilgotna koszula lepiała się do pleców. Co gorsza, nie zanosilo się na to, by w najbliższym czasie miało nastąpić ochłodzenie.

Wchodząc na klatkę schodową, przypomniał sobie o swojej reakcji na piosenkę Piaska. Teraz czuł się jak kretyn, ale wcześniej był rozdrażniony. Z jakiego tak naprawdę powodu? Nie znał na to pytanie odpowiedzi.

Zmarszczył brwi, widząc, że drzwi do mieszkania Grześkowiakowej są uchylone. Miał właśnie zajrzeć do środka, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, gdy nagle staruszka wychynęła na korytarz i posłała pilotowi nieco podejrzliwe spojrzenie.

— O, pan Gałęcki — wychrypiąta. — Właśnie wzięłam chałupę.

Acha, pomyślał, a ja mam pięć lat i kręcone włosy. Okutana w dwie znoszone podomki babina wyglądała jak miss komuny.

— Duszno jak w piekle, co? — zagaił, byle coś powiedzieć.

— Skąd pan wie, że w piekle jest duszno? — burknęła naburmuszona. — Może akurat pada tam śnieg na przemian z deszczem i gradem?

Uśmiechnął się. Nie można jej było odmówić poczucia humoru. Specyficznego, niekoniecznie na poziomie, ale jednak.

— Wydaje mi się, że tam jest dość duszno.

Krzaczaste brwi Grześkowiakowej uniosły się i wygięły niczym nastrożone uliczne kocury, by po chwili z jakimś ociąganiem powrócić na swe miejsca, nieco ponad zmrużonymi w wyrazie niedowierzania oczyma.

— Ciekawe, ciekawe... Ja tam swoje wiem, ale nie mam czasu na bzdurną rozmowę, bo ziemniaki mi się przypalą. Acha — rzuciła, wycofując się już w głąb swe-

go uroczyska — a jak tam mieszkanie? Po staremu?

Grześkowiakowa musiałaby być ciężko chora albo raczej umierająca, by odpuścić sobie wpychanie nosa w nie swoje sprawy. Skoro już o piekle mowa, najwyraźniej nie wzięła sobie do serca porzekadła, że ciekawość jest pierwszym stopniem, który do niego prowadzi.

— Chyba wszystko jak należy — odrzekł ostrożnie, zastanawiając się, jaki haczyk tkwi w udawanej troskliwości starej jędzy.

— Ostatnio źle pan sypia, co?

— Źle sypiam?

— No. Jest pan nieźle... Jak to się teraz mówi? Zakręcony. Tak, właśnie tak. Jest pan nieźle zakręcony.

— Przyznam, że nie nadążam...

Nie brnij w ślepy zaułek, Arturze, podpowiadał głos rozsądku. Nie wdawaj się z nią w dyskusje.

— Nie wie pan? Powinien pan jak najszybciej udać się do lekarza. Specjalisty, rozumie pan... — Chrząknęła wymownie, jakby lekko zawstydzona. — Od tych spraw...

Wie pan jakich.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

— Niby jakich?

Zachichotała. A dokładniej rzecz ujmując, zajazgotała.

— Już pan dobrze wie! Na starą sąsiadkę się rzucać?

Brakuje panu baby, co?

Podrapał się po karku, by zyskać na czasie. Przez

chwilę stał jak pajac, niepewny, czy postradał zmysły, czy może ma omamy słuchowe. W końcu, nie potrafiąc rozstrzygnąć tej kwestii, wzruszył ramionami.

— Pójdę już. Jutro mam kolejny lot.

Mruknęła coś pod nosem, po czym znów zachichotała.

Wariatka, pomyślał, wchodząc po schodach. Naprawdę zbzikowała.

— Już ja znam te pańskie loty — usłyszał jeszcze na odchodnym. — Tak czy siak życzę dobrego dnia. Bo cóż jeszcze mogę życzyć? Połamania skrzydeł?

Raczej złamania szyfru, którym wszyscy dziś do mnie nawijają — warknął w duchu.

Znowu był wściekły.

Wydobył z kieszeni klucze i przystanął na półpiętrze.

Na poddaszu kamienicy było tak parno, jakby ktoś odesał stamtąd cały tlen. Miał nadzieję, że pan Zenon potwierał okna w mieszkaniu. Włożył klucz do zamka i przekręcił. Rozległo się metaliczne szczęknięcie. Wchodząc do wąskiego przedpokoju, pomyślał o tym, co go jeszcze dziś zaskoczy. Znowu jakiś przestawiony mebel albo przewieszony obraz?

Na razie niczego takiego nie zauważył. Zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku, po czym udał się do kuchni. Tym razem na stole nie było kartki z informacją od pana Zenona. Otworzył lodówkę, wyjmując puszkę piwa. Przez moment ważył ją w dłoni, rozkoszując się

upragnionym zimnem. Zmierzył wzrokiem kuchenkę gazową. Czajnik stał na wyłączonym palniku. Okej. Czujnie niczym klawisz na wieżycze strażniczej przyjrzał się ścianom i półkom w szafkach kuchennych. Nic nie zniknęło ani nie zmieniło swojego położenia, przynajmniej na ile mógł ocenić to na pierwszy rzut oka. Otworzył piwo, pociągnął łyk i przeszedł do salonu. Klapnął na fotel, sięgnął po pilota, włączył radio i od razu tego pożałował, słysząc tę samą piosenkę, która tak skutecznie zważyła mu humor w taksówce:

niebo pęka wpół, łopotania skrzydeł huk
lecimy w dół, coraz bliżej...

Wyłączył radio, ale wcale nie poczuł się przez to lepiej. Odstawił puszkę na stół tak delikatnie, jakby była odbezpieczonym granatem, i rozejrzał się po pomieszczeniu. Telewizor, kanapa, krzesła, regał z kryminałami i fantastyką, drugi z książkami o lotnictwie i dwa pełne klasyki, szafa, sprzęt stereo...

Co tu się dzieje? Pytanie krążyło w jego umyśle niczym namolna mucha.

Odblokował komórkę i zadzwonił do pana Zenona.

Zamienił z nim kilka słów o dupie Maryni i poinformował, że jutro w południe ma kolejny lot i że prawdopodobnie wróci jeszcze tego samego dnia.

— To nie zaglądać do pana? — zapytał sąsiad.

— Nie ma takiej potrzeby.

— W porządku. Zatem do usłyszenia.

Podczas rozmowy zawędrował na środek pokoju. Lu-
strując pomieszczenie, nadal zastanawiał się, co go gnębi.

Bez efektu. Ta powracająca jak komornik niepewność
stawała się nie do zniesienia.

Wyszedł do przedpokoju.

Melodyjka z komórki wyrwała go z transu.

— Cześć — to była Majka. — Dzwoniłam do ciebie
przed chwilą. Miałaś zajęte.

— Właśnie zjechałam do domu. Gadałam z sąsiadem.

— A ja jadę do szpitala. Moja ciotka miała wylew.

— O cholera... Kiedy?

— Nad ranem. Miała szczęście, że wujek nie spał
i natychmiast wezwał pogotowie.

Gałecki nigdy wcześniej nie słyszał o ciotce Majki,
ale dało się wyczuć, że dziewczyna jest z nią zżyta.

— Jak ona się miewa?

— Dochodzi do siebie — odparła stewardesa —

Lekarze mówią, że za dwa, może trzy dni wróci do domu.

Kiedyś musisz ją poznać. Polubisz ją, jestem o tym prze-
konana.

— Nie wątpię. Oby jak najszybciej wyzdrowiała.

— Jestem dobrej myśli.

— Ja również, Majka.

— Co u ciebie? — zmieniła temat. — Masz jakieś pla-
ny na wieczór?

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Nie zastanawiał się nad tym.

— Nie — wydusił wreszcie. — Pewnie położę się wcześniej i porządnie wyśpię. Ostatnio nie miałem okazji...

Coś zabrzączało w słuchawce i Gałteki domyślił się, że dziewczyna wysiada z tramwaju.

— Muszę kończyć — oznajmiła. — Jutro się zobaczymy.

— Jasne. Claudia też leci do Girony?

— Tak. A co?

— Nic. Pytam z ciekawości.

— Akurat.

Roześmiał się.

— Naprawdę. Zauważyłem, że świetnie się dogadujecie. Roztaczacie wokół siebie przyjazną aurę.

Teraz dla odmiany Majka parsknęła śmiechem.

— Dobra, dobra, lizusie. Jeszcze wrócimy do tego tematu. Wyjaśnisz mi, co to dla ciebie znaczy przyjazna aura...

— Nie ma sprawy.

Rozłączył się. Było mu przykro z powodu ciotki Majki, ale pomyślał sobie również, że jeśli nie zacznie odważnie do niej startować, to ich znajomość już zawsze będzie ograniczać się do takich pogaduszek. Miłych, lecz nieprowadzących donikąd. Ta dziewczyna podobała mu się coraz bardziej. I on jej, przynajmniej tak mu się wydawało, a w tych kwestiach nie zwykł się mylić. Więc co

stało na przeszkodzie, aby...

Dosyć tego ględzenia!

Najpierw zafunduje jej kolację, nawiąże nić porozumienia, a potem niezobowiązująco zaprosi gdzieś na romantyczny weekend. Gdziekolwiek. Wtedy może będzie sposobność, aby podzielać panem straszakiem.

Myśl o seksie skojarzyła mu się z Beatą, zaś Beata w jakiś dziwny sposób ze wszystkimi mniejszymi i większymi szpargałami, które zabrała od niego, wyprowadzając się. Zabrała wszystko, poza... trawką, którą od czasu do czasu przypalali. Cóż, ostatnio Artur nie mógł narzekać na brak nowych doznań, choć niekoniecznie były takie, jakich by sobie życzył.

Zajrzał do komody, by spod sterty pościeli i ręczników wyciągnąć pudełko zapalek, a raczej pudełko po zapalniczkach, w której trzymał maryskę. Na porządnego skręta za mało, na lufę w sam raz.

Klapnął na kanapie. Kiedy zacznie działać, nie będzie musiał daleko chodzić, żeby przyjąć pozycję horyzontalną. Pstryknął zapalniczką i podsunął płomyk pod końcówkę szklanej rurki. Zaciągnął się głęboko, wciągając gryzący dym do płuc. Drapało go w gardle, omal się nie zakrztusił, ale mężnie przytrzymał bucha w sobie.

I tak trzy razy. Już przy drugim zaczynało go brać, jednak zdecydował, że nie będzie marnował towaru.

Czuł się lekki jak balonik z helem.

Gdyby go widział Krzyżanowski. Albo szefowie linii lotniczych.

— No, ładnie — powiedział nieco bełkotliwie i parsknął głupkowskim śmiechem. — Wystarczyłoby, aby zobaczył cię teraz ten pocziwina Zenon, to by pewnie stracił resztę wiary w ludzi!

Pośmiał się, pogadał sam ze sobą przez dobry kwadrans. Przynajmniej zdawało mu się, że minęło kilkanaście minut, bo jakoś za cholerę nie mógł nigdzie w polu widzenia dostrzec żadnego zegara ani telefonu.

— Chyba powinienem się odświeżyć — sapnął, drapiąc się po czuprynie.

— Co racja, to racja — przytaknął samemu sobie. — A potem do łóżka.

Wstał, by udać się do łazienki, kiedy dostrzegł coś, co dosłownie wbiło go w podłogę. Zamarł, czując, że włoski na karku stają mu dęba.

Tuż obok drzwi prowadzących do sypialni znajdowały się inne, których z całą pewnością wcześniej nie było. Posiadały identyczną złocistą klamkę jak te od pokoju gościnnego i sypialni, taką samą wysokość i kolor.

Postronna osoba nie zwróciłaby na nie uwagi albo pomyślałaby, że prowadzą do innego pokoju. Gałęcki potarł powieki, zamrugał i ponownie spojrzął na ścianę, by upewnić się, że drzwi nie są wytworem jego wyobraźni.

Nie były.

Umiejscowione w tak widocznym miejscu nie rzuciły mu się wcześniej w oczy, jakby ktoś wstawił je dosłownie przed chwilą, w momencie gdy rozmawiał z panem Zenonem albo z Majką.

Wiedział jednak, że to durne wytłumaczenie. Bo niby kto? No i po co? Jak...

Za mocna ta trawa, skonstatował poniewczasie. Ale czy mógł mieć do niej o to pretensje? W końcu, jak przeczytał na którejś ze ścian, nie ma złych roślin, są tylko źli ludzie.

Ogarnął go dziwny spokój. Wciąż nie mógł uwierzyć, że drzwi, na które patrzy, istnieją naprawdę. Wyciągnął rękę i szturchnął je palcem wskazującym. Szybko i niezbyt mocno — tak jak kogoś śpiącego, kto zwykł budzić się z krzykiem.

Istniały.

Miał ochotę zakląć, ale jakoś żadne adekwatne do sytuacji przekleństwo nie przychodziło mu do głowy. Cóż, jakkolwiek próba logicznego wytłumaczenia tego wszystkiego była z góry skazana na porażkę. Drzwi wcześniej nie istniały. Bezsprzecznie. Nikt ich tu nie wstawił, a już z całą pewnością nie Zenon, jedyna osoba, nie wliczając jego samego, posiadająca klucze od mieszkania.

Niepewnie położył dłoń na klamce. Cokolwiek kryło się po drugiej stronie, musiało być iluzją. Nacisnął klamkę i zawiasy lekko zaskrzypiały, identycznie jak te w drzwiach prowadzących do sypialni. Beata wielokrot-

nie powtarzała mu, aby je naoliwić, bo dostawała szafu, kiedy budził się w środku nocy i szedł do toalety. Gdy je otwierał, wydawały dźwięki niczym rozdzielana na sztuki świnia. Nie zdziwiłby się, gdyby ten hałas wyrwał ze snu nawet lokatorów z niższych pięter.

Przeszło mu przez myśl, że to kolejne złudzenie, jak tamtego wieczoru, gdy ubłagał Grześkowiakową, by poszła z nim na poddasze i utwierdziła w przekonaniu, że jego mieszkanie rzeczywiście zmieniło się w stęchtą norę. Zbłądził się wtedy, fakt. Ale bardziej przejmował się tym, że znów stał się ofiarą czegoś w rodzaju fatamorgany. Zastanawiał się, czy nie olać tego tematu, po prostu kopsnąć się pod prysznic i spróbować zmyć z siebie to całe szaleństwo.

Tylko że buzująca w żyłach adrenalina żądała odpowiedzi.

Musiał wiedzieć, z czym ma do czynienia. Teraz. Od razu.

Mimowolnie wstrzymując oddech, pchnął drzwi.

Ujrzał pokój o powierzchni mniej więcej dwudziestu pięciu metrów kwadratowych. Nowoczesne meble, kominiek, plazma, biały puszysty dywan, pastelowe obrazy na ścianach. Krótko mówiąc, zawierał wszystko to, co Artur chciał posiadać, a czego nigdy sobie nie kupił z powodu braku czasu, no i wrodzonego lenistwa.

Po chwili wahania wszedł do środka. W jego nozdrza

wbił się zapach świeżości i słodkawa woń odświeżacza. Nie było mowy o przewidzeniach. Pomieszczenie wraz z wyposażeniem było rzeczywiste, równie realne jak stonka czy butelka wódki, którą trzymał w barku. Stał w progu, na krawędzi oddzielającej świat rzeczywisty od równoległego. Ledwie krok dzielił go od tajemnicy, której nie pojmował. Wykonał go, wprost na miękki niczym królicze futro materiał dywanu. Magia prysła w jednej sekundzie, kiedy uświadomił sobie, że nie znalazł się w świecie paralelnym, że nie odkrył żadnego sekretu. To był pokój jak każdy inny, urządzone gustownie, ale bynajmniej nie magiczny.

Przyłożył dłoń do ściany. Była gładka niczym szkło, nieskazitelnie biała. I absolutnie rzeczywista. Chłodna i twarda, najnormalniejsza w świecie.

Wzdłuż tej samej ściany stał regał z książkami. Bez zastanowienia sięgnął po pierwszą z brzegu i nie patrząc na tytuł otworzył ją na chybił trafił. Zaczął czytać: Życiem nie rządzą ani wola, ani zamiary. Życie jest kwestią nerwów i włókien, komórek powoli zbudowanych, w których kryje się myśl i drzemią namiętności. Możesz się uważać za bezpiecznego, silnego. Lecz przypadkowy odcień jakiejś barwy w pokoju lub na porannym niebie, specjalna jakaś woń, niegdyś przez Ciebie lubiana i przynosząca z sobą subtelne wspomnienia, wiersz zapomnianego utworu, który kiedyś czytałeś, urywek melodii, której

już dawno nie grałeś — Dorianie, wierzaj mi, że od tych szczegółów zależy nasze życie*.

O. Wilde, Portret Doriana Graya, dz. cyt., s. 136.

Dorianie?

Zerknął na okładkę. No nie! Trzymał w ręku Portret Doriana Graya — powieść, przez którą od tygodnia przedzierał się z uporem drwala walczącego z puszcza. Co za zbieg okoliczności.

Nagle coś się zmieniło. Nie wiedział co, dopóki znów nie odetchnął. To powietrze. W jednej chwili stało się bardziej niż stęchłe. Zajechało zgnilizną, kojarzącą się ze średniowiecznym lochem, do którego wchodzi jedynie kaci i ich ofiary. Wrażenie nadciągającego nieszczęścia stało się nieomal namacalne. Potęgował je jeszcze ledwie słyszalny dźwięk, przywodzący na myśl odgłosy, jakie wydaje darta blacha. Odgłos pochodził gdzieś z góry, co było tym bardziej absurdalne, że przecież nikt nad nim nie mieszkał.

Odór potężniał. Artur doskoczył do okna, otworzył je na oścież, ale smród nie chciał odpuścić. Czując, że zbiera mu się na wymioty, okręcił się na pięcie i poganiany potrzebą uwolnienia się od zbędnego balastu rzucił się biegiem do łazienki.

Nie wszedł jednak do niej. W mętym świetle sześćdziesięciowatowej żarówki dostrzegł jakiś ruch. Przyjrzał się temu czemuś i omal nie wrzasnął z obrzydzenia-

Muszla klozetowa stała się bastionem robactwa, które kłębiło się w niej rozedrganym kipszem. Larwy przewały się grubym kożuchem ponad krawędź muszli, lądowały na wyłożonej kafelkami podłodze i zbliżały się do niego zwartym szykiem. Niczym armia składająca się z zastępów tłustych, galaretowatych i nieustępliwych czerwi, gotowych otoczyć go i obleźć całego.

Nie mógł już dłużej powstrzymać torsji. Puścił panoramicznego pawia, przezornie nie zbliżając się nawet do muszli klozetowej. Przez dłuższą chwilę nie widział niczego poza kolorowymi i częściowo strawionymi resztkami jedzenia.

A kiedy znów spojrzął na łazienkę, robaki zniknęły.

Czego, niestety, nie dało się powiedzieć o wymiocinach.

Otarł usta rękawem koszuli. Cały dygotał. Co tu się wyprawia?!

Słaniając się niczym paralytyk, wyszedł na korytarz.

Drzwi. Musiał je znaleźć. Musiał upewnić się, że nie zwariował, że trzeci pokój, którego nie powinno być, naprawdę istnieje.

Ale nie istniał.

Rozdział 4

Od małego ciągnęło go do pisania i malowania. Najpierw, jako kilkulatek, wysmarował kredkami ścianę w przedpokoju, później, kiedy już w podstawówce w trudzie i znoju nauczył się składać litery, wymyślał wier-

szyki o przygodach różnych zwierzątek, z niesłabnącą energią udzielając się w zespole gazetki szkolnej. W trakcie liceum kontynuował swój marsz ku sławie, publikując fraszki w młodzieżowym czasopiśmie. Naturalną kolejną rzeczą na studiach postanowił zaistnieć jako wzięty powieściopisarz. Zapisał długie pióra, stał się stałym bywalcem wieczorów autorskich, wernisaży, koncertów awangardowych zespołów, niezliczonych imprez... Słowem — wstąpił w szeregi bohemy z entuzjazmem neofity. Pomimo niezwykłego poświęcenia, które objawiało się także i tym, że poił się hektolitrami kawy i ślęcząc przed monitorem komputera, zarywał po kilka nocy w tygodniu, walka z literaturą przez duże „L” szła mu dość opornie. Po napisaniu raptem trzech rozdziałów debiutanckiej powieści, Dorian rozesłał je do kilku najlepszych wydawnictw. Wykombinował, że kiedy któreś z nich zainteresuje się jego twórczością, to — czemu nie? — po otrzymaniu stosownej zaliczki bez problemów ją dokończy. Minął jednak miesiąc, kwartał, pół roku, a nikt nie raczył odpowiedzieć. Dorian się nie poddawał. W końcu nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Zabrał się za opowiadania. Spłodził ich całe multum, z czego dwa zostały przyjęte do druku w jakichś niszowych pisemkach. Jego radość nie trwała zbyt długo, bo oba przeszły bez echa. Wpadły jak kamień w studnię głębinową.

Nie da się ukryć, że młody autor w dużym stopniu sam

był sobie winien. Bał się bowiem pisać o swych prawdziwych uczuciach, wymyślając postacię wkomponowaną w tak fantastyczne historie, że zawieszenie niewiary stało się równie łatwe co rozwiązanie węzła gordyjskiego. A co z malowaniem? Trzeba uczciwie przyznać, że ten wycinek działalności Doriana nie podobał się nawet jemu samemu. Może i potrafił należycie oddać proporcje czy perspektywę, dobrać kolory, ale na tym koniec. W jego pracach poza starannością wykonania nie było niczego, co przykuwałoby uwagę. Postanowił więc swe uzdolnienia plastyczne spożytkować inaczej. Zdecydował, że zostanie artystą fotografikiem. Namówił rodziców na zasponsorowanie mu absolutnie niezbędnego sprzętu. Wszystko na darmo, choć bynajmniej nie za darmo. Z planów osiągnięcia sukcesu na tym polu także nic nie wyszło. Zupełna kłapa.

Jako że niezmiennie uważał się za artystę, niedocenionego, ale artystę, było mu ciężko. Wszak z czegoś trzeba żyć. Po skończeniu studiów przez rok utrzymywali go rodzice. Łudził się, że w tym czasie zdarzy się coś, co nada kierunek jego dalszej karierze, albo że spłynie na niego objawienie. Cóż, nie dość, że nic takiego nie spłynęło, to jeszcze zmarła matka Doriana. Jako że to ona zarabiała w rodzinie prawdziwe pieniądze, nagle okazało się, że zarówno niespełniony literat, jak i jego ojciec pozostali nieomal bez środków do życia.

Trzeba było zakasać rękawy, otrząsnąć się i wziąć do jakiegokolwiek roboty. I tu, koniec końców, do Doriana uśmiechnął się los. Może niezbyt szeroko, ale uśmiech pozostaje uśmiechem. Niezrealizowany artysta trafił mianowicie na wesele rejestrowane przez firmę, która wysłała na uroczystość kamerzystę i niezbyt doświadczonego fotografa. Przy czym ten drugi był na tyle nierozgarnięty, że zaraz na początku imprezy nadepnął na skraj ciągnącej się za panną młodą sukni. Pan młody się zirytował. Doszło do przepychanki. A potem do bójki.

Fotograf skończył ze złamaną szczęką, pan młody z podartą koszulą.

Dorian był na tej uroczystości z musu, bo choć wciąż nosił żałobę, nie wypadało mu odmówić przyjacielowi z dzieciństwa. W zaistniałych okolicznościach sposobność skorzystania z dobrego aparatu wydała mu się prawdziwą gratką. A kiedy jeszcze okazało się, że za kilka godzin pstrykania fotek zgarnął całkiem rozsądny kawałek grosza, nie wahał się ani chwili, gdy szef firmy zaproponował mu angaż na stałe.

Z biegiem lat Videobella, bo tak zwało się rzeczony przedsięwzięcie, prosperowała coraz lepiej, wprost przeciwnie do podejmowanych przez Doriana prób artystycznych. Mimo wszystko, niezmiennie wierząc w swój talent, zdecydował się dopchać do panteonu sztuki kuchennymi drzwiami, a jeśli to miałyby się nie udać, dostać się tam

choćby przez okno, lufcik, komin czy dziurę w ścianie.

Zaczął uczestniczyć w każdym konkursie, który miał cokolwiek wspólnego z twórczością. Wymyślał wierszyki, hasła reklamowe, zabawne opowiadki. I tym razem prawie zawsze udawało mu się wygrać. A to zgarnął nagrodę w postaci zestawu eleganckich kosmetyków, innym razem rower górski, weekend w spa, aż wreszcie... załapał się na dwutygodniową wycieczkę do Hiszpanii. Dla dwóch osób zresztą.

Tu pojawił się problem. Dorian mógłby oczywiście udawać przed samym sobą, że zna mnóstwo chętnych i spragnionych jego towarzystwa lasek, które z dziką rozkoszą pojechałyby z nim choćby na koniec świata, ale nie widział w tym sensu. Jediną poważną kandydatką była Agnieszka, jego wielokrotna eks.

Z trudem utrzymując rozkołatane serce w piersi, zadzwonił do niej i zaproponował spotkanie w knajpie.

— Z jakiej okazji? — spytała obcesowo, wierna swemu powołaniu detektywa-amatora, które kazało jej systematycznie zbierać informacje i wietrzyć podstęp w najbar dziej niewinnych przejawach sympatii.

— Coś mi się udało — odparł tajemniczo. — Jest powód do świętowania, ale opowiem ci o wszystkim, jak się zobaczymy.

Cóż, zgrywanie twardego, zwłaszcza kiedy była gdzieś daleko, nie przekraczało jego możliwości. Gorzej,

gdy pojawiała się na horyzoncie. Jedno wejrzenie szafirowych oczu Agnieszki, poparte tym nieomal niedostrzegalnym drżeniem, jakie przebiegało po jej twarzy na sekundę przed tym, zanim się uśmiechnęła, dotęczy w policzkach, sposób, w jaki trzepotała rzęsami — wszystko to sprawiało, że solenne postanowienia odchodziły w niebyt. Jak bardzo by się nie pilnował i spinał, przy niej jego wola była równie silna jak ślimak szybki. Możliwe, że z tego właśnie powodu nigdy nie udało im się stworzyć stabilnego związku. Ich wspólne bycie przypominało serię niekończących się rozstań i powrotów, przy czym tym, który zarówno odchodził, jak i z podkulonym ogonem wracał, zazwyczaj był sam Dorian.

Tym razem będę stanowczy, obiecywał sobie w myślach, prężąc się przed lustrem w łazience. Cóż, nie da się ukryć, że miał szmergla na punkcie swojego wyglądu, a zwłaszcza rzednących włosów. Było to z jednej strony uwarunkowane genetycznie — jego ojciec jeszcze przed trzydziestką dorobił się zakoli aż do karku, a z drugiej — efektem głupoty. Otóż w drugiej klasie liceum za wszelką cenę chciał upodobnić się do Grzegorza Ciechowskiego, występującego wówczas pod pseudonimem Obywatel GC. Poprosił więc kumpla o rozjaśnienie włosów. Z braku durniej szych pomysłów użyli do tego wody utlenionej. Po kilkunastu minutach włosy Doriana rzeczywiście nabrały cieplej, pszenicznej barwy, natomiast kumpel,

który pomógł mu zmienić image, mógł pochwalić się popalonymi opuszkami palców.

Starając się nie roztrząsać tego wstydliwego epizodu swej biografii, Dorian obrzucił jeszcze jednym taksującym spojrzeniem odbicie w lustrze. Nie jest tak źle, przyznał.

Na umówione miejsce pojechał taksówką. Kierowca na szczęście nie zrzędził na korki, tylko je omijał. Dzięki temu Dorianowi udało się dotrzeć do knajpy w dwie minuty przed Agnieszką. Od razu, kiedy weszła do salki, w której na nią czekał, pogratulował sobie w duchu, że siedzi, dzięki czemu może łatwiej zamaskować wrażenie, jakie na nim wywarła. W krótkiej granatowej kurtce i obcisłych dżinsach, podkreślających jej długie nogi i zgrabną pupę, wyglądała po prostu wystrzałowo.

— Hej, Dorik! Wpadłeś w trans? — Agnieszka machnęła mu ręką przed oczami, by przywrócić go rzeczywistości. Dorian nie znosił, kiedy w ten sposób zdrabniała jego imię, ale nie zaprotestował. Wszak ile razy można prosić o to samo bez narażenia się na śmieszność?

— Po prostu przypominałem sobie o czymś.

— Miałeś taką minę, jakbyś połknął komara.

— Dzięki za szczerość. Czego się napijesz?

— Zimne piwo będzie w sam raz.

Wkrótce, za sprawą ewidentnie znudzonej kelnerki, na ich stoliku pojawiły się dwa pilznery. Agnieszka ujęła kufel i wyciągnęła go do Dorianiana.

— Napijmy się za twój sukces, czymkolwiek by nie był — zaproponowała.

Brzęknęło szkło.

— A teraz opowiadaj, co to takiego. Przyjęli ci coś do druku?

Dorian przygryzł wargę, zastanawiając się po raz enty, jak przedstawić propozycję, by Agnieszka nie odmówiła. Walić prosto z mostu czy krążyć naokoło, klucząc w ostępach komplementów i błahostek? Żadna taktyka nie gwarantowała powodzenia. Przynajmniej nie w przypadku tej dziewczyny.

— Pochwalisz się wreszcie?

— Wygrałem wycieczkę do Hiszpanii dla dwóch osób. Pojechałabyś ze mną? — wypalił szybko, chcąc mieć to już za sobą.

Wycieczkę? — była wyraźnie zaskoczona.

— No.

— Gratuluję. A kiedy jest ta wycieczka? Na długo?

— Wyjazd za dwa tygodnie, dziesięć dni na miejscu, hotel opłacony, do tego kieszonkowe, zwiedzanie stolicy Katalonii: Sagrada Familia, Muzeum Picassa... — wliczał atrakcje. — Więc? Pisziesz się?

Agnieszka zmarszczyła nos, jakby doleciał ją jakiś nieprzyjemny zapach.

— Przecież się rozstaliśmy. Wiesz o tym, prawda?

— Jasne. Wcale nie mam zamiaru namawiać cię na

kombek. Po prostu pojechalibyśmy tam jako starzy kumple. Spalibyśmy w oddzielnych pokojach.

— Kumple?

— Oczywiście. Przecież nimi jesteśmy, prawda?

Zatrzepotała rzęsami.

— Dobrze, pojedę z tobą — odparła, a potem zawałała się i dodała. — Tylko niech ci się nie wydaje, że w podzięce za to, że fundujesz mi wakacje, będę twoim seksualnym pogotowiem.

— Nisko mnie cenisz — sapnął z rozgoryczeniem.

Oczywiście, musiał przyznać, że Agnieszka miała prawo do podobnych spostrzeżeń. W końcu nie kto inny, jak on sam przy różnych okazjach, a często i bez okazji, dopraszał się o jej względy.

— Tak myślisz?

— No nie wiem, chyba ma to coś wspólnego z moim mózgiem... — zażartował i natychmiast pożałował, że w porę nie ugryzł się w język. Agnieszka nie przepadała za jego lekko surrealistycznym poczuciem humoru.

— Okej, niech będzie, że tego nie usłyszałam—westchnęła wspaniałomyślnie, wyciągając elema lajta z paczki.

Dorian szarmancko pstryknął zapalniczką. Wkurzał się, kiedy paliła przy nim, ale robił dobrą minę do złej gry.

Ostatecznie była raczej zrównoważoną dziewczyną.

Poza nielicznymi wadami natura obdarzyła ją mnóstwem cech, jeśli nawet nie pozytywnych, to w każdym razie in-

trygujących. Sprawiających, że Dorian uwielbiał spędzać z nią czas.

Przypomniawszy sobie ostatniego sylwestra. Nie byli już razem, ale mimo to znalazła chwilę, by spotkać się z nim i dać mu stówę na szczęście. Wierzyła, że taki banknot, o ile nie wyda się go przez cały następny rok, sprawi, że w tym okresie nie zabraknie ci pieniędzy. Nosił tę stówkę przy sobie niczym talizman. W przegródce z dokumentami, by przypadkowo nie zostawić jej w jakimś sklepie, no i rzeczywiście, jak dotąd finanse szły mu nie najgorzej. Kiedyś, gdy szukając koca, przypadkowo otworzył jej szafę, zobaczył stertę ozdobnych pudełek z eleganckimi kosmetykami, zabawkami i albumami. Wszystko fabrycznie zapakowane, ze zdartymi lub zamalowanymi naklejkami z ceną. Zaskoczony znaleziskiem spytał Agnieszkę, co to jest. Nieco zażenowana, przyznała mu się, że zbiera prezenty na zapas. Dla znajomych i rodziny. Tak, by w razie czyichś urodzin albo świąt mieć coś, czym mogłaby ich obdarować.

Dziwaczne, ale i urocze, prawda?

— Jestem ekonomiczna — zaśmiała się w półtorej godzinie później. — Wystarczą mi dwa piwa i już mi szumi w głowie...

Pochyliła się przy tym tak bardzo do przodu, że niemal oparła się piersiami o blat stolika. Dorian walczył ze sobą, by nie zapuścić żurawia za jej dekol, jednak

przegrał z kretesem. Oczywiście Aga natychmiast to wy-
łapała. Pogroziła mu palcem.

— Nieładnie! Nie rozbieraj mnie tu wzrokiem.

— Wcale cię nie rozbieram — skłamał, pąsowiejąc jak
dzierlatka. — Nic na to nie poradzę, że mi się podobasz.

— Wiem, widzę. Ale to już przeszłość.

— No — przytaknął z podszytą żalem niechęcią. —

Jasne.

— Najwyższa pora, żebyś znalazł sobie jakąś sympa-
tyczną pannę, taką, która nie będzie od ciebie za dużo
wymagała, bezkonfliktową...

— I nudną jak flaki z olejem?

— Ech, ty ciągle to samo! Nie można mieć wszyst-
kiego naraz.

— Niestety. Jeszcze po jednym? — Dorian dopił pi-
wo i odstawił pusty kufel.

Agnieszka zerknęła na zegarek.

— Nie mogę. Umówiłam się z Ewelina na rajd po
sklepach. Podobno zaczęły się przeceny... — Wstała i za-
nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, pocałowała go
w policzek. — Zdzwonimy się.

Odprawdzał ją smętnym wzrokiem, aż do chwili,
gdy zniknęła w drzwiach. Choćby nie wiadomo jak bar-
dzo starał się o niej zapomnieć, nadal była jego numerem
jeden. Okręciła go sobie wokół małego palca, a on wciąż
nie potrafił się uwolnić.

* * *

Dwa tygodnie zleciały szybko, zwłaszcza że aby dostać urlop, Dorian musiał obsłużyć więcej imprez niż zwykle. Tyrał na okrągło, ale nie narzekał. Wizja spędzenia dziesięciu dni pod słonecznym hiszpańskim niebem działała na niego bardziej pobudzająco niż setka czerwonych byków. Zgodnie z umową przyjechał po Agnieszkę, pomógł jej przenieść bagaż do samochodu, po czym — po niespełna godzinnej ekwilibrystyce na zatłoczonych drogach — dotarli w okolice lotniska.

Przeszli przez bramki nadspodziewanie gładko. Nikt nie robił im żadnych trudności, nikt nie czepiał się o wagę walizek, słowem — pełna kultura.

Agnieszka chciała usiąść przy oknie. Dorian nie protestował, zwłaszcza że leciał pierwszy raz w życiu i wcale mu nie zależało, by poznać wszystkie szczegóły. Wręcz na odwrót; starał się wmówić sobie, że jedzie na wakacje nowoczesnym autobusem, ale widok terminala i parkujących przy nim samolotów skutecznie mu to uniemożliwiało.

Dwie stewardesy i steward podpowiadali pasażerom, co i jak, z uprzejmym profesjonalizmem starając się zapanować nad typowym dla takich sytuacji zamieszaniem.

Obie stewardesy były niczego sobie, czego zresztą nie omieszkała zauważyć Agnieszka.

— Ta blondyna jest niezła, choć mogłaby zrzucić ze dwa kilo. A czarna wygląda na heterę... Pewnie lubi do-

minować w łóżku — podsumowała po swojemu.

— Steward ma chyba z pięćdziesiątkę — Dorian nie-
co odbił od tematu. Miał nadzieję, że Aga nie będzie
przez cały wyjazd starała się go wyswatać. — Nie wiedzia-
łem, że w tym fachu mogą pracować starcy...

— Popatrz na tę słodką idiotkę. — Wskazała oczami
blondynkę kręcącą się przy fotelach dwa rzędy przed nimi.

— Co z nią?

— Ma na karku dziarę z motylkiem.

— Acha. Niezła jazda.

— Ładnie ją popieprzyło, no nie?

— Szanowni państwo! — przerwał im głos z głośni-
ków. — Witamy na pokładzie. Do Girony polecimy samo-
lotem typu Boeing 737 w wersji osiemset, a nasza podróż
w dniu dzisiejszym potrwa...

Dorian przełknął ślinę, która nie wiedzieć kiedy wypeł-
niła jego usta. Szlag trafił udawanie, że jest w autobusie!
Głos opowiadał o wyjściach awaryjnych i o tym, jak
najlepiej do nich trafić, o maskach tlenowych, żółtym
opakowaniu z kamizelką ratunkową...

Agnieszka najwyraźniej świetnie się bawiła, obser-
wując mieniącego się na twarzy Doriana, który najchę-
tniej zatkałby sobie uszy rękoma, byle tylko nie słyszeć
komunikatu i nie wyobrażać sobie sytuacji, w której miał-
by skorzystać z zawartych w nim rad.

— Pasażerowie siedzący przy wyjściach awaryjnych

lub w pierwszych rzędach kabiny proszeni są o zwrócenie uwagi na to, żeby cały bagaż podręczny był ulokowany w szafkach nad siedzeniami... Personel pokładowy służy pomocą przez cały czas trwania rejsu. Życzymy państwu przyjemnego lotu!

To chyba jakiś ponury żart, pomyślał Dorian, zapinając pasy. Czuł, że jeszcze moment, a zemdleje. Narobił sobie obciachu, jak wtedy w siódmej klasie, gdy w trakcie pobierania krwi do badań nieopatrznie spojrzął na strzykawkę i fiknął z taboretu.

Może nie będzie aż tak źle, pocieszał się zasłuchany w odgłosy z zewnątrz. Chyba silniki podjęły pracę, a to oznaczało, że maszyna wkrótce wzbije się w przestworza. Zadrżał na samą myśl o tym.

— Ale z ciebie panikarz — zaśmiała się Agnieszka. — Nigdy nie leciałeś samolotem?

— Może zmienimy temat — zaproponował Dorian, po czym dodał z odrobiną złośliwości: — Pogadajmy o czymś miłym... Co słychać u twoich starych?

Rzecz jasna zdawał sobie sprawę z tego, że Aga nie znosi swojej rodziny. Zresztą z wzajemnością.

— Nic nowego — westchnęła. — Zawsze byli popierdoleni i tacy zostali.

Po początkowych strachach Dorian uspokoił się nieco. Zaczynał wierzyć, że jednak przetrwa tę podniebną eskapadę. Im bliżej startu, tym lepszy miał humor. Pogada

sobie z eks i jakoś to pójdzie. Najchętniej porozmawiałby z nią o jakiejś przyszłości, w której stanowiliby parę, ale zdawał sobie sprawę z tego, że w ten sposób strzeliłby do własnej bramki. Wybierał więc tematy zastępcze, za to całkowicie bezpieczne.

— Próbowiałaś kiedyś pisać lewą ręką?

— Jako dziecko. Nie pamiętam. A co?

— Bo ja próbowałem.

— No i?

— Można napisać wszystko, co się chce. Trochę wolniej, poszczególne litery wyglądają też nieco inaczej, ale można...

— Co można?

Pytanie zawisło w powietrzu. Dorianowi wydało się, że słyszy jakiś podejrzany dźwięk dobiegający spoza samolotu. Czyżby coś się spieprzyło?

W jednej sekundzie stracił całą pewność siebie. Z silnikami było raczej wszystko w porządku, ich jednostajne buczenie nie pozostawiało co do tego wątpliwości.

Strach wywołało coś zupełnie innego...

Maszyna wolno ruszyła w stronę pasa startowego.

O kurwa, pomyślał Dorian. O kurwa, mamusiu.

Rozdział 5

Ile to już trwa? Jak bardzo by się nie koncentrował, nie był w stanie dotrzeć do źródła chaosu, który wdarł się w jego uporządkowaną egzystencję, wywracając ją do

(góry nogami. Minęło zaledwie kilka dni, odkąd zastał swoje mieszkanie przemeblowane. To wtedy wszystko się zaczęło. Ale czy na pewno? Czy rzeczywiście wcześniej wszystko grało? Czy czegoś nie przegapił? Miał wrażenie, że jego umysł stał się ryszotkiem pełnym obaw i chwiejnych domysłów, które zamiast przybliżyć do prawdy, sprawiały, że czuł się coraz bardziej zagubiony. Wciąż stawała mu przed oczami scena na lotnisku w Dublinie. Po tym, jak dowiedział się, że zastrzelono koordynatora załóg, coś w nim pękło. Jakaś tajemna wiedza, a może istota, która gnieździła się w nim od dawna, mrugnęła do niego porozumiewawczo, wychylając się zza zasłony niepoznanego. Pod sklepienie czaszki wdarł się niepokój, lub raczej pan Niepokój, a teraz rezydował tam niczym udzielny książę. I, co gorsza, nigdzie się nie wybierał.

Tamtego dnia, gdy opuszczał samolot, by udać się na zesłanie do hotelu, kipiała w nim wściekłość na tę cholerną biurokrację, przez którą musiał odwołać spotkanie z Mają. Po chwili facet odpowiedzialny za zamieszanie dostał kulkę w łeb. Przypadek? Artur nie wierzył w takie przypadki. Nie miał pojęcia, skąd wzięły się w nim myśli, że mógłby być odpowiedzialny za ten wypadek.

To było silniejsze od niego. Te obawy. Bał się, że w jakiś pokrętny sposób przyczynił się do tej tragedii.

W drodze na lotnisko zadzwonił do Majki.

— Co u ciebie, kapitanie? — zagadnęła.

— Właśnie przedzieram się przez miasto — odpowiedział. — Po prostu droga przez mękę, jak zwykle zresztą.

— Skąd ja to znam...

— A tobie udało się dojechać?

— Owszem, czekam na Claudię. Podobno ugrzęzła w korku.

W tym samym momencie autobus, w którym jechał, gwałtownie zahamował. Nieszczęśnicy, którzy nie załapali się na miejsca siedzące, dosłownie owinęli się wokół poręczy. Rozległ się ryk klaksonów i siarczyste przekleństwa kierowcy. Siedzący przy oknie pilot dostrzegł sznur samochodów na prawym pasie.

— Zdaje się, że i ja utknąłem tu na dobre — mruknął.

— A jak tam ciotka? Jak się trzyma?

— Cieszę się, że o to pytasz — ożywiła się stewardesa.

— Trudno w to uwierzyć, ale... zaraz po tym, jak z tobą ostatnio rozmawiałam, dostałam telefon ze szpitala.

— I...?

— I ta lekarka, która zajmowała się ciotką, powiedziała mi, że wykonali jej dodatkowe badania. Teraz uważaj. Wyszły świetnie! Nagle okazało się, że ciotka jest okazem zdrowia. Że nic jej nie jest, rozumiesz?

— To wspaniale.

— Nie pytaj mnie, jak to możliwe...

— Wszystko jest możliwe—wszedł jej w słowo. — Trzy-

małem kciuki za kobiecinę. Tak mocno jak się tylko dało.

— Podziwiam twoją moc sprawczą — zażartowała.

— Jestem ci niewymownie wdzięczna, w imieniu swoim i ciotki. A słyszałeś o wczorajszej ostrej jeździe na EDDF?

— zmieniła temat.

— Jakiej ostrej jeździe?

Miała na myśli lądowanie Boeinga 747 na lotnisku we Frankfurcie, które omal nie skończyło się katastrofą. Otóż lecąca z Tokio do Frankfurtu maszyna z dwustu dziewięćdziesięcioma pasażerami na pokładzie lądowała przy silnych porywach bocznego wiatru, który zaczął przechylać samolot tuż nad pasem raz w jedną, raz w drugą stronę. Gdy prawe koło dotknęło asfaltu, maszyna przechyliła się na bok i otarła końcówką skrzydła o pobocze. Kapitan Charles McGregor — Gałęcki już wcześniej słyszał o jego wyjątkowych umiejętnościach i niebywałym refleksie — natychmiast pociągnął za stery, ponownie podrywając kolosa w powietrze i tym samym cudem unikając najgorszego.

— Naprawdę o tym nie słyszałeś? — zdziwiła się stewardesa. — Trąbią o tym na każdym kanale, no i w radiu.

— Jakoś nie słyszałem — wyjaśnił sucho.

Informacja Mai przywołała wspomnienia sprzed lat, kiedy w Tokio huragan dosłownie zepchnął z pasa lądującego Airbusa 320, za którego sterami siedział jego przyjaciel Jean-Pierre Lautin. Zarówno on, jak i drugi pi-

lot nie mieli najmniejszych szans. Maszyna złamała się w pół i eksplodowała niczym skład fajerwerków. Śledztwo w sprawie tego incydentu trwało trzydzieści miesięcy, ale nie udało się wyjaśnić, dlaczego kapitan zdecydował się na lądowanie przy tak silnym wietrze. Wielokrotnie pytany o przyczynę katastrofy rzecznik japońskiego zarządu ruchu lotniczego niezmiennie powtarzał, że pracownicy wieży kontrolnej nie popełnili żadnego błędu.

Jasne, najlepiej obarczyć winą kogoś, kto nie może się bronić, pomyślał cierpko Artur, po czym dodał, już na głos:

— Najważniejsze, że wszyscy wyszli z tego pojedynku cało. McGregorowi należy się medal. To naprawdę genialny pilot...

Majka wyczuła jego przygnębienie. Jakiś czas temu opowiadał jej o katastrofie w Tokio i domyśliła się, czym teraz się zamartwia.

— Masz rację, jest świetny w tym, co robi. Tak jak i ty, Arturze. A tak poza tym, poprawiło ci się?

— To znaczy?

Zamilkła na moment, jakby żałując, że w porę nie ugryzła się w język.

— Spotkałam Eversona...

— Eversona? — przerwał jej, czując narastającą irytację. Był nieomal pewien, co usłyszy. — Co takiego ci nagadał?

— Nic. Wspomniał tylko, że ostatnio byłeś jakiś nieswój.

Gałecki prychnął. Gdyby w tej właśnie chwili spotkał

Johna, pewnie przywaliłby mu w gębę.

— Nieswój?

- No.

— Po jakiego diabła się wtrąca? — wypalił. — Zresztą... — Zdołał się opanować. — Porozmawiam sobie z nim.

— Słuchaj, mam nadzieję, że niczym cię nie uraziłam...

—Ależ skąd. Nawet tak nie myśl. Niedługo pogadamy.

Dziewczyna zachichotała znacząco.

— Najlepiej przy dobrej kawie i ciasteczkach — zaproponowała. —A jeszcze lepiej byłoby pójść do kina.

— Marzę o tym. Może wreszcie uda nam się znaleźć odrobinę czasu.

Wymienili uprzejmości i rozłączył się. Miał chęć zadzwonić do Eversona i opieprzyć go. Powstrzymał się jednak. Pomyślał o McGregorze i o tym, co ten facet musiał czuć, widząc jak jego maszyna przechyla się na bok tuż nad pasem. Na samą myśl o tym wzdrygnął się. Był niemal pewny, że gdyby przyszło mu stanąć w obliczu podobnej sytuacji, to kilka godzin później w wieczornych wiadomościach zamiast wychwalania jego umiejętności, podano by liczbę ofiar.

* * *

Dostrzegł Szymona Krzyżanowskiego, gdy ten z zaciętą

miną wspiął się po schodach do samolotu. Maszyna stała pół kilometra od budynku terminalu i ten dystans Gałęcki pokonał piechotą. Na jego widok Krzyżanowski klasnął w dłonie i krzyknął coś, co zabrzmiało jak:

„Chcesz cracku?“, a w rzeczywistości było jego klasycznym powitaniem: „Cześć, brachu!“.

Zatrzymał się tuż przy nim i kiwnął głową.

— Wszystko w porządku? — Wiał silny wiatr, co prawda nie tak silny jak poprzedniego dnia we Frankfurcie, jednak wystarczająco, by rozwiać czuprynę Gałęckiego.

— Silniki wiszą na ostatnim gwoździu — zażartował Szymon, przez chwilę z rozbawieniem obserwując z góry skazaną na porażkę walkę kumpla z przywróceniem fryzury do poprzedniego stanu. Na pocieszenie klepnął go w plecy. — Kopę lat — oznajmił z przekąsem. — Już myślałem, że na kolejny wspólny lot będziemy musieli czekać do świętego nigdy. Co z tobą, stary? Nawet nie zadzwonisz i nie zapytasz, co słyhać...

Artur wzruszył lekko ramionami, wciąż walcząc z hitlerowskim przedziałkiem, który trzymał się jego głowy niczym rzep psiego ogona.

— Nie mam nic na swoje wytłumaczenie. Poza tym, że nawet roboty coraz bardziej daje mi się we znaki. Czasami zapominam, jak się nazywam.

— Ja tam wiem, co jest grane! — wykrzyknął Krzyżanowski. Był potężnym, muskularnym trzydziestosied-

miolatkiem ze spiętymi w koński ogon włosami. Ciemne, głęboko osadzone oczy, wystające kości policzkowe, orlnos i kwadratowa szczęka upodabniały go do Janosika. — To wszystko przez Majkę. Będę musiał z nią poważnie porozmawiać!

— Mam wrażenie, że nawet ci z wieży wiedzą, że ona mi się podoba — skrzywił się Gałęcki. — Ciekawe, kto rozpuszcza te ploty. Obstawiam Eversona.

— Eversona? Czemu?

— Jakoś tak.

— Podpadł ci?

Artur machnął ręką, po czym zajął się rutynową kontrolą zewnętrzną samolotu. Zajrzał do silników, następnie pochylił się i wszedł pod brzuszisko boeinga. Krzyżanowski stanął obok, mrużąc podrażnione przez wiatr oczy. Tym, którzy go nie znali, wydawał się twardzielem, któremu lepiej nie wchodzić w paradę. W rzeczywistości Szymon był pokojowo nastawiony nawet do tej kategorii pasażerów, którzy wzbudzali podejrliwość wśród reszty załogi. „To, że od czasu do czasu jakieś czuby wysadzą samolot, nie znaczy, że każdy z mordą jak niewypał musi być terrorystą”, powtarzał. Miał przepiękną żonę Justynę i trójkę świetnych dzieciaków. Najstarszy, Krzysiek, skończył niedawno dwanaście lat i podobno świetnie radził sobie jako pilot komputerowego symulatora Flight Gear. Krzyżanowski godzinami potrafił rozprawiać o tym,

jak znaczące postępy za sterami fokkera czy cessny Citation Bravo robi jego dzieciak. Artur uwielbiał słuchać tych rodzinnych opowieści. Czuł wtedy szczerą radość, a zarazem równie szczerą zazdrość. Choć był w wieku Krzyżanowskiego, nie dorobił się potomstwa. No, a co gorsza, nie miał na to żadnych widoków. Zwykł mawiać nieco żartobliwie, że wciąż szuka potencjalnej matki i zarazem przyszłej byłej żony.

— Znalazłeś coś ciekawego? — zapytał drugi pilot, widząc konsternację malującą się na twarzy Gałęckiego.

— Kiedy był tankowany?

— Skończyli piętnaście minut temu.

— Aha.

— A co?

Nic, pomyślał Artur. Nic. Chciał się tylko upewnić, że samolot w ogóle był tankowany. Chyba przestał wierzyć komputerom. Kolejny dowód na to, że odbija mi szajba, westchnął w duchu.

— Chyba się trochę wylało — skłamał gładko.

— Tak? Pokaż.

Szymon pochylił się, ale wtedy Gałęcki wyskoczył spod maszyny jak z procy i rozłożył ręce, jakby chciał go objąć w braterskim uścisku. Nie zrobił tego jednak, po przestając na złapaniu Krzyżanowskiego za łokieć.

— To nic. Po prostu blacha jest wilgotna. Chodźmy do środka.

— Blacha jest wilgotna? — zdziwił się drugi pilot. Nie miał możliwości zobaczyć na własne oczy, co się stało, bo Artur trzymał go mocno, prowadząc jak ociemniałego.

— Chodźmy!

— Poczekaj... — próbował oponować Szymon.

— Nie ma co gadać o bzdetach. Mamy robotę w kabini.

Drugi pilot otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął i podążył za kapitanem do samolotu.

— Nawal roboty rzeczywiście daje ci się we znaki — mruknął, gdy byli już na pokładzie.

Gałecki wzruszył tylko ramionami, przyglądając się dwóm stewardom walczącym z odkurzacami. Mechaniczny ryk zagłuszał słowa Mai, która wyłoniła się z toalety i ruszyła w stronę Artura.

— Możesz powtórzyć? — poprosił.

Dziewczyna zbliżyła się do pilotów i uściśnęła im dłonie. Ściągnięte w cienką kreskę usta świadczyły o tym, że coś ją porządnie wkurzyło.

— No... na... — usłyszał Artur, ledwo ogarniając własne myśli. Dwóch stewardów sprzątało przednią część pokładu z takim zacięciem, jakby toczyli najkrwawszą w dziejach bitwę z brudem.

— Co?

— Gówno! — warknęła Maja, aż jeden ze stewardów, Jacek Rybiński, wyprostował się i zdumiony popatrzył

w ich stronę. Jego odkurzacz wciąż wył.

— Kurwa, Jacek, możesz to wyłączyć?!

Mężczyzna z plackiem siwych włosów na głowie po-
słał jej pytające spojrzenie, dalej w skupieniu jeżdżąc ru-
rą odkurzacza po podłodze.

Wykonała gest imitujący naciśnięcie wyłącznika.

Domyślił się wreszcie, o co chodzi, i po chwili zrobi-
ło się znacznie ciszej. Drugi steward, trzydziestoletni
Bartek Sikorski wciąż wyzywał się na swej maszynie.

— Możesz teraz jeszcze raz powiedzieć, co się stało?

— zapytał Gałecki.

Majka nabrała powietrza do płuc, wypuściła je po-
woli, jakby spuszczała parę z kotła, po czym wymierzy-
ła w pilota palec.

— Co się stało? — syknęła z furią. — Jakiś debil za-
srał cały kibel, ot co się stało! Jest zatkany. Potrafisz w to
uwierzyć?

Szymon parsknął śmiechem.

— Co w tym takiego zabawnego? — fuknęła, pioru-
nując go wzrokiem.

Drugi pilot natychmiast spoważniał.

— Zakładam, że wciąż jest... zabrudzony — domyślił
się Gałecki.

— A jak myślisz? Próbowałam to sprzątnąć, ale się
nie da.

— Spokojnie, jakoś to załatwimy.

— Niby jak? Za dwadzieścia minut pokład wypełni się pasażerami.

Artur zastanawiał się przez chwilę.

— Nie można spłukać szlauchem? — zapytał z udawanym przerażeniem.

— Nie rób sobie jaj! Cała muszla jest brudna. I kłapa.

— Kłapa też? — wtrącił Szymon. W głębi duszy pękał ze śmiechu. Tak jak kapitan, który bacznie przyglądał się kropelkom potu na czole stewardesy.

— No więc? — zapytała. — Który z was się tym zajmie? Sama nie dam rady. Któryś z was musi wymienić klapę. Krzyżanowski wykazał się większym refleksem, bo w tym właśnie newralgicznym momencie przypomniał sobie, że zostawił w biurze ważne papiery. Niby to przypadkiem zerknął na zegarek, z grobową miną oświadczył, że za pięć minut będzie z powrotem, no i czmychnął z pokładu.

Majka świdrowała Artura wzrokiem, który mówił: nawet nie próbuj zwiewać!

Pilot dał za wygraną.

— Bartek! — zwrócił się do młodszego stewarda.

Mężczyzna wyłączył wreszcie swój odkurzacz i zapanowała błogosławiona cisza.

— No?

— Nie: no, tylko zaiwaniaj do terminalu po nową klapę od kibla! Migiem, migiem!

* * *

Artur omiół spojrzeniem ściany z bezpiecznikami. Wszystko grało. Wprowadzanie danych do komputera nie zajęło wiele czasu. Maszyna była zatankowana, ilość paliwa w normie, z niewielkim zapasem, obliczonym na ewentualne utrudnienia pogodowe, masa ładunku w lukach bagażowych odpowiednia. Świetnie. Mógł przystąpić do uruchomienia systemów samolotu. Elektryczny zadziałał od kopa, podobnie hydrauliczny. System powietrzny uruchomił się po kilku sekundach. Krzyżanowski posłał mu porozumiewawcze spojrzenie, po czym rozpoczął procedurę uruchamiania silników. Artur uważnie obserwował ruchy przyjaciela. Było nie było, zasada „cross-check”, polegająca na wzajemnym kontrolowaniu wykonywanych czynności, jest nieodzownym elementem współpracy wszystkich pilotów. To, co ty wykonujesz, ja sprawdzam. Oto mantra każdego lotnika zasiadającego za sterami.

— Przeczytaj jeszcze raz checklistę, plis — mruknął, gdy wszystkie silniki samolotu podjęły już pracę.

Szymon podniósł brew, lekko zdziwiony, jednak bez protestu sięgnął do schowka po swojej prawicy i wydobyl książkę z kilkudziesięcioma stronicami zawierającymi zbiór czynności kontrolnych.

— Mam znowu wszystko sprawdzać?

— Tak.

— Myślisz, że coś przeoczyliśmy?

Gałecki nigdy wcześniej w obecności Szymona nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Kto jak kto, ale on? Jeden z lepszych pilotów w firmie, który z zamkniętymi oczyma potrafiłby przygotować maszynę do startu, a zapewne również z zamkniętymi oczyma poderwać ją do lotu? To było do niego niepodobne. A jednak wyglądał na wystraszonego. Wiercił się na swym fotelu, a jego ręce ledwie dostrzegalnie drżały.

— Wydaje mi się, że powinniśmy ponownie wszystko sprawdzić — odparł, drapiąc się nerwowo po policzku.

- Zajmij się tym.

Krzyżanowski zawahał się na moment, po czym wykonał polecenie. Otworzył teczkę i przewertował dane. Mapy, tabele i wykresy były wykonane precyzyjnie. Upewniwszy się, że dokumentacja została przygotowana rzetelnie, zamknął teczkę i odłożył ją na miejsce.

— Powiesz mi łaskawie, co jest grane? — zapytał.

Artur zwilżył wargi językiem. Były spieczone, jakby dopiero co skończył rajd Paryż — Dakar.

— Nie ma o czym gadać.

— Chłopie, bądź poważny. Mów.

— Ostatnio mam jakieś obawy — oznajmił z ociąganiem. Normalnie nie przyznałby się do tego nikomu z firmy. A już z pewnością nie piętnaście minut przed odlotem. Ale znał Szymona jak własne pięć palców i wie-

dział, że może na niego liczyć. — Śnią mi się koszmary,
a po przebudzeniu męczą mnie złe przeczucia, rozumiesz?

Drugi pilot kiwnął niepewnie głową.

— Rozmawiałeś z psychologiem?

— Jeszcze nie. Myślałem, że samo minie...

— A co to za koszmary?

— Opowiem ci jak wystartujemy, dobra?

— Dasz radę?

Gałecki przewrócił oczami.

— Tak, dam. Na pewno. Chyba wiem, jak walczyć
z tym szajsem. To zwykłe zmęczenie. Czasami tylko...

Zresztą, nieważne.

Szymon milczał przez chwilę. W końcu rzekł tonem,
w którym pobrzmiwało podenerwowanie:

— Od dawna powtarzam ci, żebyś wziął urlop.

— Myślę, że to dobry pomysł — zgodził się Artur, po-
woli zwalniając hamulce postojowe, po czym ponownie
je uruchomił. — Jak wrócimy z Girony, wezmę kilka ty-
godni wolnego. Będzie mi brakowało roboty, ale...

— Musisz wypocząć — wszedł mu w słowo Krzyża-
nowski. — Dobrze wiesz, że to nie przelewki. Twoja nie-
dyspozycja to zagrożenie zarówno dla ciebie, dla mnie,
załogi, jak i pasażerów.

— Nie truj. Spokojnie. Panuję nad wszystkim. Jesz-
cze nie ześwirowałem.

— Nie twierdzę, że ześwirowałeś, po prostu trochę się niepokoję. Dziwnie się zachowujesz. Co to za skecz odstawiłeś podczas zewnętrznej kontroli?

— Nie masz powodu do zmartwień, stary. Naprawdę. Poza tym pięćdziesięciu pasażerów to nie stu pięćdziesięciu, co? — silił się na żarty, a tymczasem jego żołądek fikał koziołki. Niepewność i obawy wracały jak natrętny domokrążca.

— Chrzanisz głupoty — podsumował drugi pilot. — Mam coraz większą ochotę skopać ci tyłek.

— Spokojnie, już myślę o urlopie — westchnął ugodowo Artur. — Mam nadzieję, że uda mi się namówić Majkę na jakiś wyjazd, no wiesz, jezioro, las, cisza mącona jedynie cykaniem owadów, hamaki, wino, seks rano, we dnie, w nocy...

Szymon zmarszczył brwi, poprawiając kucyk. Widać było, że rozmowa zeszła na interesujące go tematy.

— Seks?

— No, a co?

— Zamiast do łóżka, najpierw zgłoś się do psychologa.

— Masz to jak w banku. Słowo harcerza.

Moment ciszy, w której trakcie oczekiwali pozwolenia na start, przerwał Krzyżanowski.

— Dobra jest?

— Co?

— No, czy dobra jest w te klocki?

— Mówisz o Mai?

— Nie, o Eversonie... — Widząc zdziwienie Artura, pierwszy oficer wypalił: — No jasne, że o Mai! Obudź się, chłopie!

Gałecki zadumał się, po czym spojrzał na kolegę z ukosa.

— Nie wiem — odparł. — Jeszcze... Hm, to wyjątkowa dziewczyna. Nie chcę brać jej od razu na ruszt. Krzyżanowski chrząknął porozumiewawczo i obaj się roześmiali. Potem jednak drugi pilot nagle spowaźniał.

— Myślisz, że coś się wydarzy? Wiesz, po starcie albo w trakcie lotu?

Artur czekał, aż przyjaciel zada to pytanie. Niegłupie, przyznał, biorąc pod uwagę okoliczności. Wbijając wzrok w długą żółtą linię na drodze kołowania, włączył na moment wycieraczkę, aby sprawdzić czy i one działają jak należy. Działały. Mimo to lęk pogłębiał się. Coś z pewnością jest spartolone, pomyślał, walcząc z chęcią ponownego skontrolowania samolotu od zewnątrz. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi odpuścić, jeśli nie chce wyjść na maniaka.

— Mam złe przeczucia, owszem — wydukał. — Ale one do niczego nie prowadzą. Wczoraj przed odlotem do Dublina miałem tak samo. Byłem przerażony i pewny, że dojdzie do katastrofy. Tymczasem obyło się bez zgrzytów. — Kapitan uśmiechnął się uspakajająco do Krzyża-

nowskiego, po czym dodał: — Wiesz, co ci powiem? John też zbladł na mój widok.

! — Naprawdę? — odburknął drugi pilot. Przejechał dłonią po czole i włosach, sadowiąc się wygodniej w fotelu.

Choć z twarzy kumpla pozornie zniknęła troska, Artur zauważył, że cienka żyłka na jego skroni pulsowała, jakby za moment miała przebić skórę.

Nagle odezwała się wieża kontroli lotów. To mogło oznaczać jedno: że za chwilę pójdą w ruch stery. Podczas gdy Krzyżanowski pochłonięty był rozmową, myśli Gałęckiego rozproszyła puszczone z taśmy mowa powitalna. Choć znał tę regułkę na pamięć, słuchał jej z napiętą uwagą.

99

— Szanowni państwo! Witamy na pokładzie. Do Girony polecimy samolotem typu Boeing 737 w wersji osiemset, a nasza podróż w dniu dzisiejszym potrwa dwie godziny i trzydzieści minut. Boeing 737-800 posiada sześć dokładnie oznakowanych wyjść awaryjnych — dwa z przodu, dwa z tyłu i dwa w środkowej części kabiny. Prosimy o upewnienie się, gdzie znajduje się najbliższe dla państwa wyjście awaryjne. W przypadku słabej widoczności oświetlenia podłogowe wskażą drogę do wyjść bezpieczeństwa.

Artur zastanawiał się, jakie jest prawdopodobieństwo, że dojdzie do awarii. Ile rzeczy może się spieprzyć? Przez jego głowę przelatywał jeden scenariusz za drugim, każdy bardziej frustrujący od poprzedniego.

— W przypadku zmiany ciśnienia w kabinie maski tlenowe zostaną automatycznie opuszczone przed każdym pasażerem...

Może obchodząc maszynę, nie zwróciłem uwagi na jakieś uszkodzenie, na przykład skrzydła? Może mocowanie któregoś z silników było poluzowane?

Uświadomiwszy sobie, że to niemożliwe, zrugął się za szukanie dziury w całym. Wyluzuj chłopie, po prostu wyluzuj, powtarzał w duchu, inaczej zamiast w Gironie wylądujesz w wariatkowie.

— Prosimy także o wyłączenie telefonów komórkowych. Zabronione jest używanie przenośnych urządzeń elektronicznych w czasie startu, przygotowania do lądowania lub samego lądowania. Przy czym używanie pewnych urządzeń nie jest dozwolone przez cały czas trwania rejsu...

Telefony... Co, jeśli pojawią się zakłócenia? Co, jeśli...

Artur rzucił okiem na pierwszego oficera. Ten kiwnął porozumiewawczo głową, dając mu tym samym znać, że jest gotowy do lotu.

Tymczasem głos z taśmy nadal znęcał się nad podświadomością Gałęckiego.

— Przypominamy, że palenie tytoniu jest zabronione.

Złamanie zakazu będzie traktowane jako wykroczenie i podlega karze, która może zostać wyegzekwowana po przylocie do Girony. Przed startem prosimy o zapoznanie się

z instrukcją bezpieczeństwa, która znajduje się w kieszeni fotela przed państwem. Personel pokładowy służy pomocą podczas rejsu. Życzymy państwu przyjemnego lotu!

— Kapitanie — oficjalny ton Krzyżanowskiego wprowadził pilota na ziemię. — Mamy zezwolenie na start.

Czując, że serce pcha mu się w stronę gardła, Artur złapał za dźwignię po prawej stronie fotela. Zaciśnął na niej dłoń, po czym delikatnie przesunął w przód. Silniki natychmiast zaczęły pracować na wyższych obrotach. Ich narastający dźwięk paraliżował go, jednak nie dawał tego po sobie poznać. W duchu policzył do trzech i na „trzy” przesunął dźwignię jeszcze trochę do przodu.

Boeing 737 z czterdziestoma dziewięcioma pasażerami i personelem na pokładzie wolno potoczył się na drogę do kołowania.

Rozdział 6

Port lotniczy Girona położony jest zaledwie osiem kilometrów na południe od malowniczego miasteczka o tej samej nazwie, posiadającego jedną z najstarszych w Hiszpanii średniowiecznych starówek, i sto kilometrów od Barcelony. Podróżni udający się do stolicy Katalonii najczęściej lądują właśnie w Gironie. Tam przesiadają się do autobusów i resztę drogi pokonują autostradą.

Artur odwiedził już kiedyś Barcelonę. Niespełna dwa lata wcześniej miał lądować w Gironie, ale koszmarnie warunki pogodowe sprawiły, że skierowano go właśnie

tam. Krótco po tym, jak wylądował, gwałtowne burze rozszalały się nad całą południową Hiszpanią. Lot powrotny do Poznania, a także kilka innych, siłą rzeczy został przełożony na następny dzień, tak więc Gałęckiego wraz z resztą ekipy zakwaterowano w hotelu. Choć padało i wiało jak na pokładzie Latającego Holendra, postanowił, że nie zmarnuje nadarzającej się okazji i skorzysta choćby z jednej z rozlicznych atrakcji miasta.

Wybór nie był trudny. Artur od dawna marzył o tym, by na własne oczy ujrzeć nigdy nieukończony secesyjny kościół La Sagrada Familia. Zarówno o tej budowli, jak i o jej twórcy — sławnym katalońskim architekcie Antoni Gaudim — krążyło bowiem mnóstwo intrygujących opowieści.

Budowla wyprawiła go w nieklamany zachwyt.

Perfekcyjnie oświetlona ze wszystkich stron, wzbudzała skojarzenia z bajkowymi zamkami. Żałował, że nie ma przy sobie cyfrowki i nie może uwiecznić złocistej poświaty, jaką wokół siebie roztaczała.

Tamtego wieczoru obiecał sobie, że wróci do Barcelony najszybciej jak się da. Chciał zabrać tam Beatę. Pokazać jej Sagradę i zaciągnąć na plażę, gdzie w świetle księżycy kochaliby się do upadłego. Ech, Barcelona, ta słodka Barcelona! Teraz znów miał znaleźć się w pobliżu. Sam. Ze skołatanymi nerwami. I obawami. Co, jeśli tam nie doleczą? Co, jeśli po drodze wydarzy się coś nie-

oczekiwanego?

Walczył zaciekle z myślami, kołując maszynę na pas startowy. Beata to już zamierzchna przeszłość. Ale Majka... Właśnie. Mógłby zaproponować jej wypad do Barcy i wraz z nią rozkoszować się tamtejszą atmosferą kompletnej beztroski. Beztroska, jak to nierealnie brzmi, pomyślał coraz bardziej spięty. Gdy maszyna wolno wjechała na pas, zdał sobie sprawę, że nie ma odwrotu, że wszelkie lęki należy natychmiast poskromić.

— Startujemy — oświadczył Krzyżanowski.

Słońce wisiało wysoko, nieomal sięgając zenitu. Gałtecki lewą dłoń zacisnął mocno na wolancie, prawą oderwał na moment od chromowanej dźwigni, pozwalając boeingowi pokonywać kolejne metry pasa startowego ze stałą prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

A potem, ignorując przyglądającego mu się z troską drugiego pilota, przesunął dźwignię do przodu. Ciąg silników został zwiększony do maksimum. W kabinie rozległ się jedynie cichy szum, zupełnie niepodobny do nieprawdopodobnie głośnego świstu zwiększających obroty motorów na skrzydłach samolotu. Przyspieszenie wcisnęło ich w fotele. Artur uwielbiał te chwile. Po tylu latach wciąż podniecała go myśl o poderwaniu maszyny ku niebu. Momentalnie miał nawet wrażenie, że nie dotyka steru, że podnosi samolot siłą swej woli.

Jednak tym razem Szymon nie dostrzegał na twarzy

przyjaciela ani śladu zadowolenia. Gątecki był spocony jak mysz i ciągle mrugał, jakby w obawie, że słone krople wypalą mu oczy.

Samolot pędził z coraz większą prędkością, szybko zbliżając się do świateł oznaczających koniec pasa. Kapitan odczekał, aż maszyna osiągnie prędkość startową i kiedy wreszcie tak się stało, delikatnie pociągnął za stery.

Przednie koło boeinga oderwało się od ziemi. Pas zniknął im z pola widzenia zastąpiony fragmentem błękitnego nieba. Maszyna wzbiła się w przestworza.

Krzyżanowski połączył się z kontrolą zbliżania i w skupieniu wysłuchał kilku poleceń. Gątecki podniósł dźwignię chowania podwozia, po czym obrał właściwy kurs. Sprawdził parametry lotu, a gdy samolot nabrał wysokości, włączył autopilota i oderwał wilgotne dłonie od sterów. Serce nadal waliło mu jak młot w rękach ogarniętego szalem kowala, ale już nie tak wściekle jak w trakcie startu. Oparł głowę na zagłówek i pozwolił opaść emocjom. Może nie będzie tak źle, uznał. Może jakimś szczęśliwym trafem nie spadniemy nad Alpami.

Może nawet wylądujemy w tej przeklętej Gironie!

Poczuł na sobie wzrok przyjaciela. Odwrócił się, by spojrzeć na niego. Drugi pilot uśmiechał się niepewnie.

Zdążył odpiąć pasy i wyciągnąć się w fotelu niczym król na szczyt złotym tronie.

— Wyglądasz na posranego — oznajmił.

Artur machnął niedbale ręką.

— Co ty nie powiesz?

— Mógłbyś wystąpić w konkursie na miss mokrego podkoszulka. Tylko przydałby ci się większy biust.

— Większy biust?

— No, wystarczy trochę silikonu i po zawodach...

— Świetny żart, naprawdę. Muszę ci przypominać, że to ja jestem tu szefem i że jak będziesz mnie wnerwiać, mogę cię ukarać naganą albo ustnym upomnieniem bez wpisu do akt?

Szymon parsknął śmiechem. Wkrótce rechotali obaj.

Ten głupkowaty śmiech oczyścił atmosferę w kabinie.

Już w znacznie lepszym nastroju Artur wziął do ręki mikrofon. Wkrótce jego zwielokrotniony przez głośniki głos poniósł się po pokładzie:

— Panie i panowie — zaczął. Jego angielski był bez zarzutu. Żaden wyczyn, zważywszy na to, że uczył się go od dwudziestu lat z okładem. — Mówi kapitan Artur Gałdecki. Właśnie wznieśliśmy się w powietrze na wysokość...

— odchrząknął, chcąc jeszcze bardziej przykuć uwagę słuchaczy. — Tego wam nie powiem, gdyż bardziej strachliwi mogliby wpaść na pomysł, aby wyskoczyć przez najbliższe okno. Przypominam, że próba otwarcia któregoś z nich może skończyć się odlotem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Temperatura na pokładzie przekroczyła właśnie dwadzieścia stopni. Obiecuję, że nie osiągnie

trzydziestu. Lecimy z prędkością siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Prędkość ta może zwiększyć się jeszcze o pięćdziesiąt kilometrów. Życzę państwu miłego rejsu i proszę nie zanieczyszczać toalet.

Wyłączył odbiornik, wielce zadowolony z tej dowcipnej przemowy. Wracam do formy, przyznał z dumą i uwolnił się z pasów.

Drugi pilot patrzył na niego w osłupieniu. Chciał coś powiedzieć, ale przeszkodziło mu w tym natarczywe pukanie do drzwi kabiny.

— Wejść — oświadczył łaskawie Gałeczki, majstrując w komputerze pokładowym.

Na widok Mai jego oblicze rozjaśniło się jak świetlik wabiący upragnioną samicę.

— Witaj, królowo — rzekł, puszczając do niej oko. — Gdybym akurat nie był zajęty...

Stała bez ruchu i wpatrywała się w niego z ponurym niedowierzaniem.

— Proszę nie zanieczyszczać toalet? Co to za tekst?

— wykrztusiła wreszcie, marszcząc swój uroczy nosek w wyrazie dezaprobaty.

— No właśnie — sekundował jej Krzyżanowski. —

Miałem o to samo zapytać. Pogięło cię, stary?

— Nie spodobała się wam moja mowa powitalna?

Wyluzujcie! Może przynajmniej tym razem nie będą fadać na klape.

Zbita z tropu stewardesa zatrzepotała rzęsami.

— Artur, piłeś coś?

— Niezupełnie... — Przypomniat sobie lufę, którą wypalił poprzedniego wieczoru, tuż przed odkryciem trzeciego pokoju. I wizję, co do których pochodzenia miał wątpliwości. Wolał jednak nie zastanawiać się nad tym zbyt intensywnie. Przeszłość to przeszłość. W kabinie liczy się tylko „tu i teraz”. Miał zamiar przestrzegać tej zasady.

— Tak czy siak, trzeba przyznać, że zaskakiwać to ty potrafisz — odezwała się ponownie Maja. — Jeśli ktoś zapaskudzi kibel ze śmiechu, to będzie twoja wina. Wszyscy na pokładzie rechoczą i założę się, że komuś zaraz puszczą zwieracze.

Gałecki wyprostował się. Poruszył głową w lewo i w prawo, aby rozluźnić mięśnie szyi, po czym wydał wargi.

— Mogłabyś przynieść kawę, zamiast strofować swego dzielnego kapitana? Ja tu się staram ułatwić ci pracę, a tu taka czarna niewdzięczność...

Stewardesa wzruszyła ramionami.

— Kawa dla jaśnie panów, już podaję.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, w kabinie zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją kapitan.

— Szymon, miej wszystko na oku, pójdę się odpryskać.

Drugi pilot spojrzał na niego spode łba.

— Przyznaj się lepiej, że idziesz sprawdzić stan kłap w kiblach.

— Przejrzałeś mnie, detektywie.

Pomyślał, że dobrze by było rozprostować kości, więc zamiast skorzystać z toalety za kokpitem, ruszył do tej znajdującej się w tyle samolotu. Idąc przejściem między fotelami, dostrzegł krępego faceta w okularach w drucianych oprawkach. Wyglądał na odprężonego. W prawej ręce trzymał kubek z gorącą kawą. Terrorysta? Raczej nie. Uśmiechnął się do Gałęckiego, błyskając złotymi koronkami. Pilot odwzajemnił uśmiech.

Z mrowia mijanych twarzy zdołał jeszcze wyłowić młodego faceta, na oko pisarza, muzyka albo innego aktora ze spalonego teatru. Sprawiał wrażenie mocno przestraszonego. Towarzyszyła mu ciemnowłosa kobieta. Całkiem ładna, stwierdził Artur, choć wygląda na wiecznie nadąsaną. Cóż, nigdy nie uda się zadowolić wszystkich, podsumował filozoficznie.

Z naprzeciwka zbliżał się Jacek Rybiński. Pchał przed sobą wózek, częstując wszystkich cukierkami i proponując coś ciepłego do przekąszenia. Młodszy steward, Bartek, rozmawiał z kimś na tyłach samolotu.

Claudia siedziała na składanym stołku w pokładowej kuchni. Kątem oka zobaczył, że czyta jakieś kobiece piśmo. Musiał przyznać, że w śnieżnobiałej jedwabnej koszuli i granatowej spódnicy — tradycyjnym stroju linii lotniczych, dla których pracowali — prezentowała się niezwykle atrakcyjnie. Jej szczupłe stopy zdobyły czóten-

ka na płaskiej podszewie. Mimo wszystko zdecydowanie lepiej wyglądałaby w szpilkach, pomyślał, wchodząc do toalety.

Nie doskwierała mu żadna z fizjologicznych potrzeb.

Po prostu niepokój zagnieździł się zbyt głęboko w jego umyśle, by można go było wykorzenić zwyczajnym zaprzeczaniem faktom, samym powtarzaniem mantry, że wszystko jakoś się ułoży. Ułoży? Czy na pewno?

Stojąc przy umywalce w ciasnym pomieszczeniu, pocieszał się, że na razie nie dostrzeżeł niczego, co mogłoby potwierdzić jego irracjonalne obawy. Niczego. Niestety, gdzieś pod sklepieniem czaszki znów zaplątała się myśl, że któryś z pasażerów może okazać się czubkiem... Że będą kłopoty. Garstka podróżujących samolotem nie wydawała się groźna, choć kto wie?

Tymczasem Jacek podszedł do emerytowanego policjanta Stanisława Dąbczaka i jego aktualnej dziewczyny, Karolci. Od kiedy rozwiódł się po raz drugi, Staszek znacznie staranniej dobierał sobie towarzystwo na wakacje. Chcąc spędzić je jak najprzyjemniej, bez zbędnych scen i kłótni, a za to z mnóstwem atrakcji, jakie daje nieskrępowany i częsty seks, zdecydował się właśnie na Karolę. Apetyczna z każdej strony, no i — pomimo stosunkowo młodego wieku — wystarczająco doświadczona, by być interesującą. Choć nie mógł tego wiedzieć, Karolcia karierę łamaczki męskich serc rozpoczęła w liceum, roz-

kochując w sobie profesora od matematyki i skutecznie rozbijając jego wieloletnie małżeństwo. Potem uwiodła pracownika Powiatowego Urzędu Pracy, dzięki czemu dostała po znajomości ofertę umożliwiającą odbycie stażu w niezłe prosperującej firmie budowlanej, a jeszcze później... Długo by wyliczać.

Po bliższym poznaniu Karoliny, zresztą tak samo jak i po dalszym, emeryt był święcie przekonany, że dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent jej uroku osobistego ogranicza się do nieskazitelnie ukształtowanego ciała. Podejrzewał nawet, biorąc pod uwagę to, jak wiele wysiłku i pieniędzy poświęca na utrzymanie go w takiej formie, że dziewczyna w pełni zdaje sobie z tego sprawę.

— Ej, Karolcia, Karolcia — powtarzał często, widząc, jak owija sobie wokół palca kolejnych mężczyzn. — Co z ciebie wyrośnie?

— Nic więcej — odpowiadała ze śmiechem. — Już wyrosło.

Drugi rozwód Staszka zbiegł się w czasie z jego pierwszym zawałem. Oba zdarzenia wywołały w nim potrzebę, ba, żądzę wrażeń, zwłaszcza tych przyjemnych. Postanowił więc używać życia na całego, nie odkładając niczego na zaś. Po prostu dotarło do niego, że to „zaś” jest teraz, a następnego może nie doczekać.

W rzadkich chwilach słabości, w których pozwalał so-

bie na analizowanie, do czego dąży i kim tak naprawdę jest, przyznawał ze wstydem, że nie wie, kiedy stał się zimnym skurwysynem, który patrzy na wszystko i wszystkich z perspektywy własnego fiuta. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że takie podejście do bliźnich doprowadzi go w najlepszym wypadku donikąd, ale strach był silniejszy. Strach przed zdemaskowaniem, granicząca z przekonaniem obawa, że nie sprawdzą się w prawdziwym związku, że nie sprostałby wymaganiom stawianym przez kogoś, kogo naprawdę darzyłby miłością. Wolał tego nie sprawdzać. W końcu bezpieczeństwo to podstawa. W myśl tej zasady przed wylotem na wakacje sprawdził statystyki. A te mówiły jednoznacznie, że podróż samolotem jest bezpieczniejsza niż transport drogowy.

I tak oto, wyposażony w pokrzepiające dane statystyczne i dwie karty kredytowe, siedział w wygodnym lotniczym fotelu, z ręką na udzie ślicznej, choć niekoniecznie mądrej Karolci, rozkoszując się wizją najbliższych tygodni spędzonych na słodkim nieróbstwie.

— Tylko pamiętaj, że obiecałeś, że nie będziemy za dużo zwiedzać — dziewczyna wyduła kapryśnię wargi, starając się upodobnić do dziewczynki, którą nie była, a przynajmniej — zgodnie z metryką — nie powinna być od jakichś dziesięciu lat.

— Jasne, kotku — odparł z grymasem, który nie- uważny obserwator mógłby wziąć za uśmiech. — Przede

wszystkim plaża i knajpy.

Jak wyczytał w jakiejś mądrej książce — wszyscy cierpimy za to, z czego rezygnujemy. I choć nie czuł się ofiarą, skrzętnie gromadził w pamięci tego typu haselka, by... No właśnie — sam nie wiedział po co. By użyć ich na starość, kiedy objając się po pustym mieszkaniu, nie będzie mógł już sam ze sobą wytrzymać? A może łądził się, że pod naporem słusznej wagi wspomnianych mądrości stanie się zupełnie innym człowiekiem, że odżyje, powstanie jak Feniks z popiołów? Na razie zamierzał imprezować na całego, nie tracąc energii na zbędne dywagacje o tym, dokąd doprowadzi go dzień jutrzejszy i następne. O ile oczywiście wcześniej nie nastąpi koniec świata.

— Mają państwo...?

— Dla tej młodej damy — wszedł stewardowi w słowo Staszek — poproszę sok pomarańczowy z dwoma kostkami lodu, a dla mnie grejpfrutowy z jedną.

Ekspolicjant wiedział, że Karolcia gustuje w facetach typu macho, świadomie więc zgrywał twardziela.

— Oczywiście, się robi — zapewnił Jacek, sprawnie spełniając życzenie Dąbka, po czym podszedł do następnego pasażera, który z wyraźną fascynacją obserwował widoki za oknem.

Waldemar Wyrz, a właściwie Waldi, bo wolał, by tak go nazywano, był wysokim, żylastym mężczyzną z łezką

kolczyka w lewym uchu i łysym półksiężycem opalonej skóry górującym nad siwą szczeciną z tyłu głowy. Raczej przed sześćdziesiątką niż po pięćdziesiątce, jednak pomimo wieku jego zorana zmarszczkami twarz bynajmniej nie wyrażała zmęczenia. Raczej ożywienie czekającą go przygodą. Bo swój wyjazd do pracy tak właśnie traktował. Jako przygodę, wyzwanie.

W kraju dostawał grosze z wcześniejszej emerytury, a za granicą dorabiał, harując jak wół na plantacjach pomidorów, oliwek czy winogron. Praca we Włoszech czy w Hiszpanii była ciężka i słabo opłacana, ale wolał to niż siedzenie całymi popołudniami i nocami w kantorku stróża i gapienie się w monitory przedstawiające te same elementy firmowych korytarzy. Nie znosił tej kwintesencji nudy, zabijanej niekiedy dzwonkiem telefonu, który odzywał się zazwyczaj jedynie przez pomyłkę, gdy ktoś wykręcił nie ten numer, co trzeba. Na obczyźnie mógł przynajmniej co weekend narąbać się z podobnymi sobie obieżyświatami pochodzącymi ze stu zakamarków globu, zapomnieć o swoim wieku, a niekiedy nawet zobaczyć coś naprawdę nowego. Propozycję poczęstunku przyjął z wdzięcznością, tym bardziej że poprzedniego dnia zorganizował imprezę pożegnalną i teraz miał w gardle przyczółek pustyni Gobi.

— Tak, poproszę coś zimnego do picia. Najlepiej dużo — wychrypiał, uśmiechnął się przy tym z nieśmiało-

ścią, która pasowałaby raczej do przedszkolaka niż do dojrzałego mężczyzny.

Steward, doskonale rozumiejąc podobne potrzeby, wsparł go podwójną porcją toniku z lodem, po czym przepchnął wózek do następnego rzędu foteli.

Kiedy wreszcie dotarł do Doriana i Agnieszki, ten pierwszy pokręcił tylko przecząco głową. W stresie, w jaki wpędziło go samo przebywanie na pokładzie boeinga, i tak nie mógłby niczego przełknąć. Jego była dziewczyna nie miała podobnych problemów. Uniosła się lekko na fotelu, by zerknąć na zawartość wózka.

— Ma pan kanapkę z czerstwego chleba?

— Z czerstwego? — zdziwił się Jacek.

— Coś nie tak?

— Nie... — zmieszał się steward. — Proszę sobie wybrać. Wszystkie są czerstwe.

* * *

Wracając do kabiny pilotów, Artur ostatni raz omiół spojrzeniem pokład. Zwykle był pełny. Boeing 737-800 może pomieścić ponad stu osiemdziesięciu pasażerów. Jednak tego dnia leciało nieco ponad pięćdziesięciu, przez co pokład wydawał się niemal pusty. Być może miał być komplet, ale tamci mieli identyczne przecucia jak on i zrezygnowali z lotu?

Miał ochotę walnąć się w głowę za szukanie dziury w całym. Idiota! — syknął pod swoim adresem, otwierając

jąc drzwi od kabiny pilotów. Krzyżanowski odwrócił się i posłał Gałęckiemu zafrasowane spojrzenie.

— Co ty tam, kurwa, robieś?!

Artur miał minę, która z równym powodzeniem mogłaby wyrażać zaskoczenie, jak i złość.

— Co robiłem? A co można robić w kiblu?

— Przez ponad godzinę to ja nie wiem, co można robić — odparował Krzyżanowski. — Zmienić skórę? Stracić cnotę? Miałem właśnie ogłosić za tobą poszukiwania.

— O czym ty mówisz, do jasnej...?

Szymon był wyraźnie zdenerwowany. Upił łyk kawy z trzymanego w dłoni plastikowego kubka, po czym sapnął.

— Nie wygłupiaj się, Artur. Coś z tobą nie tak?

Gałęcki nie miał pojęcia, o czym mówi jego przyjaciel.

Ciężko dysząc, oparł się o zagłówek swego fotela. Czuł się tak, jakby na ramionach usiadł mu słoń.

— Minęła godzina, odkąd opuściłemabinę? —

zapytał grobowym tonem.

Krzyżanowski prychnął. Wkurzenie sprawiło, że na jego skroniach pojawiły się cienkie niczym glisty żyłki.

— Tak, do diabła — warknął. — A dokładnie godzina i siedemnaście minut. Poza tym Majka przez kwadrans usiłowała się do ciebie dobić.

— Usiłowała...

— Nie baw się w echo, bo to nie jest zabawne, okej?

Denerwujesz mnie. Powinieneś dać sobie siana z lata-

niem przez jakiś czas. Kapujesz? Źle z tobą, jeśli nie pamiętasz, co robiłeś w kiblu przez pieprzoną godzinę! — drugi pilot nieomal wykrzyczał ostatnie zdanie.

— Gdzie ona jest?

— Maja? Nie wiem. Ona martwi się o ciebie. Ja również. Powinieneś to wreszcie przyjąć do wiadomości.

Artur zasępił się. W toalecie był góra pięć minut. Na pewno nie dłużej. Jakim cudem minęła aż godzina, odkąd...

Spojrzał na zegarek na kokpicie. Cholerną godzinę naprawdę szlag trafił!

Z pewną podejrzliwością spojrzał na Krzyżanowskiego i natychmiast pojął, że przyjaciel nie stroi sobie z niego żartów. Był rozdygotany, przyssał się do kubka z kawą z taką zachłannością, że można by pomyśleć, iż nie pił nic od paru dni.

Jezu...

Niespodziewanie do kabiny wpadła Majka. Na widok Gałęckiego spięła się, jakby miał ją za moment uderzyć. Po chwili jednak rozluźniła się nieco.

— Artur, na miłość Boską, co ty tam robiłeś?

Popatrzył na nią, nie wiedząc, jak wytłumaczyć, co zaszło. Znów cofnął się pamięcią do momentu, w którym wszedł do kibla. To było... Dosłownie przed chwilą. Postać tam minutę, może dwie i... wyszedł. Po prostu. Nie zasnął, nie zasłabł, nie umarł...

A może umarłem, do kurwy nędzy? Może my wszy-

scy jesteśmy trupami, jakimiś popapranymi zombie?

— Nie wiem — burknął, bezsilnie wzruszając ramionami.

— Wołałam cię, a ty nawet nie raczyłeś się odezwać!

— Przepraszam, w ogóle cię nie słyszałem...

Dziewczyna nie wyglądała na przekonaną.

— Dobrze się czujesz?

— Jasne. Jak przed plutonem egzekucyjnym.

— Nie musisz przed nami niczego ukrywać. Wiesz, że życzymy ci jak najlepiej.

— Niczego nie ukrywam. Nie miałem pojęcia, że to aż tak długo trwało. Sam jestem... zaskoczony.

— Potrzebujesz czegoś na wzmocnienie?

Przytaknął pomimo tego, że był w niezłej formie, przynajmniej fizycznie. To z jego psychiką najwyraźniej coś się pochrzało. I to porządnie. Pomyślał jednak, że lepiej będzie, jeżeli Majka skończy swoje małe śledztwo i zajmie się czymś, czymkolwiek, co odwróci jej uwagę od problemów ze zeschizowanym kapitanem.

— Napiję się kawy.

— Uważam, że Szymon powinien przejąć stery.

— Poradzę sobie — zaprotestował.

Teraz była na niego wściekła. Naprawdę wściekła.

Spojrzała na Krzyżanowskiego, szukając w nim wsparcia.

— Słuchaj, porozmawiaj z nim, dobra? Może ty przemówisz mu do rozumu?

Drugi pilot nie odezwał się. Stewardesa stała przez moment, zagryzając wargi, a następnie wyszła z kabiny, akcentując swoją złość trzaśnięciem drzwiami.

Gdy usiadł w swoim fotelu, znów poczuł na sobie spojrzenie Krzyżanowskiego. Nie mógł go winić za troskę. Nie potrafił jednak opanować irytacji.

— Co się tak gapisz?

Drugi pilot pokręcił wolno głową, nie odpowiadając na zaczepkę.

— Szanuję cię, Arturze — odparł spokojnie, wytrzymując spojrzenie kapitana, po czym dodał, starannie dobierając słowa: — Zawsze cię szanowałem. Jesteś świetnym pilotem. Ośmielę się zauważyć, że jednym z lepszych, jacy kiedykolwiek latali w naszych liniach. Ale ostatnio coś złego się z tobą dzieje. Nie wiem, w czym rzecz, ale dłużej nie możesz tego lekceważyć. Jesteś pilotem, do cholery!

— Nie musisz mi mówić, kim jestem — odpowiedział zgryźliwie Gałęcki.

— Najwyraźniej muszę. Bo chyba nie zdajesz sobie sprawy, że w takim stanie nie powinieneś...

Kapitan podniósł rękę w obronnym geście.

— Tylko mi nie chrzań o zagrożeniach! Byłem na tylu szkoleniach, że te gadki już mi się uszami wylewają. — Rozmasował kłykciami skronie. — Ile razy mam ci powtarzać, że nie mam pojęcia, co się stało? Poszedłem do kibla nie dlatego, żeby się odlać, ale aby zobaczyć...

Obadać sytuację na pokładzie.

— Obadać sytuację...? — skrzywił się Szymon. — Nie wystarczyło ci tego węszenia przed startem?

Pilot westchnął.

— Wszedłem do toalety, rozejrzałem się i pomyślałem, że wszystko gra. Więc wylazłem stamtąd...

— W realnym świecie minęła godzina. Nie uważasz, że to wszystko nie trzyma się kupy?

Artur potarł dłonią policzek. Niestety, policzek nie raczył mu podpowiedzieć niczego sensownego.

— Może zasłabłeś — zasugerował Krzyżanowski. — Może to przez obniżone ciśnienie?

— Nie zasłabłem, tego jestem pewien. A co do niskiego ciśnienia, wiesz przecież, że jestem do niego przyzwyczajony — odparł kapitan, starając się rozluźnić napięte jak postronki mięśnie. — Tak samo jak i ty. Jak każdy z nas...

Drugi pilot odchrząknął, zawstydzony głupotą swego pytania. Rozejrzył się po kabinie, poprawiając gumkę spinającą włosy, po czym z nieszczęśliwą miną znów spojrzął na Artura.

— Co cię tak zdenerwowało, że poszedłeś obadać pokład, hm?

— Też chciałbym wiedzieć.

— Zaczynasz mnie przerażać, stary.

Gałecki uśmiechnął się, lecz w tym uśmiechu nie by-

to ani ziarenka wesołości. Niczego, co mogłoby stać się choćby zalążkiem śmiechu, o radosnym chichocie nie wspominając.

— A myślisz, że mnie jest słodko? — sapnął. — Ciągnę na rezerwie. Zaraz po powrocie z Girony wezmę sobie urlop, obiecuję. Czyli jeszcze dzisiaj, daj Boże.

— Uważam, że tak będzie najlepiej. Uważam też, że powinieneś mi pozwolić wylądować.

— To nie jest wcale konieczne, Szymonie — odparł stanowczo. — Posadzę kaczuchę na pasie tak gładko, że nawet się nie zorientujesz!

— Jesteś pewien, że dasz radę?

— Oczywiście. Nie rób ze mnie łamagi.

Krzyżanowski zawahał się.

— Gdyby siedział tu ktoś inny, kazałbym mu wynosić się w diabły, wiesz o tym, prawda? Nieważne, czy byłby to szanowany kapitan, czy mistrz świata w kręceniu podniebnych piruetów.

117

Artur bez słowa odwrócił głowę. Przelatywali nad przemieszczającym się po połaciach nieba skupiskiem chmur, które na kilka uderzeń serca zasłoniło widok rozpościerających się w dole Alp. Zerknął na zegarek. Za niespełna kwadrans mieli podchodzić do lądowania. Piętnaście minut, raptem dziewięćset sekund... Niby niewiele, ale w tym czasie może wydarzyć się sto tysięcy

różnych, nieprzewidzianych rzeczy.

* * *

Przedział cateringowy nie oferował nadmiaru wygód, jednak dla obu stewardów najważniejsze było to, że choć przez chwilę mogli przysiąc na czterech literach, nie przeganiani tam i z powrotem przez rozkapryszonych pasażerów.

— W czerwcu biorę ślub kościelny — zakomunikował ni z gruszki, ni z pietruszki Bartek, dłubiąc w uchu z miną świadczącą o tym, że spodziewa się znaleźć w nim Bursztynową Komnatę lub coś równie wartościowego. — Wreszcie dostałem z kurii unieważnienie.

— Gratuluję! — Ryba klepnął kumpla po ramieniu.

— Choć gdybym ja miał teraz brać ślub, olałbym Kościół ciepłym moczem.

— Cywilny to za mało.

— Nie mówię o cywilnym, tylko o pogańskim.

— Co?! — młodszy ze stewardów w zaaferowaniu wyjął palec z ucha. Podetknął go sobie pod nos, powąchał, po czym zadowolony z wyników badania organoleptycznego, powrócił do przerwanych poszukiwań. — Żartujesz.

— Słyszałem, że można taki wziąć na Litwie — kontynuował Rybiński, niezrażony niedowierzaniem, z jakim jego opowieść przyjął kandydat na żonkosia. — Potrzeba tylko ołtarza ofiarnego, na którym pali się ogień.

— I pewnie wszyscy mają kwiaty we włosach i po
szklance wódki w łapie? — zainteresował się wreszcie
Bartek. — Tak?

— Niezupełnie — zachnął się Jacek. — Kwiaty rzeczy-
wiście są, narzeczeni zbierają je przez całą noc, a później
wymieniają za poczęstunek, co symbolizuje odnowę Ziemi.

— Nieźle. A sama bibka?

— Zwykle na uroczystości zaślubin jest wiele par.
Jedni śpiewają, inni rozpalają ognisko, a kapłan przygo-
towuje się do obrzędu ślubu...

— Pewnie wali trute, żeby mieć natchnienie.

— W odpowiednim momencie młodzi podchodzą do
ołtarza, oddają pokłon dla ognia, wymieniają obrączki
i częstują jeden drugiego miodem.

— Nie przepadam za miodem...

— Jasne, butapren lepiej daje w parnik — pozwolił
sobie na złośliwość Ryba. — Na szczęście nie wszyscy
tak uważają... Po ceremonii goście i rodzina obsypują
pary ziarnami zbóż, życząc im owocnego związku. Cho-
dzi o to, by żyzność nasion została przeniesiona na parę,
na którą spadną.

— Tak, kurna, narób sobie dzieciaków, a potem zę-
by w tynk. Dziękuję, postoję — zauważył Bartek.

— Ale z ciebie sztywniak. — Ryba podrapał się po
udzie, by po chwili poprawić kołnierzyk koszuli. — Pomy-
ślałby kto, że jesteś dwadzieścia lat młodszy ode mnie.

— No dobra — poddał się Bartek. — Może i coś jest w tym pogaństwie... ale moja kobieta urwałaby mi jajca i przerobiłaby na kogel-mogel, gdybym coś takiego jej zaproponował.

— Jezu! Wytrzymujesz z nią?

— Nie. Dlatego łapię nadgodziny i wymieniam klapy w kiblach boeingów.

* * *

Obaj, jak na komendę, zapięli pasy piersiowe. Autopilot zmniejszył ciąg i maszyna zaczęła łagodnie opadać. Drugi pilot połączył się z wieżą w Gironie, podając pozycję. Artur z napięciem wsłuchiwał się w pracę silników. Działy bez zarzutu. Jedno spojrzenie na prędkościomierz upewniło go, że utrzymują prawidłową prędkość podejścia.

Wziął więc do ręki mikrofon i zwrócił się do pasażerów:

— Szanowni państwo, mówi kapitan. Wkrótce wyłączymy. Proszę o zapięcie pasów i dostosowanie się do wskazówek personelu pokładowego.

Krótko, węzłowato i na temat. Żadnych luzackich wstawek, żadnych żartów. Był maksymalnie skoncentrowany. Jeśli teraz wszystko pójdzie jak z płatka, to oleję psychologa, zdecydował. Od razu polecę do psychiatry.

Wypuścił do połowy klapy, płaskie ruchome powierzchni w tylnich częściach skrzydeł, zwiększające siłę nośną. Prędkość boeinga spadła do trzystu kilometrów na godzinę, a po chwili na wskaźniku było już nie-

wiele ponad dwieście osiemdziesiąt. Nadeszła pora na wypuszczenie podwozia i pełnych klap. Ciągami silników utrzymywał właściwą prędkość podejścia. Wszystko szło idealnie. No, prawie. Bo na wysokości nieco powyżej trzystu metrów nadal nie widzieli lotniska.

— To przez mgłę — rzekł Szymon, jakby czytając w jego myślach.

Istotnie, wisząca nad ziemią mgła utrudniała widoczność, lecz nie wyglądała na aż tak gęstą, aby przysłonić pas. Wysokościomierz informował, że znaleźli się dwieście pięćdziesiąt metrów nad ziemią.

Wy tężał wzrok, mając nadzieję, że za moment ujrzy pas. Daremnie. Po lewej mignęły wody Morza Śródziemnego. Ten widok powinien go uspokoić, utwierdzić w przekonaniu, że lecą dobrą trasą. Problem tkwił jednak w czymś zupełnie innym.

W lotnisku, którego nadal nie było...

Krzyżanowski ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

— Nie ma się co łamać — oznajmił spokojnie, choć dało się wyczuć, że udziela mu się podenerwowanie kapitana. Zabębnił palcami w oparcie fotela. Tap, tap, tap, tap, tap, tap...

— Gdzie jest to pieprzone lotnisko?

— Musi tam być. Mgła je zasłania.

— Ale skąd się wzięła, do cholery? W komunikacie meteorologicznym nie było o niej mowy!

Opary, choć wciąż gęste, pozwoliły obu pilotom dostrzec porośnięte drzewami tereny, za którymi ciągnęła się autostrada. Morze z lewej strony oddalało się. Do Girony zostało im zaledwie kilka kilometrów.

— Nie ląduję w tym gównie — wycedził Gatecki. — Poszukamy innego lotniska! Albo oblecimy to i zobaczymy, co się dzieje.

Szymon popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Chyba żartujesz.

— Mówię całkiem poważnie.

— Przecież mamy zezwolenie na lądowanie — zauważył Krzyżanowski. — Pas odpicowany i czysty jak łąka, wszystko w najlepszym porządku. Wyluzuj.

Ale Artur nie był wyluzowany. Bynajmniej.

121

— Nic nie widzę — oznajmił, starając się zapanować nad drżeniem w głosie. Drżeniem, którego za cholerę nie mógł się pozbyć.

Drugi pilot przetknął ślinę.

— Mgła, Arturze. System naprowadzania na lotnisko działa bez zastrzeżeń.

— Pierdolisz — warknął niespodziewanie kapitan.

Szymon pierwszy raz słyszał przekleństwo z jego ust, ale to nie był odpowiedni czas na zjadliwe komentarze.

Koła boeinga za niespełna kilkanaście sekund miały zmierzyć się z pasem, którego nawet nie widzieli. Ufor-

mowana w kształcie leja mgła unosiła się nad płytą lotniska niczym wir utworzony z waniliowego budyniu.

Z tym że raczej nie nadawała się na deser.

Gałecki był już pewny, że wydarzy się coś złego. Jego ustawiczne obawy, lęki, przeczucia, i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze, okażą się prorocze. Nie powinien był w nie wątpić, walczyć z nimi, tylko po prostu odpuścić sobie ten lot! Do diabła! Do stu tysięcy diabłów!

Uświadomił sobie, że koniec jest już bliski. Co dziwne, w jakimś sensie czuł nawet z tego powodu ulgę. Każdy kiedyś umrze, a skoro on ma zginąć tu i teraz, może to i lepiej. W końcu śmierć na służbie jest w jego rodzinie tradycją.

Trzęsły mu się nogi i ręce. Oplatające stery palce były tak białe, jakby samolot był odpowiednikiem wampirzego samochodu z Christine Stephena Kinga. Jak na ironię wskaźniki nadal pokazywały idealne parametry. Wysokość, prędkość, odległość od pasa, kąt podejścia, wszystko się pokrywało.

Nie panikuj, idioto, nie panikuj, działaj! Tyle razy lądowałeś, opierając się wyłącznie na wskazaniach przyrządów i informacjach z komputera pokładowego, gdy rzęsisty deszcz i unoszące się nad pasem opary zasłaniały widok.

Dziś też sobie poradzisz!

Miał wrażenie, że za chwilę głowa wystrzeli mu w kosmos. O ile oczywiście wcześniej się nie rozbiją.

Cyferki na wysokościomierzu migotały niczym zepsuty neon.

Dwadzieścia... piętnaście... dziesięć metrów.

Na kilka sekund przed posadzeniem samolotu na ziemi, ujrzeli pas, a raczej to, co być może kiedyś, wiele lat temu było pasem startowym. Przedarli się przez mgłę, pozostawiając ją ponad sobą, teraz jednak, gdy wreszcie ujrzeli miejsce do lądowania, obaj zwątpili w swoje zdrowie psychiczne.

Całe lotnisko było totalnym pobojowiskiem, pieprzoną dżunglą, terenem, który z całą pewnością nie figurował w rejestrach jako czynne lądowisko. Żadnych oznaczeń, żadnych świateł podejścia do lądowania... Ze szpar w betonie wyrastała wysoka trawa. Pas był przedzielony rowem, może niezbyt głębokim, ale równie dobrze w tym miejscu mógłby znajdować się Rów Mariański. Na jedno wychodziło. Jeśli cokolwiek mogło po nim jeździć, to chyba jedynie terenówki, a i to niekoniecznie.

Wciśnięty w fotel drugi pilot zawodził jak opętany:

— Jezu, Jezu, Jezu! Rozbijemy się!

Gałecki też był przerażony. Jeśli wzrok go nie mylił i naprawdę widział to, co widział, próba lądowania mogła zakończyć się katastrofą. Jeśli jednak było to przewidywanie, po raz kolejny wyjdzie na kretyna... Jedyne czego był pewien, to tego, że nie byli w Gironie. Na sto procent. Tak czy inaczej nie miał żadnego wyboru. Mgła zbyt

późno odsłoniła przed nimi tę parodię pasa. Ciąg silników boeinga był zmniejszony do minimum, klapy maksymalnie wypuszczone, prędkość maszyny zmalowała do niespełna dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Samolot bił w stronę ziemi i nawet natychmiastowe pociągnięcie za stery mogłoby co najwyżej pogorszyć sytuację. Artur liczył na to, że chociaż wskaźniki działają prawidłowo. Informowały, że w zbiornikach nie zostało zbyt wiele kerozyny, mieli więc cień szansy, że w trakcie twardego lądowania nie przekształcą się w chmurę toksycznego pyłu.

Podwozie główne boeinga dotknęło ziemi, spojlerzy automatycznie wychyliły się do maksimum. Kapitan delikatnie przyciągnął stery do siebie, starając się złagodzić opadanie nosa maszyny. Czuł jednak, że na niewiele to się zda. Kamienie szybko rozprawią się z oponami, zjedzą je jak świeże bułeczki i będzie po nich...

Samolot podskoczył, zjechał nieco na prawo, po czym jakimś cudem wyrównał. Gałeczki pchnął lekko ster i przednie koło boeinga uderzyło w spękany beton. Maszyną szarpnęło, rozległ się głośny trzask. Trzęsło tak straszliwie, jakby zjeżdżali ze schodów, stopień po stopniu.

Na każde tąpnięcie jego kręgosłup odpowiadał niemal radosnym drżeniem, ale kapitan nie poddawał się panice. Szarpnął za dźwignię uruchamiającą rewersery ciągu i nacisnął hamulce. Koła zakwiczały jak zarzyna-

na świnia, a odgłos ten jeszcze wzmógł ból głowy, który dopadł go, odkąd uzmysłowił sobie całą grozę sytuacji.

Kadłub samolotu trzeszczał, z trudem znosząc jazdę po tym torze przeszkód. Pas przed nimi kurczył się w zaskazującym tempie. Był znacznie krótszy od normalnego pasa, przeznaczonego do lądowania boeingów. Ktośkolwiek poinformował pilotów przez radio, że lądują na właściwym lotnisku, był albo psychopatą, albo po prostu chciał ich wszystkich zabić.

Zaraz za pasem rozciągał się las. Był tak gęsty, że Artur odniósł wrażenie, jakby jedno drzewo wyrastało z drugiego. Szczeliny między pniami były wręcz mikroskopijne i ziały ciemnością.

Rozległ się dźwięk przypominający kasowany na złomowisku wrak. Maszyna przechyliła się nieznacznie na prawo. Musiało schrzanić się jedno z kół. Z całych sił ścisnął stery i modlił się w duchu, aby samolot nie zjechał na pobocze, do rowu. Zerknął na prędkościomierz. Hamowali najgwałtowniej jak się dało, ale wciąż za wolno. Dobiegające spod dziobu samolotu apokaliptyczne szuranie zlewało się z hukiem pracujących rewerserów ciągu, tworząc jedno przerażające pandemonium.

Do końca pasa zostało sto, może sto pięćdziesiąt metrów. Chude sosny przybliżyły się błyskawicznie. Las zdawał się przywoływać ich, mamić, zachęcając do wcielenia się w rolę kamikadze.

Maszyna trzęsa się, lecz już nie tak szaleńczo jak wcześniej. Przednie koło natrafiło na kolejną przeszkodę, opona wygięła się do środka, ale nie pękła. Samolot znów podskoczył, przejechał jeszcze kilka metrów i zatrzymał się. W kabinie nastąpiła absolutna cisza.

Pilot dyszał spazmatycznie, wlepiając wzrok w przednią szybę. Nadal ścisnął stery, jakby w obawie, że za moment maszyna rozpocznie kolejny wyścig ze śmiercią. Ona jednak stała nieruchomo i powarkiwała, odwracacze ciągu nadal były uruchomione. Jedynie zaciągnięte do maksimum hamulce uniemożliwiały jej jazdę do tyłu. Gałęcki trzęsącą się ręką wyłączył rewersery, po czym włączył hamulce postojowe. Właściwie nie było to konieczne, gdyż to, co zostało z kół, na dobre ugrzęzło w kamieniach i trawie.

Drugi pilot stał dłońmi mokre od potu czoła, po czym wprawnym ruchem wyłączył silniki.

Artur spróbował przeanalizować sytuację. Nie docierał do niego ani ślad dymu. Wyglądało na to, że nie doszło do żadnego poważnego uszkodzenia. Biorąc pod uwagę wstrząsy, jakie musiała wytrzymać maszyna, mogli uważać się za prawdziwych szczęściarzy. Jeśli jeszcze okaże się, że ze zbiornikami paliwa również wszystko w porządku... To będzie jak główna wygrana na loterii. Spokojnie, powtarzał w duchu, teraz tylko spokój. Nic innego.

Nagle coś przed nimi zatrzeszczało. Spojrzał na panel z komputerem pokładowym.

— Zdechł, cholera — wyszeptał Szymon, po swoim komentując ciemny ekran. — Całkiem się spieprzył.

Jakby w odpowiedzi padło zasilanie w całej kabinie.

Zgasły wszystkie wyświetlacze, radio zapiszczało niczym katowany pies, by po chwili definitywnie zamilknąć.

Drugi pilot włączył pokładowe źródło zasilania elektrycznego i światło rozbłysło ponownie. Uskrzydłony tym połowicznym sukcesem pochwycił mikrofon radiostacji.

Niestety, próba skontaktowania się z wieżą zakończyła się fiaskiem.

— Zajebicie — mruknął. — Po prostu zajebicie. Co robimy?

Artur pociągnął nosem. Wreszcie oderwał dłonie od steru. Piekła go skóra na palcach. Potrząsnął ręką, ale to nie pomogło.

— Zaczekamy — oznajmił, usiłując zabrzmieć pewniej, niż rzeczywiście się czuł. Bez powodzenia. To, że udało im się wylądować, wcale nie oznaczało końca koszmaru.

Zapowiadało jego początek.

Część druga

Przepraszam, że wątpię

To dlatego, że słońce nie chce świecić

innym blaskiem

Czekam, aż całkiem zgaśnie

Moja przestrzeń, NOLIA

Rozdział 7

Cholerne lotnisko jest opuszczone — warknął Krzyżanowski, zaciskając i rozluźniając pięści, jakby miał zamiar coś napompować albo raczej przywalić komuś w pysk. Powstrzymywał go przed tym chyba jedynie brak odpowiedniego kandydata. — Jak oni w ogóle mogli gadać o właściwym kursie? Jak mogli pozwolić nam tu wylądować?! Pojebało ich?

Artur nie odpowiedział od razu. Także spróbował nawiązać kontakt z wieżą. Bezskutecznie. Sfrustrowany wydobyl z kieszeni komórkę. Zadzwoi na sto dwunastkę i poinformuje o tym, co się stało. Niech łaskawie ruszą tyłki i im pomogą. Bóg jeden raczył wiedzieć, gdzie posadzili maszynę i czym się stąd wydostaną. Z pewnością nie samolotem.

Komórka nie łąpała zasięgu.

— Witamy na zadupiu! — wściekał się Gałeccki. —

Szymon, zobacz, może chociaż ty dasz radę się dodzwonić?

Drugi pilot wygrzebał z kieszeni spodni aparat i zwolnił blokadę klawiszy.

— Mój też nie działa — przyznał ze zdziwieniem. —

Co robimy?

— Nie wiem. Zaczekamy, aż po nas przyjadą.

— Na zewnątrz?

— Co?

— Można by wypuścić trapy.

Oczywiście, Szymon całkowitą miał rację. Najlepiej, jeśli opuszczą samolot. Doświadczenie podpowiadało mu, że zbyt długie przebywanie w zamkniętych pomieszczeniach, a boeing przecież do nich należał, nie działa szczególnie dobrze na ludzi. Nie potrzebował wybuchu paniki jakiegoś klaustrofoba. Żeby tylko gumowe rękawy nie były uszkodzone...

Wylądowali szczęśliwie, ale teraz mieli do wykonania ważną robotę. W głębi duszy był przekonany, że coś pójdzie nie tak. Nie powiedział tego głośno, jednak każdą molekułą ciała i duszy wiedział, że zabawa dopiero się zaczyna. Co miało się wydarzyć? I dlaczego akurat on musiał w tym uczestniczyć? Czyżby to on stanowił epicentrum, przyczynę koszmarnych wydarzeń?

Dlaczego w ogóle tak przypuszczał? Nie potrafił znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi.

Znów przypomniał sobie scenę na lotnisku w Dublinie, gdy dowiedział się o śmierci koordynatora załóg. Chciał, aby facetowi przydarzyło się coś złego. Podświadomie w tej jednej jedynej sekundzie totalnego wkurwienia zapragnął jego śmierci.

I stało się.

Ale jaki to miało związek z lotem do Girony? Nie miał wątpliwości, że coś łączyło oba te zdarzenia. Podskórnie czuł, że wszystko, co ostatnio mu się przydarzyło —

od momentu, gdy odkrył, że ktoś przemeblował jego mieszkanie, aż po lądowanie sprzed kilku minut — było ze sobą ściśle powiązane.

Westchnął. Mdlilo go i przez ułamek sekundy miał wrażenie, że zwymiotuje. Udało mu się jednak zapanować nad podchodzącą do gardła kawą.

W następnej chwili do kabiny z impetem weszła Maja.

Miała usta otwarte niczym wyłowiony ze stawu karp.

Kulała.

— Coś ci się stało? — zapytał Gałęcki.

Dziewczyna pokręciła głową w niemym zaprzeczeniu.

Jej zazwyczaj pogodna twarz przypominała maskę, tak jakby ostatecznie lądowanie wyssało z niej większość energii życiowej.

— Będzie dobrze — oznajmił, siląc się na optymizm, którego bynajmniej nie miał w nadmiarze. — Przez jakiegoś ciężkiego idiotę wylądowaliśmy na tych wądołach...

Cholera, nie wiem, czy to sabotaż, czy co...

— Jesteśmy udupieni — wtrącił Krzyżanowski, majstrując przy kokpicie.

Artur pochwycił dłoń stewardesy i mocno ścisnął.

— Co z resztą? Są ranni?

— Nie — wydusiła.

Usłyszeli dobiegające z pokładu wołanie. Jakiś mężczyzna zapytał o coś po hiszpańsku. Dołączył do niego

inny głos. I kolejne. Gdzieś na tyłach samolotu płakało dziecko. Trzasnęły drzwi od toalety.

— Teraz się zacznij — odezwała się Maja.

— Spokojnie — odrzekł kapitan — Najgorsze za nami.

Najważniejsze, że nikomu nie stała się krzywda. Dalej już sobie poradzimy. Powiedz chłopakom, aby otworzyli drzwi i wypuścili trapy, okej? Zaraz do was dołączymy.

— Dobrze, powiem im. — Dziewczyna zdobyła się na blady uśmiech, po czym wyszła z kokpitu.

Zasępiony Szymon dumiał nad czymś, wpatrując się w głęboki rów po prawej stronie samolotu. Hałdy piasku, mniejsze i większe kamienie były wszędzie, jak na placu budowy. Brakowało tylko dźwigów i przekrzykujących się robotników. Słońce grzało niemiłosiernie, wbijając się przez szyby do środka i wysysając z nich resztki nadziei na rychłe zakończenie podróży.

Artur przetarł zaparowane okulary, wstał z fotela i podszedł do drzwi. Gdyby tydzień temu ktoś powiedział mu, że tak to wszystko się potoczy, natychmiast udałby się do lekarza, a następnie wyjechał na długie wakacje.

Z Mają czy bez niej, byle daleko od domu, Grześkowiakowej, z dala od lotniska, gdzieś, gdzie zamiast ryku silników słuchałby ptasich trel i cykania owadów w trawie.

W tej chwili pewnie bujałby się na hamaku i sączył schłodzonego breezeera. Albo martini.

Marzenia ściętej głowy.

Szarpnął za klamkę i zobaczył ludzi nerwowo krążących po korytarzu, przeciskających się między fotelami, osowiałych lub pokrzykujących coś niezrozumiale. Niektórzy usiłowali dodzwonić się do rodzin, inni rozmawiali ze sobą gestykując, jeszcze inni z niedowierzaniem wpatrywali się w rozpościerający się za oknami widok.

Podeszła do niego Claudia, wskazując dyskretnie kilku pasażerów siedzących w tylnej części pokładu.

— Chcą z tobą rozmawiać — oznajmiła krótko.

— Jasne. Raczej nie będą bić braw, co?

— Nie sądzę. Może powiem im, że jesteś zajęty?

— Nie. Pogadam z nimi.

— Są przekonani, że popełniłeś jakiś błąd.

Gatecki skrzywił się. Nie spodziewał się, że po tym, co się wydarzyło, ktokolwiek będzie do niego przyjaźnie nastawiony, ale mimo wszystko zaboląta go ta jawna niesprawiedliwość.

— No to ładnie się zaczyna.

Ciemnowłosa mężczyzna, ten sam, którego wcześniej Artur uznał za pisarza czy muzyka, rozglądał się na wszystkie strony. Towarzysząca mu dziewczyna sprawiała wrażenie roztrzęsionej, nawet bardziej niż reszta pasażerów.

Miał właśnie ruszyć wzdłuż pokładu na tyły maszyny, kiedy podbiegła do niego Majka.

— Artur, drzwi nie chcą się otworzyć — wydyszała.

Na jej czole widniała jakaś ciemna smuga. Dziewczyna

wciąż była oszołomiona, ale najwyraźniej postanowiła wziąć się w garść.

— Jak to: nie chcą?

— Normalnie. Ani drgną.

Rozejrzał się za Bartkiem i Jackiem, którzy szamotali się z drzwiami na tyłach pokładu. Towarzyszyło im dwóch rosnących mężczyzn koło czterdziestki. Byli podobni do siebie jak kserokopie tej samej fotografii, z tym że jeden mógł mieć nawet dwa metry wzrostu, drugi natomiast był o kilka centymetrów niższy. Wyższy pstrykał trzymanym w dłoni długopisem, niższy z determinacją wyłamywał palce, wierząc najwyraźniej, że ta czynność ułatwi otwarcie zablokowanych drzwi. Obaj byli bladzi, jakby po pijackiej nocy, obfitej w seks z przypadkowymi partnerkami, znaleźli się w przedsionku piekła, gdzie mieli ponieść stosowną do swych postępów karę. Znać ten typ — przydługie, rzadkie i przetłuszczone włosy opadające na plecy, wątła bródka albo rzadki zarost, barani wzrok, fabrycznie niemnąca się, ale dziwnym trafem wiecznie wymięta koszula włożona w materiałowe spodnie... Raczej żałośni niż śmieszni.

Czesiek i Grzesiek Głogowscy odbywali właśnie coś w rodzaju podróży poślubnej. Nie, nie byli gejami, tylko braćmi. Całe swe dotychczasowe życie spędzili, robiąc to, na co miała ochotę ich mamusia. Podporządkowali jej się we wszystkim. Poczynając od wyboru szczoteczki do

zębów, przez elementy garderoby, sposób spędzania wolnego czasu, na dziewczynach kończąc.

Kiedy Czesiek albo Grzesio zainteresowali się jakąś dziewczyną, mamcia zaraz wytaczała najcięższe działa obliczone na storpedowanie raczkującego związku. Gdy inne triki zawodziły, w ostateczności posuwała się do udawania, że stan jej zdrowia gwałtownie się pogorszył. Wymagała wówczas stałej opieki, bywało nawet, że trzeba ją było natychmiast zawozić do szpitala.

Lata mijały, aż w końcu Głogowska rzeczywiście odwaliła kitę. Dopiero wtedy jej synalkowie mieli okazję odetchnąć pełną piersią. Mieli do nadrobienia tyle straconych lat, że po prostu nie wiedzieli, od czego zacząć. Po długich deliberacjach postanowili wreszcie, że pojedą na wywczasy za granicę. Wybór padł na Hiszpanię. Patrząc na nich, Artur mimowolnie przypomniał sobie durną grę typu „znajdź dwadzieścia szczegółów odróżniających jeden rysunek od drugiego”. Okoliczności nie sprzyjały jednak rozrywkom.

— Chłopaki, spróbujcie z tymi z przodu, dobra? — poprosił. — Może są w lepszym stanie.

W tym samym momencie z kabiny pilotów wreszcie wykaraskał się Krzyżanowski. Podeszedł do kapitana i pociągnął nosem.

— Ładny bigos...

— Taa... tylko trochę przypalony. A jeszcze mamy problem z drzwiami.

— Jaki problem?

— Za cholerę nie chcą się otworzyć.

— Z przodu też?

— Za tamte Bartek z Jackiem zabiorą się za moment.

Słuchaj, może pogadałbyś z paroma pasażerami? Na przykład z tamtymi... — Gałęcki wskazał oczami na pasażerów siedzących z prawej strony maszyny.

Trzech mężczyzn i kobieta wpatrywało się w nich z takimi minami, jakby piloci w wyjątkowo brutalny sposób zabili im rodziców albo ukradli pieniądze przeznaczone na czarną godzinę. Ich eleganckie ubrania sugerowały, że są mafiozami albo czołowymi przedstawicielami świata biznesu. Dwóch z mężczyzn miało na sobie czarne, sztywne na miarę garnitury, białe koszule i jasnoróżowe krawaty. Trzeci musiał być luzakiem, przynajmniej jak na ich standardy, bo poprzestał na koszuli i grafitowym krawacie. Nieco tęgawa kobieta wbiła się w przynajmniej o rozmiar za mały kremowy żakiet. Jej splecione w warkocze włosy przypomniały gniazdo żmij. Obrazu całości dopełniały zaciśnięte usta, zaczerwieniona twarz i gniewnie zmarszczone czoło. Wszystko to upodobniało ją do małej rozzłoszczonej dziewczynki, której koleżanka zwinęła ulubioną lalkę.

— O czym mam z nimi gadać?

— O tym, co się wydarzyło. Uspokój ich trochę. Ja rozmówię się z resztą tej hołoty.

Szymon niepewnie skinął głową.

— Dobra, ale jeśli ta baba na mnie skoczy, jakoś zareaguj.

— Masz to jak w banku.

Gdy drugi pilot niepewnie, jakby dopiero uczył się chodzić, ruszył wąskim korytarzem między siedzeniami, Artur głośno chrząknął. Panował jednak zbyt wielki gwar, aby ktokolwiek zwrócił na niego uwagę.

— Panie i panowie! — wykrzyknął, po czym odczekał kilka sekund. Zrobiło się ciszej, większość pasażerów spojrzała w jego stronę. — Nazywam się Artur Gątecki i jestem kapitanem samolotu. Bardzo proszę, aby wszyscy wrócili na swoje miejsca.

— Wrócili na swoje miejsca? — odezwała się jakaś dziewczyna. — Do diabła, samolot może w każdej chwili stanąć w ogniu!

— Zapewniam, że nie ma żadnego zagrożenia pożarowego — odrzekł, siłąc się na pewny ton. — Nic nie wskazuje na to, że ze zbiorników wycieka paliwo — dodał. — Poza tym przed wylotem zatankowano akurat tyle, ile trzeba, by dolecieć do Girony. O jakimkolwiek nadmiarze nie ma mowy. — Jego wystąpienie nie było może przykładem krasomówstwa, ale miał nadzieję, że odniesie skutek.

— Zaraz możemy wybuchnąć!

— Nic nie wybuchnie, proszę mi wierzyć. Kerozyna to nie klasyczne paliwo, którym tankuje się samochody. Jest, jakby to powiedzieć, bezpieczniejsza. Poza tym w zbiornikach zostało jej naprawdę niewiele, to raz. A dwa, zbiorniki nie są uszkodzone. Nie grozi nam eksplozja. Usiądźcie więc państwo na swoich miejscach, bardzo proszę. Inaczej nie dojdziemy do ładu.

Nie miał pojęcia, czy jego słowa zabrzmiały przekonująco. Rozluźnił się jednak nieco, widząc, że większość pasażerów bez szemrania wykonuje polecenie. Siadali na fotelach: młode małżeństwa, matki z dziećmi, modnie obcięci mężczyźni, zapewne lecący do Girony w sprawach służbowych.

— Mamy awarię — ciągnął. — Padł system łączności, zostały również uszkodzone koła. Jak zapewne zdążyliście się zorientować, płytę lotniska pokrywają kamienie.

— Lotniska?! — wybuchła ta sama kobieta co wcześniej. Kosmyk czarnych włosów opadł jej na policzek. Strąciła go zdecydowanym, wyrażającym złość ruchem.

— Pan to nazywa lotniskiem?!

Była młoda, zgrabna i najwyraźniej miała o sobie wysokie mniemanie. Poza tym towarzyszyła pismakowi. Albo muzykowi. Mężczyzna siedział nieruchomo niczym mumią, bacznie przysłuchując się Gałęckiemu. Patrzył na niego takim wzrokiem, jakby próbował go zahipnotyzować.

Pod ciężarem tego spojrzenia Artur poczuł się nieswojo. Tym bardziej że mógłby przysiąc, iż kiedyś widział już tego wymuskanego gościa. Jego twarz wydawała mu się znajoma. Nie potrafił jednak stwierdzić, czy wcześniej lecieli jednym samolotem, czy może przypadkiem spotkali się na lotnisku bądź gdziekolwiek indziej. Świat jest mały.

— Szczerze powiedziawszy, kiedy ustąpiła mgła...

— Mgła? Jaka mgła?!

— Mgła, która wisiała nad lotniskiem.

— Raczy pan żartować.

— Nie widzieli jej państwo?

— Ja widziałem! — odezwał się z dumą starszy mężczyzna, który wychylił się zza siedzenia pisarza i jego partnerki. — Przypominała lej po bombie.

— Bomba?! — wrzasnęła jakaś rozhysterizowana matrona. — Wszyscy zginiemy!

— Umyj sobie uszy, idiotko! — warknęła do niej dziewczyna. — Tu nie ma żadnej bomby! Nie widziałam też żadnej mgły...

— Proszę państwa, bardzo proszę o spokój! — Kapitan starał się, jak mógł, by przywrócić porządek. — W zasadzie to nieistotne, czy widzieli państwo mgłę, czy nie. Ważne jest to, że mimo koszmarnej widoczności, udało się nam wylądować i nikomu nic się nie stało. Pozostaje tylko poczekać na transport. Ze swej strony obiecuję, że zostaną państwo przewiezieni do punktu docelowego naj-

szybciej jak to będzie możliwe.

Laska literata nie dawała za wygraną.

— Czyli nie wylądowaliśmy w Gironie? — drążyła niczym upierdliwy dziennikarz śledczy, który za wszelką cenę chce zdobyć materiał do artykułu demaskującego przekręty rządu. — Czegoś tu nie rozumiem. Lądowaliście na innym lotnisku? Dlaczego?

— Myśleliśmy, że to Girona — odpowiedział opanowanym głosem Gałęcki. — Wieża kontroli lotów podawała nam polecenia, którymi się kierowaliśmy. Komputer je potwierdził, więc byliśmy pewni, że lecimy właściwym kursem.

— Ale nie lecieliśmy.

— Owszem — przyznał niechętnie Artur. — Chyba nie. Z pewnością odpowiednie władze zajmą się wyjaśnieniem tego niedopatrzenia, a winni poniosą konsekwencje. Za moment zostaną wypuszczone gumowe trapy, dzięki którym będą państwo mogli opuścić pokład. Proszę się nie denerwować i nie przepychać między sobą.

— Z tego co widać, na razie drzwi nie chcą się otworzyć. Ostatnie słowa stewardzi musieli potraktować jako zarzut pod swoim adresem, bo wyprostowali się jak na zawołanie i spojrzeli na Gałęckiego. Bartek bezradnie rozłożył ręce.

— Z tylnymi rzeczywiście są pewne problemy — odpowiedział kapitan. — Zapewne zostały uszkodzone

podczas lądowania. Na szczęście mamy jeszcze parę z przodu i awaryjne.

— Czy autobusy do Barcelony zaczekają na nas przy lotnisku? — zapytał ktoś ze środkowej części samolotu.

— Oczywiście.

— Kiedy po nas przyjadą?

— Wkrótce. Myślę, że w przeciągu najbliższej godziny. Mimo że padła nam łączność, kierownictwo lotniska musi wiedzieć, gdzie jesteśmy. Radary wskazały im miejsce naszego lądowania.

Nie było więcej pytań, więc pilot przełożył wszystko, co do tej pory zostało powiedziane na angielski, licząc się z tym, że ci, którzy nie zrozumieli go wcześniej, zaczęli zadawać kolejne pytania. Gdy skończył, z ulgą spostrzegł, że nikt więcej nie ma zamiaru posądzać go o niekompetencję.

— Świetnie, zatem proszę jeszcze przez chwilę pozostać na swoich miejscach — poprosił, przechodząc na tył pokładu, gdzie Bartek i Jacek dalej siłowali się z drzwiami. — Obsługa samolotu poda państwu dodatkowe porcje żywnościowe i napoje. Z wszelkimi uwagami proszę zwracać się do naszych stewardes...

— Nic z tego, szlag! — oznajmił Jacek. Mimo że przekroczył już pięćdziesiątkę, jego pociągła twarz, błysk w oku i stosunkowo ciemna karnacja odmłodziły go. Teraz jednak zmęczenie i stres sprawiły, że wyglądał bardziej na

pensjonariusza domu pogodnej starości niż szefa pokładu.

— Dajcie już spokój z tymi drzwiami. Spróbujcie otworzyć te z przodu.

— Się robi, kapitanie — mruknął steward i skinął na Bartka. Jego młodszy kolega bez słowa podążył za nim na przód samolotu. Dwaj ochotnicy, którzy asekurowali stewardów, uczynili to samo. Wyższy wciąż ścisnął w dłoni długopis, najwyraźniej przekonany, że za moment zmieni się w czarodziejską różdżkę, którą otworzy nie tylko drzwi, ale i okna boeinga.

Gałecki zerknął na siedzącego nieopodal Krzyżanowskiego. Drugi pilot kończył właśnie rozmawiać z biznesmenami. Twarz towarzyszącej im kobiety nabrała naturalnej barwy i kapitan pomyślał, że jego przyjacielowi udało się przemówić grupce pasażerów do rozsądku.

— Stawiam ci duże piwo — szepnął, gdy Szymon podniósł się z siedzenia, wygładzając spodnie na udach. Ramię w ramię pokonali kilkudziesięciometrowy korytarz samolotu. Artur wszedł na moment do przedziału cateringowego. Wyjął z szafki styropianowy kubek i nalał sobie kawy. Dolał jeszcze trochę zimnego mleka, wymieszał i wypił całość kilkoma haustami. Nieco pokrzepiony, starając się odpędzić kolejną falę torpedujących go złych przeczuć, wyszedł z powrotem na pokład.

Wzrok Mai, obserwującej pracujących przy drzwiach stewardów, mocno go zaniepokoił. Podeszedł bliżej i spoj-

rzał na ręce Bartka. Drżały. Mężczyzna dusił w sobie zdenerwowanie.

Jak na zawołanie zjawiała się też Claudia.

— I jak? — zapytała z nietypową dla niej nieśmiałością.

Stanęła na placach i wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć.

Najbliżej siedzący pasażerowie przyglądali się im

z niepokojem. Ktoś ponownie zapytał, kiedy będą mogli opuścić pokład i czy w samolocie na pewno nie wybuchnie pożar.

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

Wszystko wskazywało na to, że zostali uwięzieni.

Drzwi ani drgnęły.

— Niech to wszystko szlag trafi — wyszeptał Jacek.

— Sprawdź te z drugiej strony — poradził Krzyżanowski, a następnie zwrócił się do młodszego stewarda:

— A my zobaczymy, co z awaryjnymi. Nie wierzę w to, że wszystkie jednocześnie się popsują. To niemożliwe.

Kilka minut później przekonali się, że nie miał racji.

* * *

Dorian cierpiał coraz bardziej. Przeżywał katusze, bo miał wrażenie, że porasta brudem. Wrócił przed chwilą z łazienki i to, co tam zastał, skutecznie odstraszyło go od skorzystania z jej udogodnień.

— Przepraszam panią — zwrócił się do mijającej jego fotel stewardesy, tej szczupłej czarnulki, którą na samym początku lotu Agnieszka nazwała „heterą”.

— Proszę? — zatrzymała się przy nim z ledwie skrywaną niechęcią. — Z czym mamy problem?

— W ubikacji ktoś zalał całą deskę — powiedział niezbyt głośno, by nie wyglądało na to, że rozkręca aferę. Jakby nie było, tym, co odróżnia nas od zwierząt, jest kultura.

Nic nie wskazywało na to, by stewardesa przejęła się przekazaną przez Dorianą informacją albo miała zamiar zrobić z niej użytek. Po prostu bez słowa odeszła.

* * *

Antonio, Manuel, Raul i Leticia w milczeniu spoglądali na drugiego pilota, którego indiańska prezencja w połączeniu z trzeźwością umysłu tworzyły w ich oczach wizerunek człowieka godnego zaufania. Wcześniej nieźle się zdenerwowali — samo lądowanie tak ich pobudziło, że mieli ochotę rozwalić cały ten samolot i wydostać się na zewnątrz, choćby przez okno w kabinie pilotów — a Antonio dodatkowo pogłębił w nich przerażenie, twierdząc z uporem maniaka, że na pokładzie są jacyś terroryści, którzy czekają na dogodny moment, by się ujawnić.

— Niech się państwo nie irytują — ciągnął pilot, posyłając każdemu z osobna pełne zrozumienia spojrzenie.

— Za moment wszyscy opuścimy pokład i zaczekamy na transport do Girony. To nie potrwa długo...

Leticia skinęła głową. Wydawało się, że jest z nimi szczerzy i to ją uspokoiło. Jeśli wszystko, co do tej pory

powiedział, było prawdą, rzeczywiście nie mieli powodów do zmartwień. Zdobyła się nawet na blady uśmiech.

— Dziękujemy panu za informacje — odpowiedziała łamaną angielszczyzną. Choć zrozumiała wszystko, co powiedział pilot, nie potrafiła wejść w dyskurs, postępując się obcym językiem. Wyręczył ją Raul, facet w przepoconej koszuli z podwiniętymi rękawami i krawacie. Otwarcie przyznał, że byli mocno przerażeni zaistniałą sytuacją, ale teraz nie mają zamiaru sprawiać jakichkolwiek kłopotów.

— Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej — zaznaczył nieomal przepraszającym tonem. — Wie pan, mamy w Barcelonie kilka spraw do załatwienia i dobrze by było dojechać tam jeszcze dzisiaj.

Drugi pilot uśmiechnął się.

— Jesteście w podróży biznesowej, prawda?

— Zgadza się — potwierdził Raul. — Jesteśmy menedżerami FC Barcelona. Pewnie pan coś o nim słyszał, prawda?

Lotnik gwizdnął z wrażenia.

No pewnie, że słyszałem! Można powiedzieć, że jestem kibicem Barcelony! Nie miałem jednak pojęcia,

153

że takich jak wy można spotkać w samolocie naszych linii.

Zawsze wydawało mi się, że podróżujecie czymś lepszym.

— Jak widać, nie zawsze — Raul był powściągliwy.

Oddałby fortunę, by znaleźć się teraz przed panoramicznym ekranem swego telewizora, z kolorowym drinkiem i pilotem w dłoni. Jednocześnie pomyślał, że gdyby w zarządzie nie dano dupy i zorganizowano na czas rejs prywatną maszyną, już dawno byłiby u celu.

— Wracacie z Polski?

Raul przytaknął.

— Jesteśmy świeżo po rozmowach z trenerem waszej reprezentacji.

Pilot jeszcze bardziej się ożywił.

— Przygotowujecie jakiś transfer?

— Przykro mi, ale tego nie mogę powiedzieć. To tajemnica.

Manuel ziewnął znacząco. Leticia przygryzła lekko wargę.

Pilot zdał sobie sprawę, że nie powinien ciągnąć tematu.

— Tak jak powiedziałem — odezwał się, opanowując podekscytowanie. — Lada chwila powinna nadjechać pomoc.

— Świetnie, jeszcze raz dzięki, że zechciał pan poświęcić nam trochę czasu. Doceniamy to.

Gdy do Krzyżanowskiego podszedł kapitan i mruknął mu coś do ucha, Manuel posłał Raulowi wymowne spojrzenie.

— Musiałeś tyle gadać?

— Nic mu nie powiedziałem.

— Wspomniałeś o rozmowach z trenerem. Po co?

— Nie podałem szczegółów, czemu się tak wściekasz?!

— I chwała Bogu, że nie podałeś. Nie powinienesz...

— Uspokójcie się — przerwała rodzącą się kłótnię

Leticia. — Nie zachowujcie się jak gówniarze.

Mężczyźni zamilkli. Manuel wstał ze swego fotela, by móc przyglądać się wysiłkom stewardów, mocujących się z drzwiami na przedzie samolotu. Towarzyszyła im stewardesa i dwóch wielkich kolesi, wyglądających jak klony podstarzałego Predatora.

— Coś słabo im idzie — skomentował.

— Zapytaj, czy nie chcą, żebyś im pottrzymał śrubokręt — dogryzł koledze Raul.

Antonio parsknął, ale śmiech zamarł mu na ustach, gdy przypomniał sobie, że nie ma szans na to, by zdążyć na chrzciny swego pierworodnego.

Żona urwie mi za to głowę, pomyślał. A potem dla przykładu nabije na pal.

* *

Od kilku dobrych minut Dorian obserwował kapitana samolotu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to ten sam człowiek, któremu kilka dni wcześniej uratował tyłek...

Ten sam. Aż trudno było uwierzyć, że spotkali się ponownie w tak nietypowych okolicznościach. Tylko dla-

czego pilot udawał, że się nie zna? Nie spodziewał się co prawda, że facet natychmiast podbiegnie, by uścisnąć mu dłoń, a potem wyrazi swą dozonną wdzięczność za okazanie pomocy, ba, może i nawet ocalenie życia, ale do diabła, dlaczego odwrócił wzrok jak gdyby nigdy nic?

Może nie pamiętał o tym, co się wydarzyło? Biorąc pod uwagę okoliczności tamtego zajścia, było to dość prawdopodobne.

Rozdział 11

Dorianie, mój Dorianie, przestań się czepiać. Facet omal nie rozbił maszyny, a ty oczekujesz, że rzuci ci się w ramiona.

Mimo wszystko dalej obserwował każdy ruch pilota, który akurat wraz ze stewardesami zatrzymał się przy drzwiach po lewej. Powiedział coś, czego Dorian nie dosłyszał. Usłyszała natomiast stewardesa i pociągnęła za metalową klamkę. Drzwi jednak nie ustąpiły. Ponowiła próbę, lecz dalej nic z tego nie wynikało. Kapitan pokręcił głową, jakby nie dowierzał. Znów odezwał się do dziewczyny, która bez słowa ruszyła wzdłuż pokładu w stronę drugiego pilota, szamoczącego się z drzwiami awaryjnymi. Towarzyszący mu steward miał zatroskaną minę.

Tymczasem Agnieszka wyglądała przez okno.

— Coś mi tu śmierdzi — odezwała się po chwili.

— Co takiego? — zapytał Dorian. — Znowu wywaliło kibel?

— Daj sobie na wstrzymanie — odburknęła. —

Jestem pewna, że to piloci zawalili. Nie żadna wieża, ale właśnie oni.

— Przecież to fachowcy.

— Może tak, a może nie.

— Jak to?

Dziewczyna wydeła pogardliwie wargi. Pomimo takiego zachowania, a może właśnie dzięki niemu, Dorian zapragnął jej. Tu i teraz... Najchętniej ściągnąłby jej bluzkę, zerwał stanik, miętosił te jej cudownie krągłe i jędrne piersi... Dopiero powtórzony głośniejszy pytanie wyrwało go ze świata marzeń i fantazji.

— Co?

— Padło ci na uszy? Pytałam, czy nie słyszałeś o takich przypadkach?

— Nie. O jakich przypadkach?

— Wyobraź sobie, że często zdarza się, że zamiast na ławicy, samoloty lądują w Krzesinach.

— Dlaczego?

— Bo te lotniska są oddalone od siebie zaledwie o kilka kilometrów, w dodatku znajdują się prawie w linii prostej... Rozumiesz?

Jasne, pomyślał. Czego tu nie rozumieć?

— I co to ma do rzeczy?

— Dobre pytanie. Może tu jest podobnie. Może tu też są dwa lotniska obok siebie i któremuś z pilotów coś

się popierdoliło. Dlatego właśnie zamiast w Gironie wylądowaliśmy tutaj.

Dorian nie wiedział, do czego zmierza jego była, ale nie poganiał jej pytaniami, wiedząc, że i bez tego sama wyjaśni, co jej leży na wątrobie.

— Szkopuł w tym, że oni rzeczywiście nie zauważyli, że lądują na jakimś opuszczonym zadupiu. Jakimś cudem to przegapili. Gadają o mgle, ale ja żadnej nie widziałam.

— Jakiś facet podobno widział.

— Podobno. Pewnie zasugerował się gadką kapitana.

— Do czego pijesz? Że mgły nie było i że specjalnie tu wylądowali?

— Niczego nie sugeruję, po prostu nie widziałam...

— Dobra, pieprzyć mgłę! Była, nie była, jaka różnica? Zaczekajmy, aż po nas przyjadą, i tyle. Dziękuję Bogu, że nic nam się nie stało.

— Pewnie, zaczekamy, w końcu co innego możemy zrobić? Ale... Coś mi tu śmierdzi — obwieściła, odwracając głowę. Pochyliła się, a następnie niemal dotykając nosem szyby, ponownie wbiła wzrok w pobojowisko otaczające samolot.

147

Wtedy to usłyszeli. Dźwięk, który sprawił, że włoski stanęły im dęba na karku.

Brzmiał jak ryk rannego słonia, a może mamuta, tyle że był głośniejszy i bardziej przerażający. Słyszeli go

wyraźnie, jakby dobiegał nie z zewnątrz, lecz z wnętrza samolotu. Z toalety albo kabiny pilotów. Gdy zabrzmiał ponownie, zarówno Dorian, jak i Agnieszka uzmysłowili sobie, że dochodzi z lasu. Coś kryło się w gęstwinie drzew, coś dużego i wściekłego. Gdy zaryczało po raz kolejny, Dorian odruchowo chwycił Agnieszkę za rękę. Przyśpieszony oddech dziewczyny powiedział mu, że jest przestraszona nie na żarty. Ta twarda, odważna laska, miała pełne portki. Ścisnęła dłoń Doriana, spazmatycznie łapiąc powietrze.

W całym boeingu zapanowała cisza. Nikt się nie odezwał, nawet kapitan samolotu stał jak zahipnotyzowany i nie wiedząc, co począć z dłońmi, na przemian zaciskał je i rozluźniał.

Tymczasem to coś, czymkolwiek było, kontynuowało swój koszmarny koncert. Zawodziło niczym bestia niepanująca nad swymi morderczymi instynktami.

Dorian pomyślał, że tak pewnie wrzeszczałby on sam, przypadkiem wybudzony w trakcie operacji.

— O kurwa ! — usłyszał zdławiony jęk Agnieszki, wpatrującej się rozszerzonymi oczyma w coś na zewnątrz boeinga. Natychmiast zbliżył twarz do okna, ale niczego nie dostrzegł.

— Co? Co widziałaś?

Próbowała odpowiedzieć, ale była zbyt roztrzęsiona, by wydusić choćby słowo.

* * *

Artur popędził do kabiny pilotów. Za nim podążył Krzyżanowski. Obaj wpadli do środka i zatrzasnęli za sobą drzwi. Kapitan rzucił się na przednią szybę i wybałuszył oczy. Początkowo sądził, że to jakieś zwierzę wpadło w pułapkę zastawioną przez kłusowników i ryczało w bólu, kiedy jednak ryk się nasilił, zwątpił w swoje przypuszczenia. Żadne ze znanych mu zwierząt nie wydawało takiego dźwięku. Brzmiał, jakby otworzyły się piekielne wrota, zza których uwięzione przez wieki demony wydostały się na zewnątrz z zamiarem rozszarpania na kawałeczki każdej żywej istoty.

Cokolwiek ryczało, wciąż pozostawało niewidoczne.

Gałecki bacznie obserwował ruchy gałęzi drzew wyginających się pod wpływem wiatru. Im dłużej wpatrywał się w mrok, tym bardziej się niepokoił.

— Widzisz coś? — zapytał go Szymon.

— Nic.

Drugi pilot zerknął przez boczną szybę. Porośnięta wysoką trawą polana mogła kryć dzikiego kota, lisa czy jakiegokolwiek inne zwierzę niepotrafiące oswobodzić się z żelaznego uścisku pułapki.

— Co to może być? — mruknął bardziej do siebie niż do przyjaciela.

Kapitan wyprostował się i zamyślił.

— Nie mam bladego pojęcia — wycodził po chwili. —

I nie jestem pewien, czy w ogóle chcę się tego dowiedzieć.

Rozdział 8

Każdy, prędzej czy później, dostaje to, na co zasługuje.

Tak uważał Artur. Do czasu jednak, bo oto jego wiara w sprawiedliwość została wystawiona na ciężką próbę.

Rozległ się przeraźliwy huk, od którego pilot na moment stracił słuch. Zaraz potem potężny wstrząs podniósł dziób maszyny. Towarzyszył mu rozsadzający uszy zgrzyt. Kolejny wstrząs i przód samolotu zwałił się na ziemię. Oszołomiony kapitan wyłożył się jak długi na wytartym dywaniku. Upadając, dostrzegł Krzyżanowskiego, również tracącego grunt pod nogami. Drugi pilot uderzył plecami w ścianę, odbił się od niej niczym przełożona piłeczka pingpongowa, potknął i runął na Gałecznego. Usłyszeli kolejny zgrzyt, a potem nagle wszystko zamarło.

Artur nasłuchiwał z niepokojem. W uszach pobrzmiwało dudnienie, bolał go kręgosłup i prawa ręka, przygnieciona przez potężne cielsko drugiego pilota. Ani jeden, ani drugi nie miał odwagi się odezwać. Czekali na kolejny wstrząs, kolejne preludium apokalipsy.

Ktoś na pokładzie zaklął siarczyście, ktoś inny wydarł się, że ma dość przygód na dzisiaj i żąda milionowego odszkodowania. Przez kakofonię nagle wzbudzonych głosów przebijał płacz kobiety — Mai, Claudii, a może którejś z pasażerek. Dołączyło do niego łkanie jakiegoś dzieciaka.

Płacz roznosił się po całym samolocie, przerywany kasz-
lem i jękami.

Krzyżanowski zsunął się z Artura, jednak nie wstał,
w obawie, że wkrótce nastąpi kolejny wstrząs. Jego roz-
biegane oczy usiłowały zatrzymać się na jednym punk-
cie, ale nie mogły, jakby sterował nimi paralityk.

— Arrr... tur — wymamrotał z przejęciem. — Co to...
na Boga... było?

Kapitan nadal leżał na wykładzinie podłogi, starając
się wyrównać oddech. Znow rozbołała go głowa. Czy ta
cholerna megamigrena, to uczucie zaciskającej się na
mózgu sieci, nigdy nie zniknie?

— Przednie koło... — wydusił, przetykając gorzką,
obrzydliwie gęstą ślinę. — Szlag trafił przednie koło.

Przez dobrą minutę usiłował się podnieść i kiedy wresz-
cie mu się to udało, chwiejnym krokiem podszedł do okna.

Szymon odwrócił się do Gałęckiego. Potarł energicz-
nie policzki, najwyraźniej pragnąc obudzić się z koszma-
ru, w którym uczestniczył wbrew swej woli.

— Mam wrażenie, że to coś innego... — zawahał się.

— Co?

— No, ten zgrzyt, wstrząs... I ten ryk... To było... —

Nie potrafił znaleźć właściwych słów. — Myślę, że ktoś...

— Ktoś?

— To nie był żaden człowiek ani zwierzę.

— Przystań pieprzyć, proszę! — Artur oparł się o ścia-

nę, wypuszczając ze świstem powietrze. Ból pleców był nie do zniesienia. — Chłopie, złamałeś mi kręgosłup — dodał z wyrzutem.

Drugi pilot nie odpowiedział, w skupieniu obserwując las za przednią szybą.

Minęła kolejna minuta, potem druga. Coś w wyrazie twarzy Krzyżanowskiego sprawiło, że Artur poczuł, iż traci grunt pod nogami. Do diabła, zaraz pewnie powie, że ukażał mu się sam diabeł. Albo Matka Boska Fatimska, albo...

— Co jest?

— Dobre pytanie. Ale nie znam odpowiedzi.

Otrzepując spodnie, podszedł do kumpla i stanął za jego plecami. Miał ochotę zawyć z rozpacz i wściekłości zarazem. Nigdy wcześniej nie wydawał się samemu sobie tak bezradny i zdany na ślepy los. Nie przywykł do świadomości, że dał ciała. To była dla niego nowość.

I wcale się z niej nie cieszył.

To wszystko moja wina, powtarzał sobie w duchu.

Mogłem nie lecieć. Wszystko przeze mnie!

Krzyżanowski cofnął się o krok i nieopatrznie stanął mu na stopie. Artur syknął z bólu.

— Kurwa — niemal przeliterował to słowo.

— Coś tam jest — usłyszał zamiast przeprosin.

— Co...

Drugi pilot przejechał językiem po górnej wardze i powtórzył znacznie wyraźniej i dobitniej:

— Tam coś jest.

Kapitan popatrzył na niego. Po chwili spojrzął we wskazanym kierunku. Gałęzie drzew śmigały na wietrze, jakby w roślinnej wersji „Tańca z gwiazdami” albo nieudanym teatrzyku dla lalek. W kurewsko wielkim teatrzyku.

— Co jest? Co zobaczyłeś? — zapytał cicho, skanując wzrokiem okolicę. W głębi duszy sam już nie wiedział, komu i czemu wierzyć, kogo i co traktować poważnie. Czuł, że rozpada się na kawałki, że jego umęczony ostatnimi wydarzeniami umysł szykuje się do strajku generalnego. Coś się chrząniło. Nienazwane i z pewnością niekochane. Co gorsza, z jakiegoś powodu był pewien, że koło nie zostało uszkodzone przez kamienie... Coś ich obserwowało. Czaiło się w pobliżu.

Potężne, nieludzkie, głodne.

— Co widziałeś? — wychrypiał ponownie, starając się zagłuszyć podszepty wyobraźni. A może to nie wyobraźnia, lecz intuicja albo zdolność jasnowidzenia? Skądś wzięły się te wszystkie przeczucia, ta wiedza. Początkowo w nią wątpił, ale teraz był pewien, że coś zagrzeździło się w jego głowie, coś nieopisanego, nieomal... Ktoś zapukał do drzwi. Pomyślał, że to idiotyczne — pukać do drzwi kabiny, kiedy z samolotu zostały same drzazgi.

— Nie jestem pewien — odparł wymijająco pierwszy oficer.

— Jak to wyglądało?

— Ja... Wątpię, czy to w ogóle widziałem...

Gałecki zacisnął zęby, ale nie odezwał się. Czekał na rewelacje przyjaciela ze stężałą twarzą, niczym na wyrok, na wieść o ostatnim stadium białaczki.

— To... — usłyszał jak przez ścianę. — Chyba krwa-
wiło. Kapujesz. Było w strzępach... Całe czerwone. Na-
puchnięte. I duże, ogromne. Wyglądało jak człowiek, ale
to nie mógł być...

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu, a potem
Artur powiedział:

— Ktoś puka. Chyba. '

— Nie wierzysz mi? — bardziej stwierdził, niż zapy-
tał Krzyżanowski. — I trudno ci się dziwić. Sam w to nie
wierzę.

— Nie powiedziałem, że...

— Otworzę. — Drugi pilot chwycił za gałkę drzwi, :
ale jej nie przekręcił. Zadrżał mu podbródek, a oczy wy-
pełniły się łzami.

— Nie mogę — wykrztusił, ledwo panując nad emo-
cjami. — Nie mogę dłużej. Nie wiem, co tu się dzieje.

Mam wrażenie, że to jakiś inny świat, sen wariata. A mo- :
że to ja zwariowałem?

— Spokojnie — odezwał się Gałecki. — Musimy wy- ;'
trzymać jeszcze trochę. Pociesz się, że jadą już po nas. '

— Wytrzymać?! — fuknął Szymon i dodał, znacznie ciszej: — Tam na zewnątrz... To... — Słowa utkwily mu ; w gardle niczym sklezione ze sobą grudki żelatyny.

— Mam zwidy, stary... Ja... !

Oparł się o drzwi i w jednej chwili pękł jak przekłuty balon. Jego ramiona podnosiły się i opadały w bezdźwięcznym szlochu. Stojąc w tej pozie, wyglądał niczym wrak, ktoś, kto minął się z powołaniem, a może uświadomił sobie przed momentem, że nigdy żadnego nie posiadał.

— Przepraszam — wykrztusił, wycierając policzki rękawem koszuli. — Przepraszam.

— Nic nie szkodzi.

— Nie czujesz tej atmosfery?

Gałecki pociągnął nosem.

— Atmosfery?

— Jakby coś nami sterowało. Było tutaj... Jakby było baterią, której moc...

— Po prostu doprowadź się do porządku i chodźmy stąd, stary — przerwał mu Gałecki.

— Mam zwidy — powtórzył drugi pilot.

To nie są zwidy, pomyślał Artur, zaciskając zęby. To rzeczywistość.

Tymczasem po raz trzeci rozległo się pukanie. Natrączywe, głośne, absurdalne. A potem do środka weszła, a raczej wtoczyła się Claudia. Koszulę miała nieprzepiśkowo rozpiętą, spódniczkę wygniecioną i pobrudzoną

czymś brązowym. Czekoladą, a może musztardą.

— To jakiś koszmar. Co z wami...

— Nic — odparł krótko kapitan.

— Co robicie?

— Gramy w chińczyka, do diabła. A jak myślałaś? Po

cholere pukałaś?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Zaskoczona, przeniosła wzrok na Krzyżanowskiego.

Ten, czerwony jak burak, z wilgotnymi od łez oczyma, skwitował jej zdziwienie wzruszeniem ramionami. Przyszło mu to z takim trudem, że przez chwilę zastanawiał się, czy ktoś nie położył mu na nich niewidzialnego krzyża.

* * *

W przedziale pasażerskim panika zbierała swe żniwo.

Część towarzystwa uległa ekspresowemu nawróceniu, modląc się z różnym natężeniem głośności. Inni siedzieli w otępieniu, niektórzy starali się opatrzyć powierzchowne rany, jakich doznali w trakcie lądowania i ostatnich wstrząsów.

Artur dostrzegł stewardów. Spoglądali po sobie, jakby nie mogli uwierzyć, że wciąż żyją. Tuż obok nich jeden z rosnących mężczyzn szarpał z zapalem za uchwyt drzwi.

— Prawie puścili! — krzyknął, nie poddając się. —

Zaraz je rozwalę!

Gałecki obserwował jego nerwowe ruchy, tracąc nadzieję, że mięśnie osiłka na coś się zdadzą. Jakie było jego

zaskoczenie, gdy nagle rozległ się trzask oznaczający, że facet spełnił swą obietnicę. Do maszyny wleciało świeże powietrze i zapach leśnego runa.

Pasażerowie wydali z siebie chóralny okrzyk radości, a potem do akcji wkroczył kapitan. Wykorzystując ogólne ożywienie, podniósł ręce i zamachał nimi.

— Proszę państwa! Proszę o spokój! — krzyknął, by zwrócić na siebie uwagę. Co dziwne, udało mu się to. Najwidoczniej ludzie znów potrzebowali dowódcy, kogoś z planem. Artur nie miał żadnego, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. — Wkrótce spuścimy trap ratunkowy...

— Cała ta puszka nadaje się na złom! — zagrział ktoś zgryźliwie, ale nie kontynuował, uciszony przez swych sąsiadów.

— Za chwilę dwóch członków załogi opuści samolot. Rozejrzą się w terenie, może uda im się złapać zasięg...

— Zasięg, Jezu... — ktoś jęknął. — Czemu tu nie ma zasięgu?!

— To na pewno nie potrwa długo. Proszę więc wszystkich o cierpliwość. Jeśli ktoś potrzebuje pomocy, może zgłosić się do którejś ze stewardes...

— No dobra — znów odezwał się ten sam mężczyzna, który nazwał boeinga złomem. —A jaką mamy gwarancję, że ta pańska załoga nie spartoli sprawy? Że nie zgubią się jak dzieci we mgle?

— To nie... — zaczął Artur, ale facet nie dał mu do-

kończyć.

— A my tu będziemy zakwitać w najlepsze! I, na litość boską, co to był za wstrząs? Co tu się, do diabła, dzieje?

Rozległy się szepty i sarkania, było widać, że słowa bezimiennego piniacza trafiły na podatny grunt.

— Pękło przednie koło — odrzekł kapitan.

— Niech pan nie żartuje! Koło? W samolot coś walnęło!

! — Spokojnie. Po czym pan wnosi, że...

— Kapitanie, siedzę w branży, to wiem. Nie mamy czasu na zbędne dywagacje.

! — Panie...

— Major policji Stanisław Dąbczak, obecnie w stanie spoczynku... — oznajmił samozwańczy przedstawiciel pasażerów. — Proponuję, żeby do tych pana macherów dołączyli jeszcze jacyś ochotnicy. Na zewnątrz może być niebezpiecznie, zdaje pan sobie chyba z tego sprawę, prawda?

Artur milczał przez kilka sekund. Musiał uczciwie przyznać, że choć facet nie wzbudzał sympatii, to, co mówił, nie było pozbawione sensu. Co prawda załoga boeinga była wszechstronnie przeszkolona pod kątem radzenia sobie w różnych sytuacjach, ale nikt nie przewidział, że trzeba będzie szwendać się po lesie pełnym, co całym możliwym, dzikich zwierząt...

— No dobrze — poddał się. — Czy ktoś czuje się na siłach, by wybrać się z naszymi stewardami po pomoc?

Szepty i komentarze ucichły jak ucięte nożem. Oczywiście, tego można się było spodziewać. Nie brakuje mocnych, ale w gębie. Gdy trzeba wykazać się odwagą, wtedy nagle okazuje się, że wszyscy razem i każdy z osobna ma ważniejsze zajęcia. Jak choćby studiowanie elementów cudzej garderoby czy kontemplacja brudu za paznokciami.

— Ja — podniósł rękę major. — Mam dobrą orientację w terenie, więc mogę przejąć odpowiedzialność za tę... wycieczkę.

Kapitan spojrzał na faceta uważniej. Chyba go nie doceniał. Najwyraźniej, poza biciem piany, był zdolny do czynów. Obok majora, obejmując go czule, stała blondyneczka o wielkich oczętach, którymi wpatrywała się w swego lubego z bezbrzeżnym podziwem. Czego to człowiek nie zrobi, żeby przypodobać się spódniczce. Z drugiej strony, niezależnie od pobudek, liczą się efekty.

— W porządku — zwrócił się do wszystkich pilot. — Myślę, że wystarczy, jeśli pójdziecie we trzech. Dwóch naszych stewardów, no i pan... panie majorze.

Dąbczak ucałował dziewczynę, szepnął jej coś na ucho i podszedł do kapitana. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że dalsze dywagacje na forum nie są wskazane.

Cóż, nie można mu było odmówić profesjonalizmu.

— Kiedy ruszamy? — spytał Artura, gdy był na tyle blisko, by mieć pewność, że nikt postronny nie usłyszy, o czym rozmawiają.

— Im szybciej, tym lepiej. — Nad tym akurat Gałęcki nie musiał się zastanawiać. Chęć natychmiastowego opuszczenia pokładu malowała się na wszystkich twarzach wyraźnie niczym znak stopu. Trudno było im się dziwić. Nawet jeśli ten statek jeszcze nie tonął, to na pewno nie nadawał się już do użytku.

— Święte słowa — zgodził się major.

Artur poczuł, trochę wbrew sobie, że zaczyna darzyć sympatią tego emerytowanego gliniarza.

— No cóż, wydaje mi się, że w takich sprawach ma pan więcej doświadczenia ode mnie.

— Nie będę popisywał się fałszywą skromnością.

Służyłem trochę w antyterrorystach, więc co nieco liznąłem. — Rozejrzał się po wnętrzu boeinga, jakby szukał natchnienia. — Słyszał pan te ryki z lasu?

— Nawet głuchy by usłyszał — przyznał niechętnie Artur.

— Jakieś dzikie bydle tam się szwenda... może nawet niejedno. Przydałoby się, żebyśmy na wszelki wypadek mieli ze sobą broń.

— W kokpicie mam w schowku astrę, tyle że tylko z pociskami obalającymi.

— Jasne. W razie czego nie przebiją kadłuba samolotu. Ale to powinno wystarczyć... Mógłby mi pan pożyczyc spluwę na jakiś czas?

— Jasne — westchnął Gałęcki. — Coś jeszcze?

— Jakieś oświetlenie.

— Dostaniecie pochodnie magnezjowe i dwie latarki.

Kilka muszę mieć w zapasie, sam pan rozumie...

— Jasne. Dwie w zupełności nam wystarczą. I może nie pan... — Major wyciągnął rękę do Gałęckiego. — Jestem Staszek.

Kapitan uśmiechnął się ponuro i uścisnął dłoń Dąb-
czaka.

— Artur. Zapraszam do mnie.

Po drodze mieli okazję nacieszyć wzrok wydekolto-
waną pańcią koło trzydziestki, z apetycznymi nogami
w burdelówkach i miniówką długości krótkich spodenek.

Lalunia spięła farbowane blond pukle, pewnie po to, by
każdy mógł podziwiać wytatuowanego na jej karku ko-
lorowego motyla, i paradowała w tę i we w tę między fo-
telami, wypatrując czegoś na podłodze. Zgubiła szkła
kontaktowe czy spinkę z brylantem?

Normalnie Artur zaoferowałby jej niekoniecznie bez-
interesowną pomoc, ale tym razem minął ją niezbyt sze-
rokim łukiem i pomaszerował dalej.

W kabinie zastali Krzyżanowskiego, który z uporem,
by nie powiedzieć, że z zaciętrzewieniem, usiłował wskrze-
sić system łączności. Przypominało to próbę ożywiania
trupa za pomocą magii voodoo. Było równie widowisko-
we, co bezskuteczne.

Na ich widok drugi pilot przerwał swe wysiłki, po-

ciągnął nosem, jakby miał się rozpłakać, po czym zniechęcony klapnął na fotel.

— Major pójdzie z naszymi chłopakami na rekonesans — wyjaśnił kapitan, wyciągając ze schowka astrę.

— Tu nic nie działa — fuknął Krzyżanowski, spoglądając przelotem na Dąbczaka. — Padł nawet termometr.

— Cud, że maszyna nie połamała się na tych cholernych kamieniach i rowach — zauważył major. — Należy się wam szacunek, panowie. — Uśmiechnął się lekko i dodał:

— Niewielu pilotom udałooby się wylądować w takim syfie.

Krzyżanowski westchnął tylko, pozostawiając kapitanowi ciężar konwersacji.

— Mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu — przyznał Gałeczki.

Dąbczak przypiął kaburę z rewolwerem do paska, schował zapasową paczkę naboju do kieszeni i przyjacielsko poklepał kapitana po ramieniu.

— Wróć z odsieczą, zanim się zorientujecie.

* * *

Jacek Rybiński dreptał przy otworze drzwiowym i z niepokojem wpatrywał się w gęstwinę lasu. Nie miał ochoty opuszczać pokiereszowanego, ale znanego jak własna kieszeń wnętrza boeinga.

— Zagęść ruchy, chłopie, musimy ruszać! — poganiał go major, wyraźnie wczuwając się w rolę dowódcy oddziału zwiadowczego.

— Damy radę, trzymaj się — rzekł młodszy steward, choć miał taką minę, jakby poważnie wątpił w swoje słowa.

— Damy radę, pewnie... Bartek, jak jesteś taki mądry, to może pierwszy zjedziesz? — warknął Jacek, odsuwając się od drzwi.

Zdewastowana płyta lotniska znajdowała się nie dalej niż trzy metry poniżej poziomu pokładu, ale nikt nie chciał narażać członków ekipy ratunkowej na skręcenie kostki czy inną kontuzję zaraz na początku misji. Wypuścili więc automatycznie rozkładany trap ratunkowy, którego rękaw połączył statek z powierzchnią lotniska. Dobrze, że choć on się nie schrzanił, zauważył z goryczą Krzyżanowski, odpuszczając sobie dalsze wysiłki naprawienia czegokolwiek.

— Nie ma sprawy — odparł Bartek, po czym nabrał głęboko powietrza w płuca jak przed skokiem w głębinę, wziął mały rozbieg i zanurkował w rękaw trapu. Po chwili za jego przykładem poszedł sam Dąbczak i na koniec zamykający stawkę Ryba.

W kilka sekund później całą grupką stali obok boeinga, rozglądając się czujnie. Major trzymał dłoń na kaburze astry, gotów do jej natychmiastowego użycia.

— I jak tam? — krzyknął do nich GałECKI. — Wszystko w porządku?

— Tak — odpowiedział Dąbczak. — Nie widzę żadnych wycieków paliwa! Czekaście na nas w samolocie. Za dwie, trzy godziny będzie po wszystkim! Idziemy!

Po tym jak stewardzi i major opuścili maszynę, atmosfera wśród pasażerów wyraźnie się poprawiła. Emocje opadły. Ludzie znów spacerowali po pokładzie, nie tylko rozmawiając o przyczynach, które mogły spowodować awaryjne lądowanie, ale wymieniając się także uwagami na inne, luźniejsze tematy.

Korzystając z chwilowego rozprężenia, Dorian zdecydował się wreszcie pogadać z kapitanem. Podszedł więc do drzwi, z których spuszczoneo trap. Z przyjemnością odetchnął świeżym powietrzem. Twarz owinął mu lekki wietrzyk, niosący ze sobą zapach mchu i gnijącego igliwia.

Artur sterczał w tym samym miejscu, w którym przed kwadransiem żegnał się z Jackiem, Bartkiem i majorem.

W zamyśleniu pocierał brodę, od czasu do czasu poprawiając okulary, które jak na złość zsuwały mu się z nosa.

— Panie kapitanie... — zaczął nieco niepewnie Dorian.

— Słucham? — zagadnięty zamrugął oczami jak ktoś wyrwany z głębokiego snu. — W czym mogę panu pomóc?

— Nie. To nie tak. Nie potrzebuję pomocy.

— Więc o co chodzi?

— Nie poznaje mnie pan? Nie poznajesz... — odparł Dorian nieco zaczepnie. — To ja ci pomogłem kilka dni temu...

— O czym pan mówi? — Zaskoczenie kapitana wyglądało na autentyczne, nie było w nim ani odrobiny

udawania.

Dorian westchnął.

— Naprawdę nie pamiętasz?

Pilot spojrzał mu głęboko w oczy, po czym przechylił głowę.

— Pańska twarz wydaje mi się znajoma... — przyznał niepewnie. — Ale w mojej pracy codziennie spotykam setki ludzi...

Dorian nie ukrywał rozczarowania.

— Akurat mnie powinienes pamiętać.

Rozdział 9

Gdy wytoczył się z knajpy na Limanowskiego, niebo przypominało stary granatowy koc, przez który prześwitywały jaśniejsze kropki gwiazd. Mijana latarnia migotała niczym lampka choinkowa, kuśtykający na trzech nogach pies ujadał, aż skóra na plecach cierpła, a gdzieś wysoko w chmurach mruczał podchodzący do lądowania samolot. Arturowi kręciło się w głowie. Tego wieczoru pozwolił sobie na cztery szklaneczki whisky, cztery piwa i dwa breezery. Te ostatnie w pijanym zwi-dzie wziął za zwykły sok arbuzowy i dopiero, gdy trunek, wykonując elegancki slalom, zawrócił z żołądka z powrotem do gardła, uświadomił sobie, że oto przyjął na klatę kolejne procenty. Jakaś blond panienka, najwyżej osiemnastka, przez dobrą godzinę nawijała mu o swoich byłych kochankach. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy

się dosiadła ani czy się przedstawiła. Nie przejmował się takimi szczegółami. Chciała się grzać i tylko to było ważne. Młoda, całkiem sympatyczna, myślał, świdrując wzrokiem jej okazały dekolt. Różowa bluzeczka była cieńsza od pergaminu, niemal przeźroczysta. Aż dziw, że nie przebiły jej zadziornie sterczące sutki dziewczęcia. Zanim się zorientował, jego członek wystrzelił w górę niczym rakietą typu ziemia-bóbr. Pijąc, wyobrażał siebie, jak ją popycha, jak bierze od tyłu i gryząc szyję, wsłuchuje się w jęki rozkoszy. Zdecydowanie potrzebował seksu. Był zdesperowany i dziękował Najwyższemu za tę młodą pipkę. Fakt, że trajkotała z zapalem katarynki i bez sensu, ale nic to. Czekał aż skończy i pójdą do jego mieszkania. Zamówił kolejne piwo, potem jeszcze jedno. I te nieszczęsne breezery.

— Myślisz, że to dużo? — zapytała nagle.

— Co? — wychrypiał.

— Spałam z dwunastoma facetami. Myślisz, że to dużo?

— Dwunastoma apostołami? Spoko, ja mogę być nawet twoim Jezusem! Albo szczęśliwą trzynastką. Jak wolisz.

Nie wierzył, że to powiedział. A jednak. Uśmiechnęła się niepewnie, widocznie zastanawiając się nad znaczeniem tej propozycji. Chciał ją obrazić? Chyba nie. Przez moment milczała, by z entuzjazmem pokiwać głową.

— Jesteś całkiem milutki...

Mieli właśnie wstać od stolika, kiedy to się stało.

W jednej chwili czuł się jeszcze całkiem nieźle, a w następnej ktoś wsadził mu łapsko w bebecchy i przetasował je z jednej strony na drugą, energicznie podrzucając w górę i w dół. Wątroba, żołądek, jelita. Tam i z powrotem.

Zacisnął usta, ale nie dał rady tego powstrzymać. Puścił pawia prosto między jej wulkany. Paw był wielki, panoramiczny. Robił wrażenie.

Nie pamiętał, jaka była reakcja dziewczyny i jak zareagowali inni klienci. Oprzytomniał dopiero na ulicy.

Usta wypełniał kwaśny posmak rzygowin. Rozejrzał się po okolicy, ale w pobliżu nie dostrzegł żywej duszy.

Gdzie ona się podziała?

— Koteczku? — pisnął, nie mogąc sobie wybaczyć, że porzygał się w jej obecności. Choć może obecność nie jest tu najlepszym określeniem... Wszystko spieprzył!

Gdzie ona jest? Wspomnienia powracały z wolna. Zwiął od stolika. Pognał do kibla, puścił kilka kolejnych, coraz mniejszych pawii, tym razem do umywalki, sedesu i trochę na ścianę, a potem wybiegł na zewnątrz.

Niech to szlag! A szczęście było tak blisko!

Ruszył chwiejnym krokiem wzdłuż rzędu kamienic.

Doszedł do Głogowskiej i zatrzymał się. Nigdzie jej nie było. Przepadła. Jak kamień w bajoro! Do diabła, pomyślał. Tak się urządzać!

Postanowił, że następnym razem będzie zamawiał bezalkoholowe browce.

Wściekły doczłapał do Rynku Łazarskiego, a potem wbił się w mroczną Lodową. Odrapane budynki po obu stronach ulicy tonęły w ciemnościach. Tutaj działała za- ledwie co czwarta, piąta latarnia i musiał się nieźle na- pocić, aby nie zboczyć z chodnika. Przeklinał dzień, w którym odeszła Beata, przeklinał każdy dzień z nią spędzony, wreszcie przeklinał swoją ułomność. Jako pi- lot zarabiał całkiem nieźle, więc dlaczego wciąż brako- wało mu kasy? Czy miało to coś wspólnego z jego upodobaniem do hazardu? Możliwe. Za bardzo szastał pieniędzmi, ale taki już był. Jestem jaki jestem, skonsta- tował. Jestem spoko kolesiem, mam gadane jak mało który, czemu więc, do kurwy nędzy, większość nocy spę-

165

dzam w towarzystwie prawej ręki? Żałosne. Co najmniej. Idiotyczne. Niedorzeczne. Kompletnie chore!

Użalając się nad sobą, przeszedł na drugą stronę ulicy.

Potknął się o pękniętą płytę chodnikową i omal nie wy-

winął orła. Super, pomyślał, z trudem utrzymując rów-

nowagę. Jeszcze tego by brakowało! Ciekawe, czy dał-

bym radę wylądować boeingiem w takim stanie. To

dopiero byłaby jazda! Już widział nagłówki gazet: PIJA-

NY PILOT POMYLIŁ PAS STARTOWY Z AUTOSTRA-

DA. ZALANY W TRZY DUPY LOTNIK WYLĄDOWAŁ

W POLU KUKURYDZY, ZAMIENIAJĄC JE W GÓRĘ

POPCORNU!

Dochodząc do Stablewskiego, usłyszał szelest. Pies albo kot, pomyślał. Albo chomik. Przytrzymując się latarni, pochylił się lekko, zmrużył jedno oko i przez moment czekał, aż z jakiejś dziury wyłoni się zmechacony futrzak. Gdzieś w oddali zabrzmiał klakson. Dźwięk szybko jednak ucichł, rozpluwając się w mrokach miasta. Artur obserwował krzak, zastanawiając się, co począć z tym fantem. W końcu wpadł na genialny w swej prostocie pomysł. Idę do domu, mruknął.

I wtedy dostrzegł trzech obwiesi w wieku późnogimnazjalnym lub wczesnozawodówkowym. Jeden wyłonił się niczym duch zza stojącej w pobliżu furgonetki, drugi wyszedł zza rogu ulicy, a trzeci wyskoczył z bramy. Kimkolwiek byli, nie wyglądali na przypadkowych przechodniów. Dwa muskularne karki, ubrane w obciste podkoszulki i sprane dżinsy zmierzały w stronę Gałęckiego, z wyraźnym zamiarem odcięcia mu drogi ucieczki. Dostrzegł tatuaże na przedramieniu jednego z nich. Przedstawały smoki albo węże. A może męskie genitalia, Bóg jeden raczył wiedzieć. Trzeci był nieco niższy i szczuplejszy. Jego ogolony do zera łeb błyszczał w świetle latarni niczym wysmarowany wazeliną. Miał na sobie białą koszulkę z pyskiem pitbulla na piersi i krótkie spodenki. Otoczyli pilota, nie odzywając się słowem. Jeden z wyrostków splunął z uczuciem, jakby chciał przez to powiedzieć: okej, chłopa, no to do roboty! Najpierw łamiemy gnaty, a potem

ucinamy jaja!

Artura zmroziło. Był zbyt pijany, aby podjąć próbę ucieczki, zbyt przerażony, by wołać o pomoc.

— Panooooooowie, ale osso chozi? — wybełkotał. Jeden z katarów wyszczerzył zębiska w uśmiechu. Miał ułamaną górną dwójkę. W mdłym świetle latarni wyglądała jak czarny odwłok robaka.

— O co chodzi? — odparł ten najniższy, widocznie przywódca bandy. Podniósł przy tym prawą brew w wyrazie udawanego zdziwienia. — Generalnie o nic, jak zawsze. Masz, kolego, zegarek?

Chudzielec w krótkich spodenkach zarechotał z własnego żartu.

Gałecki podwinął rękaw wygniezionej koszuli i spojrział na srebrną omegę, prezent, z którego zawsze był niezmiernie dumny.

— Dochooooozi druga — mruknął, przełykając ślinę.

— Nie pytam, która godzina — uciął osiłek, po czym podszedł do Artura tak blisko, że stęchła woń bijąca z jego ust omal nie powaliła pilota na głębę. — Dawaj go, kretynie!

— Ccco?

— Misia Gogo, palancie! Jasne, że zegarek, a co myślałeś?

Pozostali mężczyźni stanęli za plecami Gałeckiego.

Jeden z nich bez ostrzeżenia złapał jego prawą rękę

i wykręcił tak mocno, że pilot zawył i upadł na kolana. Nie poczuł bólu, gdy odłamek z rozbitej butelki po browarze wbił mu się w kolano. Był zbyt przerażony, by zwracać uwagę na takie drobiazgi.

Osilek z łatwością odpiął zegarek. Przybliżył go do oczu.

— Niezły — gwizdnął z uznaniem, chowając go sobie do kieszeni.

— Ciekawe, co kitra w portfelu — zainteresował się drugi.

Gdy któryś z wyrostków przyłożył Arturowi z buta w bok, inny prychnął ostrzegawczo:

— Spokojnie, nie tutaj.

— To co, Kosa, idziemy z pacjentem do bramy?

— Ja pierdolę, no pewnie.

Pilot był półprzytomny. Odzyskał dech w piersiach dopiero wtedy, gdy napastnicy podnieśli go z ziemi niczym nazbyt wyrośniętego pluszaka i popchnęli.

— Stul pysk. Zacznieś krzyczeć, to zajebię! — Groźba dotarła do niego nieco stłumiona, jakby po drodze musiała przebić się przez grubą kotarę. Nie miał zamiaru krzyczeć, do diabła. W tym momencie nie dałby nawet rady wymówić szeptem własnego nazwiska.

Wepchnęli go do bramy jednej z kamienic na Lodowej. Uderzył barkiem w ścianę, poślizgnął się i upadł na wilgotny beton.

— Wstawaj, śmieciu!

Nie wykonał polecenia, więc w ramach zachęty dostał kopniaka w głowę. Krew bluznęła z rozbitego nosa, plamiąc kołnierzyk koszuli. To koniec, pomyślał. Umrę w tej dziurze...

Zaraz potem stracił świadomość. Gdy ją odzyskał, leżał na podłodze w cichym, pograżonym w ciemnościach pomieszczeniu. Dopiero wtedy poczuł pieczenie w okolicy kolana i tępe łupanie w potylicy. Słyszał swój oddech, a także odgłos kroków.

— Masz? — rozległ się znajomy głos. Napastnicy wciąż byli w pobliżu. Któryś z nich musiał się bardzo nudzić, bo podbiegł do Gałeckiego i wymierzył mu kopniaka, tym razem trafiając go w ramię. Ból był tak dojmujący, jakby jego ręka została właśnie wkręcona w maszynkę do mięsa.

— Nie — jęknął. — Już nie...

— Nie? — warknął jeden z bandziorów. — A to niby dlaczego? Zasłużyłeś na wpierdol, cwelu! Gdzie schowałeś forsę?!

Artur próbował wymacać portfel, ale gdy sięgnął do kieszeni spodni, uzmysłowił sobie, że jest pusta.

— Zostaw go, Szkieletor — usłyszał. — Spadajmy stąd!

— Pojebało cię?

— On nie ma tej forsy. To nie nasz człowiek!

— Może ma.

— Niby gdzie? Schował w dupie? W portfelu nie ma nic, poza tą biedną dychą, w kieszeniach też gówno...

— A sprawdzałeś w skarpetach?

— Pojebało cię? Może mam mu jeszcze przetrząsnąć gacie, co? Pierdolę to, ja się zmywam!

— Kurwa!

Kolejny cios w szczękę ogłuszył Artura na kilka minut. Chciał im wytłumaczyć, że nie ma przy sobie pieniędzy, bo wszystkie przepił, jednak nie zdążył, bo zaliczył jeszcze jeden cios, po którym znów urwał mu się film.

Kiedy oprzytomniał, wciąż leżał w ogarniętym mrokiem pomieszczeniu. Zastanawiał się, czy jeszcze żyje.

Ból był nie do zniesienia. Paraliżował. W niebie nie czuje się bólu. Podobno. Może więc trafił do piekła?

— Powiedzieli, że będzie miał przy sobie kupę szmalu

— ciszę przeszył gardłowy głos. — Dobrze dziesięć patyków.

— Ale nie ma.

— Coś pochrzanili! Mówię ci, gościu, to nie on.

— Co ty bredzisz?! Nie mogli się pomylić.

— Ale się pomylili. Spierdalajmy.

— Zaraz.

Ktoś chwycił Gałęckiego za ramiona i potrząsnął nim jak szmacianą kukielką. Ten ktoś najwyraźniej nie dbał o higienę jamy ustnej, bo z jego ust bił tak paskudny odór, że Artura omal nie zemdlilo.

— Gdzie jest forsa, zawszony kutasie? — wyszczał śmierzdel.

Pilot zamrugał. Miał nadzieję, że się obudzi, ale niestety, tak się nie stało. Zaczynał za to trzeźwieć, co trzeba przyznać, nie sprawiało mu frajdy. Odetchnął głębiej raz i drugi, by wymamrotać:

— Nie... czym... mówisz.

— Mam ci przypomnieć?

— Zostaw go — wtrącił inny bandzior. Mrok był tak gęsty, że Artur nie dostrzegł nawet zarysu jego sylwetki.

— Jestem kapi...

— Co tam gadasz, pedale? Że kim niby jesteś?!

— Ka... pi... tanem.

— Gliną?

— To glina?

— Jaki glina?! Ściemnia. Nie wygląda na gliniarza!

Zaraz go zajebię!

— Zostaw! Zdupcujmy.

— Sam zdupcuj! Ja nie ruszę się stąd bez kasy!

Nagle rozbłysło światło. Napastnicy zamarli, zaskoczeni. Gdzieś na wyższym piętrze kamienicy, może pierwszym, a może drugim, ktoś otworzył drzwi. Gałęcki chciał krzyknąć, zawołać pomocy, ale z jego gardła wydobył się jedynie śmieszny bulgot. Korytarz piwniczny, to tutaj go przytaskali. Jakies pięć metrów dalej dostrzegł spasionego szczura, leniwie tuptającego w sobie tylko

znanym kierunku. Przelazł pod pajęczyną tak gigantyczną, że musiała zostać utkana przez całą armię pająków, po czym zniknął mu z oczu.

Kucający przed pilotem mężczyzna wyprostował się.

Dwaj pozostali niepewnie popatrywali ku schodom prowadzącym na parter kamienicy.

— Już mnie tu nie ma — oznajmił chudzielec w krótkich spodenkach i zaczął wspinać się po stopniach, pokonując po dwa naraz. Drugi bandzior wahał się przez chwilę, ale w końcu podążył za kolegą. Na szczycie schodów odwrócił się na pięcie.

— Idziesz?

Ktoś zbiegał na dół w takim tempie, jakby posiłkował się płynnym azotem. Odgłos kroków stawał się coraz wyraźniejszy.

Mięśniak, któremu najmniej paliło się do ucieczki, skapitulował, przyłączając się do exodusu ziomali. Gałeczki słyszał, jak cała trójka ewakuuje się klatką schodową do wyjścia. Wreszcie huknęła brama.

Dzięki ci, święty Judo Tadeuszu, patronie spraw beznadziejnych, dzięki stokrotne!

Ostrożnie obmacał czaszkę. Wyglądało na to, że nadal jest w jednym kawałku. Dobrze i to. Ból nieco ustąpił, ale bynajmniej nie zamierzał zniknąć, wijąc sobie wygodne gniazdko gdzieś pod potylicą. Zerknął pod nogi. Przy jego stopach leżał rozbebeszony portfel. Sięgnął po niego, po

czym machinalnie schował do kieszeni. Mogło być gorzej. Mogli go zgwałcić, uciąć mu fiuta albo wbić wykałaczki do uszu.

Boże Wszechmocny! — pomyślał. Wielkie dzięki!

Dopiero wtedy dostrzegł młodego mężczyznę o ciemnych włosach, wpatrującego się w niego ze szczytu schodów. Nieznajomy powoli, jakby z obawą, zaczął schodzić do korytarza piwnicznego.

— Usłyszałem jakąś szamotaninę... — odezwał się.

Był nieogolony, miał na sobie jedynie slipy, podkoszulek, a na stopach japonki. — Wszystko z panem w porządku?

Co się stało?

Artur uśmiechnął się z przymusem.

— Zdaje się, że ocalił mi pan skórę.

Mężczyzna spojrzał na jego kolano.

— Pan krwawi.

— To zadrapanie, nic więcej.

— Zadzwońię po karetkę, okej?

— Nie. Nie ma takiej potrzeby — zapewnił Gałeczki bez przekonania. Nabrał powietrza w płuca i nadymając policzki, wstał. W jego głowie zadudnił koncert na same bębny i niemal stracił równowagę. Ból promieniował na plecy i klatkę piersiową. Przez dłuższą chwilę stał wsparty całym ciałem o ścianę, a potem wolno kiwnął ręką na znak, że wszystko w porządku.

— Dzięki. Wielkie dzięki — rzekł, wypuszczając

z płuc powietrze.

Mężczyzna w slipach splótł palce, najwyraźniej uważając, że w ten sposób spłynie na niego natchnienie. Nie spłynęło.

— Napadli pana — stwierdził niezbyt odkrywczco.

— Tak. Chyba mnie z kimś pomylili. Byli pewni, że mam przy sobie większą gotówkę. Rozczarowałem ich, więc spuścili mi mały łomot. Nic poważnego...

— Jest pan pewien?

— Tak.

— Wezwać taksówkę?

— To też nie będzie konieczne. — Kapitan otrzepał spodnie, z przykrością odnotowując fakt, że jego nowe dżinsy w obecnym stanie nadają się już co najwyżej na czyściwo do maszyn. — Mieszkam tu zaraz, dwa kroki. Na Stablewskiego.

— Na Stablewskiego? — nie wiedzieć czemu, ucieszył się mężczyzna. — Ale numer! To znaczy, że jesteście sąsiadami. Dziwne, że nigdy pana nie widziałem...

— Świat jednak nie jest taki mały, jak gadają.

— Sporo czasu spędzam przed komputerem — oznajmił nagle nieznamy, a w jego głosie zabrzmiała nuta irytacji.

— Gierki? Symulacje?

— Nie, nie — chłopak zaprzeczył z ożywieniem. —

Próbuję pisać powieść. Póki co kiepsko mi idzie, ale kto

wie... Może kiedyś? W każdym razie nie wychodzę za często ze swojej dziupli. Pewnie dlatego pana nie kojarzę.

— Powieść? Intrygujące. Z kolei ja za dużo czasu spędzam w robocie. W domu bywam na gościnnych występach.

— To by tłumaczyło, dlaczego wcześniej nie wpadliśmy na siebie. No, ale co się odwlecze...

— Dokładnie — zgodził się Artur. — Jestem panu wien solidnego drinka. Więc wpadniemy na siebie przynajmniej jeszcze raz.

Mężczyzna nic nie powiedział. Tymczasem Gałeczki podał mu rękę, którą chłopak uścisnął ochoczo.

173

— Artur...

— Słucham?

— Mam na imię Artur.

— A ja Dorian.

— Jak ten z Wilde'a?

— Dokładnie. Tak się składa, że to moja ulubiona książka. No i moich rodziców, rzecz jasna...

— Więc będę musiał kiedyś ją przeczytać, Dorianie.

Łeb mi pęka.

— Naprawdę warto, zaręczam. Może jednak zadzwonię po tę durną karetkę? Przynajmniej cię przebadają...

— Nie znoszę karetek.

— To tak jak ja.

— Śmierdzą szpitalem i trupami.

— Są jak klatki. Tyle że na kółkach.

— Otóż to.

— Dasz radę wejść po schodach?

— Chyba tak. Ala!

— Wszystko okej?

— No. Prawie.

— Dużo ci ukradli?

— Zegarek.

— Nie tak źle.

— Srebrną omegę, pamiątkę po ojcu.

— Ups! Szkoda.

— I dziesięć złotych.

— To jeszcze nie koniec świata.

— A żądali dziesięciu patyków.

— Psychopaci.

— Popaprańcy.

— Takich powinno palić się na stosie.

— Tak. Powiązać w snopki i palić. A ich prochy rozsypywać na rozstajnych drogach...

Rozdział 10

Błądził wzrokiem po pokładzie samolotu, jakby usiłował w ekspresowym tempie policzyć wszystkich pasażerów. Gdzieś w zakamarkach jego pamięci kilka rozsypanych elementów układanki scaliło się ze sobą. Niewiele, ale dobre i to. Najważniejsze, że ten proces w ogóle się rozpoczął. W przebłysku identyfikacji przy-

pomniał sobie tamtą noc: trzech facetów używających go jako worka treningowego, zatęchłą piwnicę i ból, z którym zmagał się do bladego świtu. A także Doriana, sympatycznego młodzieńca, który ocalił mu tyłek. Teraz ten przygodny anioł stróż wbijał w niego wzrok, oczekując reakcji na swoje słowa.

Facet naprawdę jest artystą, pomyślał przelotnie, uświadamiając sobie, że w momencie, w którym dostrzegł go na pokładzie boeinga, określił mianem pisarza. Czyli cały czas, gdzieś tam pod powierzchnią, kryła się ta wiedza, pamięć...

— Przypominam sobie — odparł zachrypniętym z emocji głosem. — Cholera, już pamiętam!

Jakim cudem umknęło mu tamto feralne wydarzenie?

Pewnie to zasługa ubocznego działania traumy. A może czegoś innego? Cała ta noc, długie godziny spędzone w knajpie, dziewczyna, na którą zwymiotował, bandyci...

Wszystko zatarło się w jego umyśle niczym nieciekawym film obejrzanym przed dekadą. Był wtedy mocno wstawiony, racja.

Ale żeby nie pamiętać, że został pobity i okradziony?

— Obserwowałem cię — odezwał się Dorian. W jego ciemnych oczach odbijała się zniekształcona jak w szklanej kuli facjata kapitana. — Żeby się upewnić, czy ty to rzeczywiście ty. Wiesz, tamtej nocy miałeś na sobie jakąś wyświechtaną koszulę i byłeś... — uśmiechnął się półgębkiem — w nie najlepszej formie. Nigdy bym się nie domyślił, że jesteś pilotem!

Artur odwzajemnił uśmiech, choć nie było mu do śmiechu.

— Przepraszam, że cię nie poznałem... Głupio wyszło. Miło cię widzieć, w każdym razie.

— I vice versa. Niezły zbieg okoliczności, co?

— Fakt. Trzeba przyznać, spotykamy się w dość nietypowych sytuacjach.

Na dworze zaczynało się powoli ściemniać. Wiejący z północnego zachodu wiatr wyświstywał w gałęziach pobliskich sosen melodię, którą przy dużej dozie dobrej woli można by uznać za kołysankę. Kapitan pomyślał, że jego wizja świata uległa i nadal ulega znaczącej komplikacji. Nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby nagle dostrzegł na niebie latający talerz i kosmitów machających do niego mackami. Albo potwora z Loch Ness wyłaniającego się z leśnych ostępów.

— I pomyśleć, że wcześniej w ogóle się nie widywaliśmy, choć mieszkamy na tej samej ulicy! — nawijał z ożywieniem Dorian. — Chodź, przedstawię ci Agnieszkę.

To moja była. Zdziwi się, jak jej powiem, że znam kapitana samolotu!

Po chwili Gałęcki wymienił uprzejmości z Agą, pyskającą kobietą, z którą ściał się krótko po wylądowaniu. Wyrażnie speszona zatrzepotała rzęsami, zaczerwieniła się, po czym dygnęła w czymś pośrednim między ukłonem a figurą taneczną. Artur zapewnił ją, że wkrótce ktoś po

nich przyjedzie, ale nie odebrała tego dobrze.

— Pan sam nie ma pojęcia, co się dzieje, prawda? —
spytała obcesowo. Sformułowanie „przepraszam, że żyję” z pewnością nie należało do jej ulubionych.

Kiwnął głową. Nie było sensu się kłócić. Mijała kolejna godzina, tymczasem wciąż tkwili w boeingu. Czuł, że jeśli w przeciągu najbliższych minut nikt nie przybędzie z odsieczą, na pokładzie wybuchnie panika. Po ciachu liczył na to, że majorowi i stewardom uda się znaleźć jakiś cywilizowany zakątek, że przynajmniej odzyskali zasięg w telefonie. Dał im wyraźne wytyczne. Mieli skontaktować się z władzami tak szybko jak się da, a dopiero potem wracać. W razie gdyby nie uzyskali połączenia, w ostateczności powinni poszukać kogokolwiek, kto dysponowałby telefonem stacjonarnym.

Krótko przed lądowaniem widział autostradę, tętniące życiem plaże, ale niestety, to wszystko nie miało teraz znaczenia. Od tego upragnionego rajy dzieliło ich wiele kilometrów. Nawet gdyby któryś z pasażerów postanowił wyruszyć tam na własną rękę, nie miałby szans w rozsądnym czasie przedrzeć się przez lasy i bezdroża. Nie pozostało im nic innego jak czekanie na chłopaków, z nadzieją, że zapewnienia majora o jego doskonałej orientacji w terenie nie były czczą gadaniną.

Gdzieś na tyłach boeinga znów rozplakało się dziecko. Jego matka tuliła je do siebie, mrużąc coś uspokaja-

jącego. Po drugiej stronie grupka menedżerów klubu FC Barcelona w milczeniu przyglądała się roznoszącej kawę Claudii. Towarzysząca jej Majka aż do znudzenia powtarzała pasażerom te same kwestie, że ktoś już po nich jedzie i że wkrótce cały ten koszmar się skończy. Artur zauważył, że w momencie, gdy Claudia przesunęła wózek z napojami i ekspresem do kawy, jakiś facet chwycił ją za nadgarstek i gwałtownie szarpnął. Dziewczyna potknęła się i omal nie wylądowała na jego kolanach. Mężczyzna powiedział coś gniewnie, a potem nagle ją puścił. Majka odwróciła się i wzrokiem odszukała kapitana.

Pilot zrozumiał, że awantura wisi w powietrzu.

— Zaraz wrócę — powiedział do Dorigana i ruszył wzdłuż pokładu. Nie zważając na pytające spojrzenia pasażerów, dotarł do fotela, który zajmował brodaty mężczyzna. Gość miał nie więcej niż pięćdziesiątkę, ubrany był w szary garnitur i różową bawełnianą koszulę. Na widok Gałęckiego poderwał się z siedzenia i wypalił po angielsku:

— Mam tego, kurwa, dosyć!

— Wszystko będzie dobrze — Artur starał się przemówić gościowi do rozsądku. — Proszę, niech pan usiądzie.

— Nie ma mowy! Mam broń! Cofnij się. Niech nikt się nie zbliża!

Usłyszawszy słowo „broń”, kapitan zatrzymał się.

Choć przypuszczał, że mężczyzna prawdopodobnie nie widział na oczy prawdziwego pistoletu, wołał zachować

ostrożność. Majka odsunęła się od wózka i posłała Claudii porozumiewawcze spojrzenie. Obie powoli zaczęły wycofywać się na tyły pokładu. Tymczasem mężczyzna w szarym garniturze zwrócił się do Gałęckiego:

— Jesteś idiotą! Skończonym idiotą! Sądzisz, że nie wiem, co tu się dzieje? — Wbrew swoim poprzednim słowom brodacz opadł na siedzisko fotela, z zaangażowaniem drapiąc się po zarośniętym podbródku.

Po chwili wahania pilot usiadł obok niego, jakby dośiadał się do dawno niewidzianego kumpla z podstawówki i nie był pewny, czy znajdą wspólny temat do rozmowy.

— Wszyscy jesteśmy nieźle wkurzeni, ale to nie powód, żeby... — zauważył, ale facet przerwał mu gwałtownie.

— Nie pierdol mi tu farmazonów, dobra?! Wydaje ci się, że masz do czynienia z niedorozwojem? Oni wszyscy

— machnął ręką w nieokreślonym kierunku, mając najwyraźniej na myśli wpatrujących się w niego z przerażeniem pozostałych pasażerów boeinga — może i są debilami, ale ja nie! Kumas, palancie?

Artur ostrożnie pokiwał głową na znak, że wszystko rozumie.

— Nie uważam pana za idiotę — oznajmił. — Bynajmniej.

— Ludzie! — wykrzyknął nagle mężczyzna, tryskając wokół kropelkami śliny. — To atak terrorystyczny! Siedzimy w samolocie, bo oni tak chcą! To oni nas tu po-

kierowali i oni nas zajebią! Kapujecie? Kapujecie, do diabła?! Na razie tylko obserwują, ale w nocy przyrządzą z nas cholerny tatar!

— Nikt nas nie uprowadził — wyjaśnił Gałdecki najbardziej opanowanym głosem, na jaki był w stanie się zdobyć. Zastanawiał się, co zrobiłby jego ojciec w podobnej sytuacji. Usiłowałby obezwładnić mężczyznę? Udobruchać go? A może po prostu przyłożyłby mu w mordę?

— Nie ufajcie nikomu! Oni łżą, szmaciarze, bo tak im każą! Łżą jak sparszywiałe kundle! Kurwa, siedzimy tu jak na pierdolonej bombie. Prawie słyszę jej tykanie! Tik tak! Tik tak! Tik tak!

Kapitan kątem oka dostrzegł Szymona. Drugi pilot musiał usłyszeć wrzaski, bo opuścił kabinę i z nietęgą miną zmierzał ku nim. Mężczyzna w szarym garniturze zareagował natychmiast: poderwał się z miejsca, a potem jednym szybkim ruchem wydobyl z kieszeni marynarki pistolet. Drugi pilot stanął jak wryty, jakby w ułamku sekundy podłoga zmieniła się w trzęsawisko. Uzbrojony w glocka mężczyzna wymierzył w Krzyżanowskiego. Artur spróbował wstać, ale napastnik pokrzyżował mu plany.

— Rusz się, a rozwalę ci łeb — warknął.

Dorian musiał coś zrobić. Za wszelką cenę, nawet za cenę życia. Nie miał pojęcia, kim jest ten psychopata i ja-

kim cudem udało mu się przemyścić na pokład broń. Nie było jednak czasu, by to roztrząsać. Wychylił się lekko ze swojego fotela i spojrzął na Gałęckiego. Pilot tkwił w bezruchu z rękoma w górze. Wyglądał na człowieka, który dopiero co przepuścił cały swój majątek w kasynie i teraz błaga o zwrot choćby marnego zegarka. Wymierzona w niego lufa pistoletu jednoznacznie wskazywała na to, że nie odzyska nawet guzika. Drugi pilot postąpił krok naprzód, ale ponownie się zatrzymał, gdy psychol ostrzegł, że za moment zastrzeli i jego. Sytuacja nie wyglądała różowo.

Agnieszka chwyciła go za ramię, mocno, mocniej, jakby intuicja podpowiadała jej, że eks ma zamiar zgrywać bohatera. Dwie samotne łzy sunęły po policzkach dziewczyny niczym płynny wosk. Dorian starł je delikatnie wierzchem dłoni.

— Wyjdziemy z tego — obiecał, sam w to nie wierząc. Musiał działać, tylko to się liczyło. Już raz ocalił Artura i z tego powodu w jakiś przedziwny sposób czuł się za niego odpowiedzialny. Zresztą, pilot odplacił mu tym samym. I to do kwadratu, bo ocalił zarówno jego, jak i Agnieszkę.

Gdy przelatywali nad wodą i potem, gdy uderzyli o płytę lotniska, Dorian był pewny, że samolot za moment rozpadnie się na milion kawałeczków, że zjedzie z pasa do rowu i eksploduje. Wszystko się trzęsło, ze

schowków wypadały torby i plecaki, słyszał zgrzytanie kół, gdy pędzili z zawrotną prędkością. W nic jednak nie uderzyli. Zdołali wyhamować. Wróć! Artur zdołał wyhamować. Uratował od pewnej śmierci kilkadziesiąt osób. Będą facetowi jeszcze za to dziękować. Powinni wszyscy paść na kolana i modlić się za niego.

Mam doskonały materiał na powieść, pomyślał przełotnie, bez większego powodzenia usiłując wypchnąć spod czaszki natrętną wizję samego siebie, plującego krwią i podziurawionego kulami jak rzeszoto.

A później usłyszał Agnieszkę, błagającą go, zaklinającą na wszelkie świętości, by dał spokój, by nie mieszał się do tego.

— Na litość boską, nawet nie próbuj... — wyszeptwała.

— Muszę, skarbie.

Niejako mimochodem zauważył, że nie oburzyła się za to, jak ją nazwał. Uznał to za dobry znak. Cóż, każda sytuacja ma swoje plusy. Warto o tym pamiętać, gdy wdepnie się w gówno.

— Oszalałeś? On cię zabije! — syknęła Agnieszka, porzucając pozę twardzielki i z lękiem wpatrując się w twarz chłopaka.

— Jeśli nie zareagujemy, zabije pilotów.

— Wcześniej zostanie unieszkodliwiony przez policję.

Pójdzie do pudła.

— Jaką policję? Nie mamy czasu.

— Co chcesz zrobić?

Tego właśnie nie był pewny. Gdyby jakimś cudem udało mu się wyciągnąć na podłozie i przeczołgać te kilkanaście metrów... Pozostałby niezauważony przez faceceta ze spluwą, gdyż drugi pilot by go zastał. Ale co dalej? Za cholerę nie dałby rady dotrzeć aż pod fotel psychopaty. Czubek dostrzegłby go i natychmiast zastrzelił. Zagryzł wargi, próbując wymyślić coś, cokolwiek.

I wtedy rozległ się znajomy huk, jakby w samolot uderzyła rzucona przez samego Zeusa błyskawica.

Oto nadciąga śmierć, pomyślał. Zbliża się, chce swej daniny.

Maszyna niczym kopnięta przez dziecko zabawka wyrwała do przodu. Trzaskom łamanych drzew i rozdierającej kakofonii gnieczonego metalu wtórowały wrzaski spanikowanych pasażerów. Kilka osób wypadło ze swoich foteli. Jeden z mężczyzn wylądował z krzykiem na podłogowej wykładzinie. Inny wystrzelił z siedzenia jak z katapulty. Opadając, walnął biodrem w poręcz fotela i znieruchomiał na podłozie. Jego głowa odstawała od tułowia pod nienaturalnym kątem. W następnym momencie samolot zatrzymał się gwałtownie, niczym element obrazu na zacinającej się taśmie VHS.

Dorian wyrznął czołem w siedzenie przed sobą. Uderzenie było tak mocne, że mroczy przesłoniły mu wszystko.

Usłyszał krzyk Agi, a potem maszyną znów zatrzęsło. Roz-

legło się dudnienie, jakby pod pokładem wybuchła mina, albo kilka min, jedna po drugiej. Boeing powoli przechylił się na bok. Zgrzyt metalu trącego o metal trwał i trwał, ciągnąc się nieomal w nieskończoność. Coś usiłowało przewrócić samolot. Maszyna znów stanęła na kołach, ale po chwili jej dziób uniósł się kilka metrów, po czym z triumfalnym „grrrrrrumpf!” huknął o ziemię. Kadłub pękł dokładnie w połowie i przez ułamek sekundy Dorian miał wrażenie, że maszyna otworzy się jak rozłupany orzech, z obrzydzeniem wypływając z siebie ludzkie larwy. Na szczęście nic takiego się nie stało. Wstrząsy ucichły tak samo raptownie, jak się pojawiły.

Pokład samolotu był kompletnie zdewastowany. Z sufitu wystawały jakieś taśmy, kable, siedzenia walały się gdzie popadnie, pasażerowie zwisali ponad podłokietnikami fotelir zastygli w najdziwaczniejszych pozach, przerażeni, jedni milczący już na wieki, inni jęczący i stękający niczym chór składający się z ociężałych umysłowo. Fotel Doriana przechylił się do przodu nieomal zrównując się z wcześniejszym rzędem. Tuż przed sobą widział bladą twarz młodej kobiety. Miała zapięte pasy i to one uratowały ją przed upadkiem. Siedzenie, które zajmowała, bujało się W przód i w tył niczym wskazówka metronomu. Spojrzał na Agnieszkę, swój skarb, którego nie potrafił ochronić. Ścisnęła podłokietnik fotela z taką siłą, że aż pobiełały jej kostki palców. Wydawała przy tym

nieartykułowane dźwięki, jak ktoś, komu na torturach wyrwano język. Nie była jednak ranna, wyglądało na to, że ma jedynie niegroźne otarcie na policzku.

Chciał ją przytulić, ale ból gdzieś w boku sprawił, że zastygł w bezruchu. Zaciśnął szczękę, ze świstem łąpiąc powietrze. Skronie mu pulsowały, na czoło wystąpiły kropelki potu.

— Ja pierdolę — jęknął. W jego nozdrza wdarł się intensywny, trudny do zidentyfikowania zapach. Coś się smaży, skonstatował po chwili.

Pożar?

W panice odwrócił głowę i zlustrował tył pokładu.

W momencie, kiedy to zrobił, rozległ się kolejny huk. To koła główne boeinga pękły i samolot z łoskotem zwałił się na ziemię. W tym samym momencie wystrzelił pocisk z pistoletu, a szlochające gdzieś z tyłu dziecko zamilkło.

* *_ *

Gdy nastąpił ostatni, najgwałtowniejszy wstrząs, Krzyżanowski przeleciał w powietrzu dobre kilka metrów i wylądował na drzwiach od toalety, tłukąc sobie obojczyk. Ból przetoczył się falą uderzeniową przez jego receptory. Wrzasnął, niezdolny powstrzymać krzyku.

Teraz, przeklinając na czym świat stoi, siedział, opierając się o ścianę i rozmasowując zdrętwiały kark. Mocz rozlał się śmierdzącą kałużą między jego nogami, ale tego nie czuł. Piekło go gardło, jakby ostatnią noc spędził,

drąc się na koncercie Iron Maiden albo w urzędzeniu
o tej samej nazwie. Nawiasem mówiąc, ciekawe jak za-
reagowałby Dickinson* na ten cały bajzel? Zaśpiewałby
Number oi the beast!

Przez moment próbował dojść do siebie, dostrzec
skalę zniszczenia, przeanalizować ostatnie minuty spędzone na pokładzie. Co zaatakowało samolot? I do czego

* Bruce Dickinson — lider Iron Maiden to nie tylko gwiazda heavy metalu, ale też ceniony pilot liniowy (przyp. autorów).

jeszcze było zdolne? Zwaliło Boeinga 737 na glebę z taką łatwością, jakby miało do czynienia nie z ważącym wiele ton kolosem, a plastikowym modelem. Nie do wiary, pomyślał. Zobaczył, że środek kadłuba jest wygięty niczym przegubowy autobus stojący na zakręcie. Wszędzie dookoła walały się fotele, a pasażerowie w niemym przerażeniu obserwowali otwarte drzwi. Spodziewali się, że to, co zaatakowało maszynę, przyjdzie po nich i pożre na kolację? A może czekali z nadzieją, że za moment ujrzą ekipę ratunkową?

Nikt już nie wrzeszczał. Cisza nieomal dźwięczała w uszach. Każdy z pasażerów na swój sposób przeżywał koszmar ostatnich godzin, żaden z nich nie odważył się jednak krzyknąć ani głośno łkać, by nie sprowokować tego czegoś, co przed momentem zafundowało im piekielną karuzelę.

Problem w tym, że to coś raczej nie potrzebuje zachę-

ty do niszczenia wszystkiego wokół, pomyślał Szymon.

Wyszło na żer i nie spocznie, dopóki nie zaspokoi głodu.

Monstrum, które widział przez szybę kabiny pilotów... Ta maskara... Ten surrealistyczny stwór...

To coś parło w stronę samolotu. Nie było przewidzeniem. Nie było wytworem wyobraźni.

Parło naprzód z bezwzględny uporem tarana...

Wzdrygnął się gwałtownie. Nie wierzę w to wszystko, powtarzał sobie. Po prostu nie wierzę. Za chwilę ktoś litościwie pstryknie palcem i obudzę się z tego pieprzonego koszmaru, hipnozy czy co tam mnie ogarnęło. Obok, w łóżku, zobaczę Justynę. Moją słodką, ciepłą niczym żywy kaloryfer Justysię, która z czułością pogłaszcze mnie po spoconym czole i powie, że wszystko w porządku, że to jedynie zły sen.

Tęsknił za żoną i dziećmi. Ile by dał, by móc ich znów zobaczyć! Zawsze dzwonił do nich zaraz po lądowaniu. Pewnie Justyna wychodzi już z siebie. Ma włączony telewizor i ze łzami w oczach skacze po kanałach w obawie, że na jednym z nich dostrzeże płonący wrak samolotu, że usłyszy spikera obwieszczającego, że taka to a taka maszyna rozbiła się w trakcie lądowania, z ponad pięćdziesięcioma osobami na pokładzie. Nikt nie przeżył... Zastanawiał się, co by jej powiedział, gdyby w jego telefonie jakimś cudem pojawił się zasięg. Prawdę? Ale jaką prawdę? Jęczałby do słuchawki: Cześć, kochanie,

wylądowaliśmy nie wiadomo gdzie, coś nas atakuje...

Właśnie złamało samolot... Ryczy jak rozwścieczony bizon, tur albo inne wielgaśne gówno! A może lepiej byłoby robić dobrą minę do złej gry, opowiadając bajki o przejściowych problemach technicznych, o tym, że są bezpieczni, tylko nie wiedzieć czemu przez kilka godzin nie mogli się nigdzie dodzwonić?

A może, korzystając z ostatniej być może okazji, pożegnać się z nią: pamiętaj, skarbie, że cię kocham, zawsze cię kochałem. Ucałuj ode mnie chłopców...

Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Justyna jest dzielną kobietą, to pewne. Jakoś sobie poradzi. Gorzej z chłopakami. Zwłaszcza z Krzyśkiem. Ojciec stanowił dla niego prawdziwe oparcie i wzór do naśladowania. Szymon miał zamiar wysłać go na studia na Politechnikę Rzeszowską, gdzie pod okiem doświadczonej kadry nauczyłby się latać jak on sam. Wiedział, że Krzyś ma zadatki na świetnego pilota. A teraz? Co z tymi planami? Co, jeśli zginie w tym wraku? Co wtedy? Przecież to kompletny absurd! Nie może umrzeć w taki sposób. Nie może...

Ukrył twarz w dłoniach, bliski płaczu. Wcześniej nawet przez myśl by mu nie przeszło, że jest aż tak słaby psychicznie. Czuł się jak wrak, z którego wypompowano paliwo, by uniknąć eksplozji. Nie miał sił, by dalej walczyć z otaczającym go horrorem. Pragnął wrócić do do-

mu, do bliskich, nic więcej. I oświadczyć, że definitywnie kończy karierę pilota. Justyna pewnie nie posiadałaby się ze szczęścia. Choć starała się nie okazywać zdenerwowania, gdy wychodził do pracy, wiedział, że codziennie modliła się o to, by lot przebiegł pomyślnie. Zdarzało się, że płakała na jego widok. Kiedyś przy śniadaniu, jakby mimochodem, zapytała, czy nie wolałby zająć się czymś innym.

— Może zostałbyś instruktorem? — spytała ze skrywaną nadzieją. — Uczyłbyś młodych pilotów, jak obchodzić się z maszyną... na symulatorach.

Parsknął wtedy śmiechem, po czym odparł, że te kilka kilometrów powietrza pod stopami daje mu absolutną wolność i szczęście. Dopiero gdy dostrzegł płynące po jej policzkach łzy, zorientował się, że palnął gafę.

Teraz, patrząc niewidzącym wzrokiem na pobojozisko, w które przekształcił się samolot, ponieważ zdążył sobie sprawę, że nic nie jest w stanie sprawić, by poczuł się bardziej wyzwolony i szczęśliwy niż w gronie tych, których kochał.

Jeśli przeżyję, obiecał sobie, rzuć tę robotę w cholerę!

Justyna, jęknął. Kochanie...

Był przekonany, że rozbeczy się jak smarkacz, gdy jego uzalanie się nad sobą przerwał przedzierający się między zdezelowanymi fotelami czarnowłosy młodzik. Przełknął rosnącą w gardle gulę, przyglądając się niez-

najomemu. Facet podązał w jego stronę z tak zaciętą miną, jakby spodziewał się, że niebo spadnie mu na głowę. Potknął się o czyjeś nogi, niemal upadł, lecz nie zatrzymał się. Ktoś za nim poruszył się ospale, po czym wstał. W tym samym czasie i inni pasażerowie podjęli bardziej lub mniej udane próby powstania z ziemi. Czyżby coś usłyszeli? Sygnał każący im przygotować się do wymarszu na Sąd Ostateczny?

Młody mężczyzna zatrzymał się przed ostatnim rzędem foteli i uklęknął nad kimś. Pierwszy oficer nie dostrzegł twarzy tej osoby, ale poznał Gałęckiego po spodniach i butach. Nieznajomy powiedział coś do niego, następnie poklepał po policzku. Po chwili rozejrzał się nieprzytomnie. Gdy napotkał wzrokiem Szymona, podbiegł do niego i podał mu rękę. Lotnik syknął z bólu.

Obojczyk dawał mu się we znaki.

— Kapitan... — wydusił mężczyzna, pomagając wstać drugiemu pilotowi. — Musi pan coś zrobić. Ten sukinsyn... — Oblicze młodzieńca aż pociemniało z gniewu. — Ten sukinsyn go zastrzelił!

* * *

Dorian pomógł drugiemu pilotowi podnieść Artura. Kiedy wreszcie im się to udało, posadzili kapitana na fotelu. Głowa Gałęckiego bezwładnie opadła. Zlepione krwią włosy przyczepiły mu się do czoła na podobieństwo cierniowej korony. Czerwona strużka spływała z niej w stronę pra-

wego, na wpół przymkniętego oka. Jest martwy, pomyślał z rozpaczą Dorian. Zacisnął pięści, zwolnił je, znów zacisnął. Dolną wargę przygryzał tak mocno, aż wreszcie metaliczny smak rozlał się na języku.

Po rzuceniu fajek ostatnim nałogiem, jaki mu został, było myślenie. Rozważał wszystkie za i przeciw nawet wtedy, gdy trzeba było po prostu wbić gwóźdź do ściany.

Ale nie teraz. Był roztrzęsiony, jednak doskonale wiedział, co musi zrobić. Prawo już dawno przestało obowiązywać, wszelkie reguły zostały złamane.

Ostatni raz spojrzał na ciało kapitana, człowieka, którego praktycznie nie znał, a który stał mu się tak bliski.

Kto wie, może zostaliby przyjaciółmi? Może już w najbliższy weekend pojechaliby gdzieś we czwórkę, na biwak, nad jezioro, gdziekolwiek? Piliby piwo, delektując się świeżym powietrzem, i rozmawiali do białego rana.

Aga na pewno dogadałaby się z jego żoną. Taki facet musiał mieć wspaniałą kobietę, z którą na pewno znalazłaby wspólny język...

Do diabła z tym wszystkim!

Odwrócił się na pięcie i rozglądając się na boki, rozpoczął metodyczne poszukiwania. Nie miał pojęcia, jak Agnieszka zareaguje na to, co zamierzał zrobić, ale na razie nie obchodziło go to zbytnio. Parł przed siebie, takując wzrokiem kolejne rzędy oderwanych i rozbebeszonych foteli. Twarze tych pasażerów, którzy pozostali na

swoich miejscach, były szare jak tani papier toaletowy. Dziwiło go, że nikt nie krzyczał, nikt się nie awanturował, wreszcie, że nikt nie koczował przed drzwiami, usiłując wydostać się z samolotu. Cokolwiek czaiło się na zewnątrz, najwidoczniej napawało ich tak potwornym lękiem, że nie mieli najmniejszej ochoty się z tym zetknąć. Szczęśliwcy, którzy nie ucierpieli podczas wstrząsów, podejmowali ciche dyskusje, zaś ci, którzy zostali w jakiś sposób ranni, starali się zachować spokój i jako tako opatrzyć rany. Stewardesy roznosiły gazę i wodę utlenioną. Jedna z nich kulała, druga była tak sponiewierana, że ledwie trzymała się na nogach.

Dziecko znów podjęło swój koncert. Zdzierało gardło w potępieńczym wrzasku, niepomne na matkę, która kołysała go w tę i w tę, starając się uspokoić. Po chwili jedna ze stewardes podała jej kubek z wodą i dziecko zaczęło łapczywie pić. Cisza nie trwała jednak długo. Zaspokoiwszy pragnienie, mały zabrał się za ćwiczenie się w odmawianiu.

— Ne! Ne! Ne! Nie! Nie! Nie! Ne! Ne! Ne! Nie! Nie!
Nie! Ne! Ne! Niiiii! — poniosło się po samolocie. Czy był to wyraz protestu przeciwko niekomfortowym warunkom podróży, czy może kształtującego się dopiero światopoglądu, na zawsze miało pozostać tajemnicą.

Dorian dokładnie przyglądał się ludziom w pobliskich fotelach. Wcześniej to właśnie któryś z nich zaj-

mował uzbrojony mężczyzna.

Schowałeś się, skurwielu, ale i tak cię dopadnę!

Posuwając się wolno ku przodowi pokładu, przestępował nad kłębowiskami wyrwanych z podłogi kabli, a roztrzaskane elementy wyposażenia chrzęściły mu pod stopami miarowym grochotem. Gdy dotarł na środek samolotu, musiał się pochylić, aby nie zawadzić głową o kawał wygiętej blachy. To właśnie w tej części boeinga było najwięcej rannych i to tutaj stewardesy miały najwięcej roboty.

Bez większych emocji spoglądał na wygięty kadłub, porozwalane fotele i ziejącą w ścianie dziurę.

Otwór był wielki, z łatwością mógłby pomieścić dwie osoby idące koło siebie. Nikt jednak nie miał zamiaru dokądkolwiek się wybierać.

Pewnie boją się kolejnego wstrząsu, pomyślał Dorian, z uporem pokonując metr za metrem.

Widok, jaki rozpostarł się przed nim, porażał. Miejsce, do którego zawędrował, w niczym nie przypominało pokładu nowoczesnego boeinga. Było jak jakaś zapadlina, jaskinia, jak pokryty porostami pokład zatopionego przed wiekami okrętu. Wyrastające ze ścian mozaikowo zabarwione pseudoliście zwijały się i prostowały niczym dekoracja do przedstawienia marnego iluzjonisty. Ich łodygi jarzyły się fluoroscencyjnie, to wydłużając się, to skrcając.

Nozdrza mężczyzny znów podrażnił trudny do ziden-

tyfikowania zapach. Wcześniej wydawało mu się, że coś się smaży, jednak nie był już co do tego przekonany. Woń była niezwykle specyficzna, ostra jak dym, ale i słodka-wa. Pisarska wyobraźnia podpowiadała mu, że tak muszą pachnąć kwiaty na samym dnie piekła. Czarne, wysuszone róże o haczykowato zakończonych kolcach. Albo palone gołębie. Kiedyś, tuż przed maturą, złapał wielkiego, tłustego szarego gołębia. Za namową kumpla postanowił zabawić się jego kosztem. Bez powodu, po prostu dla kaprysu. Znajomy miał przy sobie zapalniczkę. Dorian trzymał ptaka za skrzydła i patrzył jak niebieskawy płomycek przeskakuje z zapalniczki na pióra trzępczącego się w przerażeniu gołębia. Nigdy nie zapomni tego skwierczenia ani odrażającego pisku, który wbijał się w jego uszy niczym rozpalone gwoździe. W życiu nie przypuszczał, że jakikolwiek ptak jest zdolny wydać z siebie takie dźwięki.

Teraz ten zapach wrócił do niego niczym przekleństwo. Wkrótce po tym, jak spalili biednego gołębia, zmarła jego matka. Miała wylew w wieku czterdziestu pięciu lat. Dorian długo nie mógł się pozbierać. Często myślał, że to ptaki zemściły się na nim za to, jak potraktował jednego z nich. Mama zmarła praktycznie na ulicy. Wyszła ze sklepu spożywczego z siatką pełną zakupów i nagle się przewróciła. Karetka przyjechała niemal od razu, ale lekarze nie byli w stanie jej uratować.

Młody Dorian został sam z ojcem, a potem z macochą... Nie chciał o tym myśleć, ale wspomnienia okładały go pięściami z niezrozumiałą zaciekłością.

Ten zapach... Ten paskudny smród. Coś mu podpowiadało, że tylko on go czuje. Że musi wchłonąć każdą jego molekułę, wbrew jakimkolwiek zasadom, wbrew wszystkiemu. Mimo wszystko zdawał sobie sprawę z tego, że jest w tym jakaś sprawiedliwość.

Nagle wszystko wróciło do normy. O ile za normę uznać pokład doszczętnie zdezelowanego boeinga. Gdy dostrzegł mężczyznę w szarym garniturze, zatrzymał się na moment. Facet, choć ścisnął w dłoni pistolet, nie wyglądał groźnie. Leżał rozciągnięty między rzędami siedzeń niczym na przewróconym krzyżu. Twarzą do sufitu, nieruchomo. Jego policzki błyszczały od potu albo łez. Spieczona usta poruszały się w modlitwie, a może spóźnionym żalu za grzechy. Nikt go jednak nie słuchał, nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wyglądał niczym obłąkaniec zbiegły z domu wariatów, który znalazł schronienie w zrujnowanym baraku... Jak ktoś, kogo przerosła sytuacja, a może zleczone mu zadanie.

W pewnym momencie spojrzął na Dorianą. Na jego usta wypełznął słaby uśmiech, jakby spodziewał się, że ten wreszcie go znajdzie, i nie mógł się tego doczekać.

* * *

Pistolet sam wystrzelił, naprawdę. Nie miał pojęcia, jak

do tego doszło. Celował w głowę kapitana, z trudem walcząc z pokusą, by pociągnąć za spust. W życiu nie strzelał. Nie potrafił obchodzić się z bronią. Nigdy nie posiadał spluwy. Skąd więc wzięła się w kieszeni jego marynarki? Gdyby nie wstrząs, pewnie zastrzeliłby tego gościa.

Ale dlaczego? Nie miał najmniejszego powodu!

Leżał na pokieroszowanej podłodze, sparaliżowany od pasa w dół. Nie czuł bólu, jedynie żal, że jego istnienie skończy się w tak bezsensowny sposób.

Wypowiedział na głos imię żony, a potem imiona synów.

— Błagam, wybaczone mi — poprosił ze wzrokiem wbitym w sufit. — Staralem się. Naprawdę się starałem.

Chciał poruszyć nogą, ale nie mógł. Dlaczego tylko się postrzelił? Dlaczego kula nie trafiła go w serce?

Zaraz, zaraz. A może...

Uśmiechnął się słabo, po czym z mozołem obrócił głowę. W lewej dłoni wciąż ścisnął pistolet. Zebrał w sobie resztki energii, zacisnął zęby i po chwili palce zadrżały. Uświadomił sobie, że jakimś cudem jest w stanie podnieść broń.

W momencie gdy miał to zrobić, dostrzegł podążającego w jego stronę młodego mężczyznę. W jego oczach krył się gniew. Idzie po mnie. Gdybym potrafił mu wyjaśnić... Gdybym umiał znaleźć słowa, aby przekonać go, że to nie moja wina, iż tak się stało...

Żegnaj, Lorie, żegnajcie, Davidzie i Patricku.

Ciemnooki mężczyzna warknął:

— Ty żałosny skurwielu...

Chłodna lufa pistoletu dotknęła skroni, niosąc ulgę.

Wystarczy jeden ruch palcem. Uda ci się, stary. Uda ci się... Uda...

Brunet zatrzymał się w pół kroku. Był zaskoczony?

Zaszokowany? A może szczęśliwy?

193

Człowiek odchodzi, nie znając odpowiedzi na większość dręczących go pytań. Te trzy były zupełnie nieistotne.

Raz, dwa, trzy.

Uda ci się, stary-••

Cztery, pięć i sześć.

Pocisk przebił czaszkę, rozrywając mózg, i utkwiał w stalowym uścisku podłogi.

dy Dorian skończył siedem lat i rodzice uznali, że jest już wystarczająco rozgarnięty, by zostawić go samego na noc, zazwyczaj wyglądało to tak, że na szafce przy łóżku kładli kartkę z wszystkimi niezbędnymi numerami telefonów, w tym na policję, straż pożarną i pogotowie. Poza tym kupowali mu mnóstwo ciasteczek i jakąś ciekawą kolorowankę, z dołączonym do niej zestawem bajecznie kolorowych kredek.

Lubił takie wieczory. Fajnie było opychać się słody-

czami, wędrować po całym mieszkaniu, udając przed samym sobą, że odkrywa się nowe lądy, no i myszkować w szafach. Zwykle koło dwudziestej pierwszej albo drugiej zasypiał w swoim łóżku, przy włączonej lampce nocnej. Zmęczony i szczęśliwy.

Teraz też zasypiał przy świetle, tyle że umieszczonej nad fotelem diody. Nie pocieszało go to jednak. W dzieciństwie zasypiał z błogą świadomością, że budząc się, zobaczy rodziców i zje pyszne śniadanie. Tu, w samolocie, mógł co najwyżej liczyć na to, że obudzi się żywy, choć i to nie na pewno.

* * *

Półkoliste pomieszczenie oświetlały trzy świece umieszczone w stojącym tuż przy wannie lichtarzu. Kilka metrów dalej, za parawanem, ukrywał się jakiś mężczyzna. Widziała jego przysadzisty cień, pochylający się nad czymś, co równie dobrze mogło być ustawionym na stoliku globusem, jak i dużą piłką.

W pierwszym odruchu Agnieszka chciała wstać, by zajrzeć za parawan, jednak okazało się, że nie może się ruszyć. Była owinięta metrami liny.

— Pobudka! Udanej zabawy! — usłyszała po chwili głos mężczyzny, którego, choć wydawał się znajomy, za nic nie potrafiła zidentyfikować.

W tym samym momencie z ulgą uświadomiła sobie, że krępujące ją sznury opadły, że znów jest wolna. Os-

troźnie, jakby wykonanie choćby jednego nieprzemyślanego ruchu groziło wpadnięciem w śmiertelną pułapkę, wynurzyła się z wanny. Przeszkadzał jej w tym jakiś ciężar, przyczepiony do nadgarstka prawej dłoni. Spojrzała w dół, by z rosnącym zdziwieniem ujrzeć wiszącą na skórzanym rzemieniu maczetę.

Agnieszce zdawało się, że upłynęła godzina, nim jej stopa dotknęła wytartej kamiennej posadzki. A potem wszystko uległo przyspieszeniu. Parawan z kryjącym się za nim mężczyzną zawłasnyczyły płomienie, z gwałtownością wybuchu i żarem, który natychmiast osuszył jej skórę. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie. W kiszkatym pomieszczeniu, przypominającym raczej tunel niż fragment mieszkania, nie było okien, a jedyne drzwi były zapraszająco uchylone. Podbiegła ku nim. Po tym jak przekroczyła próg, jej oczom ukazał się widok, który mógłby przerazić nawet zbratanego z masakrą patologa. W nie szerszym niż dwa i nie wyższym niż dwa metry korytarzu zobaczyła żywą barykadę utworzoną z nagich kobiet. Wszystkie były zakneblowane i patrzyły na nią z niemym wyrzutem. Stały w dwóch rzędach, powiązane jak snopki, obejmując się nawzajem. Przymocowane do przedzielających korytarz metalowych rur kajdany więziły ich nogi. Pod sufitem umieszczono kolejną rurę połączoną łańcuchami ze stalowymi opaskami otaczającymi szyje każdej z nich. Ciała kobiet szpeciły rany, efekt

długotrwałych i wymyślnych tortur.

Jedną z ofiar była dziewczyna majora Dąbczaka. Karolcia jakimś cudem wypluła knebel, by zbulgotać niczym woda spływająca do ścieku. Kiedy otworzyła usta, strumyczek zabarwionej na czerwono śliny utworzył na jej brodzie połyskujący kiel. Spojrzała błagalnie i wyszeptała:

— Zrób to... zrób... zanim... — nie dokończyła, krztusząc się coraz gęstszym dymem.

Agnieszka wiedziała, o co chodzi Karolci. Na pewno nie o uwolnienie, bo choć spinające kobiety klamry były śliskie od krwi, nic nie wskazywało na to, by można było łatwo się ich pozbyć.

Nie zostało jej wiele czasu na rozmyślanie. Płomienie rozpędzały się, przeskakując już na futrynę drzwi. Aga zacisnęła zęby i spełniła prośbę dogorywającej kobiety. Nikt nie nazwałby tego precyzyjną robotą. Po kolei podchodziła do każdej z nieszczęśnic i zadawała jedno, dwa pchnięcia w okolice serca. Uwijała się jak w ukropie, wkładając w swą misję maksimum uwagi i wysiłku.

Potem, gdy jęki i rżenia ucichły, zabrała się za torowanie sobie drogi do wolności. Niczym ogarnięty ształem drwal odrąbywała ręce i głowy od korpusów. Nie mogła pozwolić sobie na luksus zwątpienia. Zamach, cięcie, kolejny zamach, cięcie... Kawałki, strzępki tkanek leciały na podłogę, pokrywając ją oślizgłym dywanem. Stąpając po nim z obrzydzeniem, dotarła do następnych drzwi.

Szarpnęła za klamkę i... obudziła się obok pochrapującego i śliniącego się w najlepsze Doriana.

Była cała mokra od potu, woniejąca strachem. Piasku pod powiekami miała tyle, iż dziwiła się, że jeszcze się nie wysypał.

To był wyjątkowo realistyczny sen.

Sen? Oczywiście nie mogła wyobrazić sobie innej możliwości, ale... No właśnie — pozostawało to drobne, nieumiejscowione, lecz uwierające jak kamyk w bucie wrażenie, że wszystko, o czym śniła, było zbyt realistyczne. Zbyt prawdziwe.

Uniosła dłonie ku twarzy, chcąc choć na moment schronić się za ich zasłoną. Zatrzymała je jednak w pół ruchu.

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, na co patrzy. Zamiast palców lewej ręki miała matowo błyszczące ostrza, coś pośredniego między szpikulcami do lodu a skalpelami.

W pierwszym odruchu pomyślała, że nadal śni. Ale pochrapywanie Doriana na sąsiednim fotelu uświadomiło jej, że to jawa. W końcu nawet ona, choć często miewała realistyczne sny, nigdy nie śniła o czymś tak prozaicznym.

Poza tym, kiedy końcówką jednej z wypustek ostrożnie dotknęła swego uda, poczuła ukłucie. Najwyczałniejšie w świecie, takie, które nie boli, ale zanim zdążysz się zorientować może przerodzić się w cierpienie.

Trąciła łokciem Doriana.

Zamruczał coś przez sen. Uniósł ciężkie powieki do-

piero wtedy, gdy szturchnęła go ponownie.

— Dorik — szepnęła. — Pomóż mi.

— Co się dzieje? — spytał, jeszcze nie całkiem do-
budzony.

— Ciiii... — przyłożyła palec do ust. — Coś jest tutaj
nie tak. Zobacz, co mi się stało — dodała, pokazując mu
swoją zdeformowaną dłoń.

— Nie rób sobie ze mnie jaj! — Wybałuszył oczy tak
bardzo, że nieomal dorównywały wielkością śliwkom. —
Co to ma znaczyć?

Agnieszka nie odpowiedziała od razu. Rozmawiając
ze swoim eks, dostrzegła coś, co wcześniej jej umknęło.

— Nie wiem, naprawdę. Twoje...

Posłał jej pytające spojrzenie.

— Twoje włosy, Dorianie.

Niepewnie dotknął ich. Oniemiał.

Włosy... To już nie były włosy. Cokolwiek to było, sze-
leściło mu w palcach. Sztywne, kłujące jak...

Chłopak zdębiał.

— Co to, kurwa, jest?! — zaklął, macając się bezrad-
nie po głowie. — Co to, kurwa... Pióra?

— Słuchaj! — Przejęła inicjatywę, co zresztą zwykle
świetnie jej wychodziło. — Chodźmy lepiej do pilotów.

Jeśli w ogóle ktoś w tym cyrku wie, co tu się dzieje, to na
pewno oni.

— Ale... — zająknął się Dorian. — Gałęcki, znaczy...

Artur był nieprzytomny, kiedy przenosiłem go z drugim pilotem do kokpitu.

— To było wieczorem. Mamy trzecią. Środek nocy.

— I jakie to ma znaczenie?

— Myślę, że już doszedł do siebie.

— Żartujesz? Wiesz, w jakim był stanie?

— Nie dostał przecież kulki... Zresztą, sprawdzimy.

Po prostu... Do diabła, musimy... — zabrakło jej słów.

Dorian zmarszczył brwi. Jak to możliwe, do cholery?

Pióra?

Nie wierzę. Nie wierzę, kurwa.

— Dobra — odparł, nieustannie macając czubek głowy.

Pióra naprawdę tam były — dość długie. Zupełnie jak u...

Jak u gołębia.

— Dorianie...

Popatrzył na nią. W ciemnościach dostrzegł jedynie

niewyraźny owal jej twarzy.

— Kto to jest Karolcia?

— Co?

— Słyszałeś. Karolcia. Znasz jakąś?

— Niby skąd, do diabła? O czym ty mówisz?

— Ona mi się śniła. Dziewczyna, która miała na imię

Karolcia...

— To był sen.

— To nie był taki zwykły sen. Wydaje mi się, że znam

tę kobietę. To znaczy... że się znamy. Albo... — Agniesz-

ka przerwała zrezygowana.

— To znaczy, że miałaś koszmar i nie powinnaś się tym przejmować — odparł ostro. Za ostro.

Aga spojrzała na to coś, co zanim zasnęła, było dłonią.

Zadrżała.

— Zaraz, zaraz... A może to nie dzieje się naprawdę?

Może mamy jakieś halucynacje? — zastanawiał się na głos Dorian.

Wyjął z futerału aparat z teleobiektywem, uniósł go i spojrzał na dziewczynę przez wizjer. Pstryknął kilka fotek, po czym skierował ekranik wyświetlacza ku górze, tak by oboje mogli przyrzeć się temu, co utrwaliła cyfrówka.

Na wszystkich fotkach, wyraźnie niczym na akcie oskarżenia, zamiast palców Agnieszki błyszczały ostrza.

— Dorian, co tu się dzieje? — jęknęła.

— Chodź — spontanicznie chwycił ją za rękę, a potem syknął z bólu i odskoczył, jakby rażony prądem.

Skaleczył się w nadgarstek.

— Gównno — syknął.

— To te sztylety — szepnęła. — One naprawdę tu są!

Są częścią mnie. Sen się skończył, a one nie znikają.

— Uspokój się — mruknął, wycierając krew w nogawkę spodni. — Wstawaj. Idziemy do kabiny pilotów.

— Ja... — Agnieszka pociągnęła nosem, z trudem powstrzymując się od płaczu. — Czuję się jakbym kompletnie straciła kontrolę nad swoim życiem, jakbym znalazła

się w czyimś śnie. Też tak masz?

Zmarszczył brwi.

— Trafnie to ujętaś. Dokładnie tak — przyznał, po czym wstał z fotela i dorzucił pocieszająco: — Nadawałabyś się na pisarkę, bez dwóch zdań.

* * #

Antonio nie spał. Oparty plecami o ścianę obserwował Raula, Manuela i Leticję. Gdyby mógł krzyknąć, z pewnością by to robił. Nie potrafił jednak otworzyć ust. Nie wiedzieć kiedy, ktoś albo mu je zaszył, albo skleił. Menedżer nie miał sił, by wstać ani zrobić cokolwiek. Mógł jedynie patrzeć.

Początkowo nie poznał Raula. Klatka piersiowa mężczyzny upodobniła się do odwłoku wielkiego pająka. Pokrywała ją sierść, czarna, świecąca jak u tarantuli. Mój Boże, pomyślał. Gdzie my trafiliśmy? Czy to piekło? Twarz jego kolegi była blada, nieruchoma niczym maska śmierci. Ona jedna nie uległa metamorfozie.

Zamiast rąk Raul miał teraz chitynowe odnóża, które zginały się i prostowały na przemian. Takie same odnóża zdawały się wyrastać z korpusu. Oplatały śpiącą Leticję. Szelest, jaki wydobywał się z gardła kobiety, brzmiał niczym trące o siebie kartki papieru. Wciąż miała na sobie żakiet, ale był on podziurawiony, poszarpany i mokry od krwi. Setki, a może i tysiące maleńkich macek przebijało materiał. Wiły się leniwie, rozciągały

i kurczyły, a potem cały cykl powtarzał się od początku. Śliskie i bardzo ciemne, połyskiwały tym samym mrocznym blaskiem co owłosienie Raula. Szyję Leticii pokrywała brunatna szczecina, wspinająca się ku górze i zachodząca na jej podbródek. Dla odmiany włosy na głowie kobiety były przerzedzone, jakby poddano ją kolejnej serii chemioterapii.

Antonio nawet nie próbował zgadywać, o co w tym wszystkim chodzi. To, co widział, wykraczało poza wszelkie znane punkty odniesienia, poza jakąkolwiek logikę. Spojrzał na Manuela. Wydawało się, że wszystko z nim w porządku, ale gdy wyteńczył wzrok, dostrzegł, że oblicze kolegi pokryte jest maleńkimi srebrzystymi łuskami. Całkiem jak u ryby, pomyślał. Jak u pieprzonego leszcza. Łuski pokrywały nawet powieki śpiącego Manuela.

— Manuel, Raul... — wyszeptał Antonio.

Raul nie zareagował. Może już nie żył.

Manuel rozchylił powieki.

Serce Antonia na moment przerwało pracę, by niechętnie podjąć ją na nowo.

W oczodołach Manuela tkwiły rybie ślepia: szare, nierozumne, martwe.

* * *

W żołądku bulgotało jej już tak głośno, że Claudia nie mogła dłużej udawać, iż tego nie słyszy. Takie dźwięki wydaje gotujący się na dużym ogniu gar bigosu. Nieomal

czuła rozchodzący się wokół zapach kapusty. Brzuch wy-
dęło jej niczym piłkę lekarską, zupełnie tak, jakby w cią-
gu kilku minut od zapłodnienia znalazła się w szóstym
miesiącu ciąży. Sama myśl o tym przyprawiała o torsje,
tym bardziej że od tygodnia nie uprawiała seksu.

Złapała się oburącz za brzuch i ścisnęła go. Co dzi-
wne, bez problemów udało się wepchnąć tę sterczącą
gulę do środka ciała. Triumf nie trwał jednak długo, bo
po chwili, przy wtórce prującej się spódniczki, jakaś siła
uniosła ją na fotelu. Pośladki stewardesy zmieniły się
w wielgachne banie, które może pasowałyby dwustuki-
lowemu szympansowi, ale na pewno nie dbającej o figu-
rę dwudziestokilkulatce.

O ile wcześniej pęczniejący brzuch urwał wszystkie
guziki w służbowej bluzce Claudii, to teraz gigantyczny
tyłek sprawił, że od pasa w dół była naga. Nie namyśla-
jąc się długo, tak szybko, jak pozwalały jej obecne kształty, pobiegła do przedziału cateringowego, wyjęła
z szafki dwa największe ręczniki, jakie udało jej się zna-
leźć, po czym obwiązała się nimi w pasie.

A potem kucnęła w kącie i rozpłakała się.

* * *

To nie była godzina triumfu. W każdym razie nie dla dru-
giego pilota. Wszystko układało się nie tak. A do tego
jeszcze...

Krzyżanowski, posłuszny impulsowi, który kazał mu
trzymać się z dala od reszty załogi i pasażerów, siedział

na pustym fotelu w pobliżu trapu ratunkowego. Zapalił lampkę umieszczoną w bocznej ścianie i znów spojrzął w lusterko, które dostał od syna na ostatnie urodziny. Dając mu w prezencie ten drobiazg, pierwotny powiedział żartobliwie, że jego tata jest największym przystojniakiem spośród wszystkich lotników na świecie i że to lusterko ma mu o tym przypominać. Cóż, to co obecnie w nim widział, nie napawało otuchą. W ciągu ostatniego kwadransa opadła mu prawa brew i wszystko, co miał pod nią. Tak jakby botoks utrzymujący jędrność skóry przestał działać. Tyle że on nigdy, przenigdy nie używał botoksu.

Z zamyślenia wyrwał go żałosny ni to jęk, ni to płacz, dobiegający spoza samolotu. Czyżby kwiliło porzucone niemowlę albo ranne zwierzątko?

Zaciekawiony, schował lusterko do kieszeni na piersi i podszedł do wyjścia. Zawodzenie ucichło, by po kilku sekundach znów drażnić jego uszy. Ciarki prześlizgnęły mu się od palców, przez kark, aż po sam czubek głowy. Nie miał najmniejszej ochoty wałęsać się gdzieś po nocy. Ale czy mógł nie pospieszyć z pomocą? Przytrzymując się krawędzi ściany, wychylił się na zewnątrz...

* * *

Idąc, a w zasadzie przemykając na przód boeinga, Dorian i Agnieszka rozglądali się nieufnie na boki, w każdej chwili oczekując ataku czy jakichś przejawów agresji ze strony

„normalnych" pasażerów. Szybko jednak zorientowali się, że w ciągu ostatnich godzin pozostali także ulegli metamorfozie. Nosy niektórych wydłużyły się i zakrzywiły na podobieństwo ptasich dziobów, motyl wytatuowany na karku krótkowzrocznej blondynki przepoczwarzył się w granatową narośl, a matka rozwrzeszczanego dzieciaka tuliła do siebie wielkie jak młyńskie koło jajko, sama zresztą także nadęła się, kształtami upodabiając do bałwana.

Nie spała, ale w ogóle nie zwróciła na nich uwagi.

Jest jak warzywo, pomyślał chłopak. Jak burak albo melon.

Dotarli do celu nie zatrzymywani przez nikogo.

To, co zobaczyli, przekraczało granice absurdu. Na

szybie kokpitu rozgościło się coś, co przypominało krwawe odbicie rozcapierzonej dłoni. Niby nic niezwykle-

go, gdyby nie drobny szczegół — łapsko miało około metra długości.

— Co to ma być? — wykrzyknęła dyszkantem Agnieszka, odruchowo przysuwając się do swego eks-

Wyciągnięty na prowizorycznym posłaniu Artur jęknął:

— Nie wiem. Pewnie olej...

Dorian z niedowierzaniem zmarszczył brwi. Czyżby kapitanowi rzuciło się na oczy? Gdzie on widział taki olej?

— A to? — nie poddawała się Agnieszka, wyciągając przed siebie zdeformowaną dłoń. — Co to, do cholery,

jest?!

— Ręka — wymamrotał Gałeczki. Sprawiał wrażenie otępiatego.

— Czyżby? — fuknęła dziewczyna.

Zaległa cisza, żadne z nich nie widziało, jak ubrać w słowa to, co niczym ołowiany kożuch zalegało im w głowach. Promienie księżyca, przechodząc przez plamę, zmieniały barwę, zalewając ich jasnopurpurową poświatą — trzy okryte rumieńcem hańby twarze, zwrócone ku sobie i demonicznie wykrzywione. Twarze spiskowców, współników zbrodni? A może ofiar, wszak podobno wszyscy jesteśmy ofiarami...

Milczenie stawało się coraz bardziej przytłaczające", gęstniało, zdawało się, że lada chwila przybierze fizyczny kształt.

Pierwszy przerwał je Dorian.

— Czy ty, no wiesz, chodzi mi o...

— Domyślasz się, co tu właściwie się wyrabia? — weszła mu w słowo Agnieszka. — Albo masz chociaż jakąś teorię?

— Myślę, że to ma jakiś związek ze mną — stęknął Artur, z roztargnieniem drapiąc się po nieogolonym policzku.

— Raczej z nami wszystkimi — zauważyła dobitnie dziewczyna. — Wszyscy mogliśmy zginąć podczas lądowania.

— Nie o tym mówię — kapitan westchnął, dając

znak, by się uciszyła. — Mam wrażenie, że to wszystko przeze mnie...

— E tam — mruknął Dorian. — Posadzenie maszyny w takich warunkach to prawdziwa sztuka. Zrobięś, co się dało.

— Nie...

— Co znaczy NIE?! — warknęła Agnieszka. Gałęcki gadał jak poroniony i coraz bardziej działało jej to na nerwy. Nie znosiła kalamburów, zwłaszcza takich, których nie potrafiła rozwiązać.

— Nie wiem, jak... — kapitan zacisnął zęby i stęknął, próbując usiąść. Nie dał rady, pozostał więc w półleżącej pozycji. — Ale te wszystkie dziwaczne... zdarzenia... Wydaje mi się, że ja je wywołuję.

To wyznanie najwyraźniej kosztowało Artura zbyt wiele wysiłku, bo zamknął powieki i przestał się odzywać. Pierś unosiła mu się i opadała w równomiernych odstępach. Zasnął czy tylko udawał?

Po chwili do kabiny zajrzała rozespana Maja. Włosy w nieładzie, błędny wzrok i... wydłużone ku górze, ni to ośle, ni to elfie uszy. Dorian z Agnieszką spojrzeli po sobie, nie komentując jej wyglądu.

— I jak? — spytała z troską stewardesa. — Poprawia mu się?

— Majaczy — odparła Aga. — Ale myślę, że wyjdzie z tego.

— O ile, kurwa, kiedyś doczekamy się tej mitycznej ekipy ratunkowej.

— Niezbyt się spieszą.

— A gdzie Szymon? — spytał Dorian. Nie miał żadnego szczególnego interesu do Krzyżanowskiego, ale uznał, że choćby przez grzeczność należy zainteresować się jego losem. W końcu on też przyczynił się do szczęśliwego, przynajmniej w jakimś sensie, lądowania.

— Nie wiem. Kiepsko się czuł... Nieustannie powtarza, że to jego ostatni lot — wyjaśniła Maja.

— Oby się nie okazało, że ostatni dla nas wszystkich — odparła cierpko Agnieszka. — A może ty się domyślasz, skąd wzięły się te wszystkie mutacje?

Zanim stewardesa zdążyła odpowiedzieć, do kabiny wpadła Claudia. Zdążyła jedynie wykrzyknąć:

— Uciekajcie!

A potem wybiegła, zostawiając drzwi otwarte. Te jednak jakimś cudem zatrasnęły się z hukiem.

Najbliżej do nich miał Dorian. Sięgnął do klamki, ale... Jego ręka zagłębiła się w niej z taką łatwością, jakby zanurzał dłoń w zwykłej wodzie. Cofnął dłoń, przerażony, lecz widząc, że kończyzna nie nosi żadnych śladów uszkodzeń, wysunął palec i szturchnął nim klamkę. Tym razem zachowała się jak na porządną klamkę przystało — stawiała opór.

naprawdę zasnął. Przy pomocy Majki zarzucił go sobie na

ramiona i całą grupą pognali do przedziału pasażerskiego. Przed sobą widział powiększony do absurdalnych rozmiarów tyłek Claudii, przedzierającej się między zmienionymi w tor przeszkód fotelami i oszalałymi ze strachu ludźmi, w swym obecnym stanie bardziej przypominającymi postaci z Ulicy Sezamkowej czy Muppet Show niż samych siebie sprzed dwudziestu czterech godzin.

— Co jest...? — wymamrotał Gałeczki, przecierając oczy. Dorian miał wrażenie, że znalazł się na jakimś upiornym balu przebierańców, przy czym wystrój sali walczył o lepsze z ich zdeformowanymi ciałami. Tył samolotu praktycznie zniknął, zalany przez jakąś czarno-granatową magmę, rzucającą wokół łagodnie, obsydianowe refleksy. Z tej masy wystawały sukienki, wstążki, niebieskie strzępy z poszycia foteli i ociekające krwią kawałki skóry zdartej z tego czy innego nieszczęśnika. Materia stale przegrupowywała się, formując w nowe, wymyślne kształty. Zwisające z sufitu girlandy flaków dopełniały obrazu całości.

— Co to, kurwa, jest? — wydyszał wprost do ucha kapitana. — Artur, co z tobą, do diabła?

Pilot nie odpowiedział.

Kadłub samolotu pulsował niczym żywy organizm, serce, a raczej przełyk jakiegoś gigantycznego węża. Wrażenie było piorunujące, ale Dorian czuł, że nie ma chwili do stracenia. Nie czas i nie miejsce na rozmyśla-

nia. Oczywiście o ile nie chciał stracić życia.

Ludzie, albo to, co z nich zostało, miotali się na różne strony, przepychając się do wyjścia, które dziwnym zarządzeniem losu pozostało niezmienione.

W Agnieszkę jakby diabeł wstąpił. Szarpnięciem za włosy posłała na podłogę jakąś spuchniętą niczym purchawka matronę, która tarasowała im przejście do wybawienia. Dopilnowała, by najpierw w gumowym rękawie zniknął Dorian, potem posłała za nim poturbowanego Artura i obie stewardesy, sama wyznaczając sobie rolę tylnej straży.

* * *

Młodość nie wieczność, starość nie uciecha, a głuchota jest gorsza niż głupota — tę ludową mądrość Grześkowiakowa od dawien dawna starała się wprowadzać w czyn. Starsza pani nie była bynajmniej aż tak stetryczala, jak wskazywałoby na to jej zwykłe zachowanie. No tak, kamuflaż to podstawa. Zwłaszcza gdy człowiek chce dorobić sobie do skromnej emerytury zbieraniem informacji i odpłatnym przekazywaniem ich różnym organom.

W ten rzeński poranek obudziła się z poczuciem, że coś jej umknęło. Czyżby podpisała się na ostatnim donosie, w którym ze szczegółami zrelacjonowała nieróbstwo i chamowatość dozorczy? Nie, stanowczo nie!

A może...

Nie, to też nie wchodziło w rachubę.

Wstała z łoża boleści, jak zwykła nazywać komforto-

wy tapczan zakupiony na wyprzedazy kilka miesiecy
wczejniej, po czym poczlapala do lazienki. Jakoz tak
w polowie drogi zorientowala sie, ze nadal widzi niepo-
slany tapczan.

Jak to tak? — zdziwila sie.

Miala go za plecami. Stal metr za nia.

Przewiesilam lustro i zapomnialam o nim?

Poprawila okulary na nosie, wypatrujac lustra. Nie do-
strzegla zadnego. I wtedy zorientowala sie, ze widzi cala,

209

doslownie cala sypialnie, wraz z wielka dwudrzwiowa
szafa, komoda w kacie, japonskim telewizorem, dwoma
fotelami, meblościanka i niezliczona iloscia szpargałow
zagracyajacych pozostala przestrzen.

Ki diabel?!

Obrócila sie powoli wokół własnej osi. Nadal widzia-
ła cały pokój. Zgięła ręce w łokciach i sięgnęła za siebie,
rozgarniając siwe włosy z tyłu głowy. Z niedowierzaniem
obserwowała swe suche dłonie, które z drzeniem zbliża-
ły się do jej oczu.

Próbowała krzyknąć, ale nie wydała najcichszego na-
wet dźwięku. Nie miała jak. Zamiast języka w jej ustach
tkwiło wielkie jak papierówka oko.

* * *

Szymon Krzyżanowski leżał rozplaszczony niczym nale-
śnik na stole, zastanawiając się, gdzie jest i co mu się stało.

Dlaczego tak bardzo bolą mnie plecy? Dlaczego nikt nie pomaga mi się podnieść? Co to — godzina nienawiści dla drugiego pilota? I dlaczego tak paskudnie wieje?

Usiłował zgiąć nogę w kolanie. Bez efektu.

Spałem albo straciłem przytomność... Albo jedno, albo drugie. Co było wcześniej? Jak to możliwe, że...

Wypadłem z samolotu?

Spoczywał tuż przy gumowym rękawie. Rzeczywiście wypadł czy sam wyskoczył? Wiatr wzmagał się. Niebo było czarne niczym lisia nora, która prowadzi do samego środka Ziemi. Poczł przeszywający ciało chłód.

Rozchoruję się, na pewno złapię zapalenie płuc, pomyślał z obcym mu do niedawna fatalizmem. Trafię do szpitala, jak amen w pacierzu.

Jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności. Dostrzegł zarys jednego z tylnych kół boeinga. Spoczywało na ziemi, pogięte, z rozszarpaną oponą.

Coś wbijało mu się w plecy. Kamień. Ostry ból w okolicy kręgosłupa zmotywował go do przewrócenia się na bok. Ulga. Niemal jęknął z rozkoszy. Ból ustąpił, ale na krótko. Pół minuty później znów dał o sobie znać powracającą falą. Tym razem był nieco mniej dokuczliwy, jednak wystarczająco silny, by odebrać pilotowi nadzieję.

Nigdy się z tego nie wylizę. Już na zawsze tu zostanę. Na zawsze, kurwa.

I wtedy to usłyszał. Z początku nie było głośniejsze

od szeptu kogoś uwięzionego w drewnianej skrzyni, po chwili przybrało na sile. Krzyżanowski zamarł, wsłuchując się w dźwięk.

Ktoś oddychał. Głęboko, ciężko i miarowo. Tak oddycha człowiek, który po szesnastu godzinach ciężkiej roboty wreszcie kładzie się do łóżka, skrajnie wyczerpany, ledwie żywy.

Wdech i wydech. Wdech i wydech. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej wyraźny. Dobiegał z maszyny albo spoza niej, Szymon nie potrafił tego określić. Patrzył w mrok, starając się dostrzec cokolwiek, kogokolwiek.

Gdy wreszcie dotarło do niego, co się dzieje, zamrugał powiekami, by przegnać łzy gromadzące się w kąciakach oczu i wbił wzrok w niebo. To wszystko przez zmęczenie i szok, pomyślał. Nie potrafię skupić się na niczym, nie ma więc sensu zgadywać, o co w tym wszystkim chodzi...

Tymczasem dźwięk wciąż rozbrzmiewał. Wdech i wydech. Wdech i wydech, jakby ten powtarzający się cykl miał trwać już na wieki wieków.

Nagle dotarło do niego, że to samolot oddycha. Jakkolwiek absurdalnie to brzmi, boeing wydawał dźwięki, jakie wydaje ktoś pogrążony w głębokim śnie. Wdech i wydech. Wdech...

Górna część kadłuba łagodnie podnosiła się i opadała niczym brzuszysko leżącego wentylem do góry gru-

basa. Pierwszy oficer wsłuchiwał się w te dźwięki, ze spokojną rezygnacją godząc się ze świadomością, że oto po latach ciężkiej harówki, nieustatnnej pogoni za pieniędzmi i sukcesem, po prostu zwariował. Bezapelacyjnie, nieodwołalnie. Cóż, zdarza się. Jemu najwyraźniej też się zdarzyło.

Zamknął oczy. Coś znów uwierało go w plecy. Na pewno nie kamień ani gruda piachu. To było coś o wiele większego. Wkładając w ten ruch nieomal wszystkie siły, jakie jeszcze mu zostały, dźwignął się na łokciach.

Miał to w plecach. Coś wbijało mu się w plecy!

Przetoczył się na bok, sięgnął do tyłu i pochwycił przedmiot, który utkwiał w jego ciele.

To drewno, uzmysłowił sobie, wbiłem sobie w dupę jakiś pal.

Ale to nie był zwyczajny pal. Gdy wyszarpnął to z ciała, i położył na wysokości swojej twarzy, doznał kolejnego wstrząsu.

— Krzyż — jęknął.

W spowijającym go mroku nocy dostrzegł metalową figurkę Chrystusa. Unurzanąwe krwi, podobnie jak krzyż, do którego ją przybito.

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Krzyżanowski zapomniał o Zbawicielu, gdy silniejszy powiew wdarł się w dziurę w jego plecach. Coś z niej wypłynęło. Coś miękkiego, śliskiego. Młasnęło o ziemię i ucichło. Z otworu

poląła się krew. Hektolitry krwi zalewały Szymona, jakby wypływały jednocześnie z rozkawałkowanych ciał całej armii.

Pilot powoli odchodził, wiedział o tym. Była to jedna jedyna rzecz, której był jeszcze pewien. Umierał. Teraz i już na zawsze.

Zanim jego świadomość zgasła, kojona przez kolejne wdechy i wydechy boienga, dostrzegł jakąś postać. Przyczajona tuż przy jego nogach, zimna, milcząca, wroga.

Mógł przysiąc, że gdzieś już ją widział. Coś w tej facjacie wydało mu się znajomego, choć to przecież niemożliwe, by major Dąbczak...

Postać pochyliła się nad nim i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że to naprawdę Dąbczak. Ale jakiś inny... zdeformowany.

Zmutowany?

Krzyżanowski dostrzegł wykrzywione w uśmiechu usta. Obnażone zęby miały stożkowaty kształt. Jak u rekina. Były ostre i doskonale przystosowane do rozszarpywania mięsa...

A potem usłyszał czyjś głos. Dobiegał z samolotu.

Agnieszka...

Nie idźcie tu!

Sądził, że powiedział to na głos, ale słowa ugrzęzły w jego umyśle.

NIE IDŹCIE TU!!!

Rozdział 12

Zjeżdżając po trapie ratunkowym, Dorian był święcie przekonany, że już nic nie zaskoczy go bardziej od tego, co dotąd stało się jego udziałem. Tymczasem z chwilą, gdy ujrzał maszynę z zewnątrz, odjęło mu mowę. Nawet w najbardziej porąbanym śnie niczego podobnego nie widział, a przecież nieraz zdarzało mu się śnić prawdziwe koszmary.

Złamany kadłub, zdezelowane skrzydła, porysowany, usiany siatką wgnieceń dziób, szereg małych ciemnych okienek... Wszystko to zdawało się tętnić własnym, podskórnym życiem. Konstrukcja podrygiwała niczym węgorz na rozgrzanej do czerwoności patelni. Samolot nieustannie wybrzuszał się, falował, zapadał sam w sobie... Z silników na skrzydłach z hipnotyzującą powolnością wylewała się jakaś szarawa substancja, klej, sperma, Bóg jeden raczy wiedzieć, co to właściwie było. Szukając potwierdzenia tego, że nie oszalał, zerknął na Agnieszkę. Wyraz jej oczu nieco go uspokoił. Ona też przypatrywała się boeingowi z mieszaniną odrazy i niemal chorobliwej fascynacji.

— Topi się jak wosk — wydusiła z niedowierzaniem.

Nie odpowiedział. Zaszło mu w gardle, język przykleił się do podniebienia w daremnej próbie znalezienia kryjówki. Trząśł się ze strachu i zimna. Wiatr atakował ze wszystkich stron niczym rozwścieczony duch, szczypiąc

go w policzki i szarpiąc za pióra, co potęgowało jeszcze wrażenie nierealności widzianego.

W przeciągu kwadransa przy samolocie zgromadziło się około czterdziestu osób. Otoczyli go wianuszkami jak uczestnicy konduktu żałobnego, którzy właśnie dowiedzieli się, że zaczęło się zbijanie trumien przeznaczonych dla nich. Wśród pasażerów była matka z dzieckiem. Jej zaróżowiona, opuchnięta i zdeformowana twarz prawie nie różniła się od świńskiego ryja. Dziecko, które tuliła do siebie, nie płakało ani nawet nie poruszało się. Było napompowane niczym plażowa piłka i zapewne równie inteligentne. Niegdyś małeńka główka całkiem zatraciła dziecięcy wygląd. Pokryta czerwonymi krostami i szramami jak po pobiciu, pulsowała w dzikim rytmie. Nie posiadała oczu, a jedynie dwa czarne otwory, z których wyzierały chłód i obcość. W miejscu nosa pojawił się palec zakończony długim paznokciem. Dorian złapał się na tym, że podświadomie czeka, aż palec pogrozi mu w niemym upomnieniu. Nic takiego się nie stało, więc nieco uspokoiony rozejrzał się za Gałeckim.

Kapitan przystanął za jego plecami. Wpatrywał się szklistym wzrokiem w trap ratunkowy, przywodzący na myśl dętkę, z której uszło powietrze. Dorian odezwał się do niego łagodnie, niemal przeproszającym tonem:

215

— Większość uciekła, prawda? Większość...

Artur wzruszył ramionami. Raz, a po kilku sekundach, widocznie uzmysławiając sobie, że ten gest, by być zrozumiały, wymaga powtarzalności ruchów, znowu.

— Co mówisz? — Jego głos brzmiał matowo, mechanicznie, niczym wygenerowany przez kiepski syntezator mowy.

— Z samolotu... Prawie wszyscy się uratowali?

— Sądzę, że tak.

— Nikt tam nie został — włączyła się Agnieszka. —

W każdym razie nikt żywy... Wyskoczyłam ostatnia.

Podczas gdy Gałeczki wciąż stał ze wzrokiem utkwionym w pograżony w mroku pokład, Dorian począł w stronę ogona. Przez moment rozważał myśl, że nad samolotem faktycznie przejęła kontrolę jakaś grupa terrorystyczna. Zmusili pilotów do lądowania na opuszczonym lotnisku, gdzie przeprowadzali tajemnicze eksperymenty, na przykład nad nowym rodzajem broni, powodującym halucynacje...

Bzdura! Przecież zarówno on, jak i Agnieszka widzieli dokładnie to samo! Zresztą, fotki potwierdzały, że wzrok nie odmówił im posłuszeństwa... To wytłumaczenie odpadało.

Badania? Choć byłby gotów przyjąć wytłumaczenie, że został zaangażowany do roli królika doświadczalnego, wątpił, by w tym dziadostwie maczali palce terroryści.

Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego, pomyślał, macając się po głowie. Pióra wydały się dłuższe, niż kiedy dotykał je kilka godzin wcześniej. Skąd się wzięły, do cholery? Kolejne pytanie pozostające bez odpowiedzi.

Spuścił wzrok na skaleczoną dłoń. Rana nie wydawała się szczególnie głęboka. Do diabła z tym, warknął w duchu, kompletnie bezradny.

Gdzieś z tyłu rozległ się przeciągły świst. Odwrócił się na pięcie, daremnie wypatrując źródła dźwięku. Dostrzegł kręcących się bez celu pasażerów boeinga.

W ciemnościach nocy wydawali się ilustracjami do zrodzonego w chorej wyobraźni komiksu.

Miał właśnie ruszyć dalej, by obejrzeć tył maszyny z bliska, gdy poczuł, że ktoś go obserwuje.

Zamarł. Przetknął ślinę, obracając się wokół swej osi.

Nadal nic. Nikt na niego nie patrzył.

Spojrzał na samolot. 737 dygotał niczym pływak, który po zbyt długiej kąpieli drży na chłodnym wietrze. Któryś z pasażerów krzyknął coś niezrozumiałego, po czym ktoś inny mu odpowiedział. Dorian tylko na moment zerknął w tamtą stronę, by sprawdzić, co wywołało zamieszanie, ale zaraz potem jego uwagę przykuł kolejny podejrzany odgłos.

To było... mlaskanie?

Coś kryło się z drugiej strony samolotu, za wygiętym w łuk skrzydłem. Kucała tam przygarbiona postać, a mlaskanie stawało się coraz bardziej wyraźne.

Wyobrażenia nachalnie podsuwała Dorianowi makabryczne obrazy rodem z horrorów, ale zamiast zawrócić, pchany ciekawością powoli, nieomal się skradając, obszedł samolot, po czym zatrzymał się za metalową zasłoną skrzydła. Zaczerpnął głęboko powietrza, wychylił głowę i wtedy to dostrzegł.

Major Dąbczak grzebał w ciele Szymona, wrywając z trupa pokaźne kawały mięsa. Obwąchiwał je, większość ładując sobie do ust, a te, które uznał za niesmaczne, odrzucał. Za każdym razem rozbryzgiwały się na ziemi z donośnym, wywołującym mdłości, mlaśnięciem. Dorian ledwo powstrzymywał się od puszczenia pawia. Choć mrok litościwie spowijał zarówno majora, jak i resztki zwłok drugiego pilota, zasłaniając większość szczegółów ohydneho widowiska, i tak zbyt wyraźnie widział fragmenty ciała Krzyżanowskiego, rozsiane na przestrzeni kilkunastu metrów. Sam Dąbczak zresztą także nie przedstawiał miłego dla oka widoku. Jego zdeformowana twarz przypominała pysk ogarniętej chorobą piranii. Chropowata niczym pumeks, obdarzona monstrualnych rozmiarów szczęką. Tę z kolei wyposażono w kilka rzędów długich jak igły wideł zębów.

Z Szymona już prawie nic nie zostało. Kreatura, w którą przekształcił się major, z żarłocznością prawdziwej piranii pałaszowała dolne partie jego ciała, pogardzając głową, ozdobionym ornamentami żył kawałkiem

klatki piersiowej i owiniętą flakami miednicą.

Pracując przez lata przy obsłudze wesel, Dorian przywykł do oglądania żywych trupów, zwłaszcza nad ranem, jednak tego nawet dla niego było za wiele. Zwymiotował. Żółć i niestrawione kawałki kanapki z serem obryzgały mu buty.

Bestia przerwała konsumpcję, zrywając się na równe nogi. Jej łeb zdawał się umieszczony na stalowej sprężynie.

Poruszała się szybkimi zrywami. Podobne ruchy wykonuje siedząca na gównie mucha, delektująca się zapachem głównego dania. Albo coś, co penetruje otoczenie w poszukiwaniu żeru. Albo...

Dorian cofnął się o krok, mając nadzieję, że pseudo-Dąbczak go nie dostrzegł. Z drugiej strony musiał przecieź słyszeć opuszczających samolot pasażerów. Dlaczego nie zaatakował? Chciał najpierw dokończyć posiłek składający się z pierwszego oficera czy raczej obawiał się zgrainnych zmutowanych kreatur?

W mózgu chłopaka aż kipiało od przypuszczeń. A co jeśli wkrótce mutacja osiągnie następne stadium i wszyscy zaczną się nawzajem mordować? Co się stanie, jeśli on sam poczuje głód, którego nie da się opanować? Głód świeżej krwi, głód, którego nie zaspokoi suchy prowiant czy konserwy?

Znów wyjrzał zza kadłuba samolotu, by zerknąć na majora. Ten stał na lekko ugiętych nogach i świdrował go

wzrokiem.

— O kurwa! — jęknął Dorian, a potem dał krok do tyłu. Stwór wciąż pozostawał na swoim miejscu, rozciągając paszczę w nieszczególnie udanej próbie uśmiechu. Jego usta, jeżeli dwie chropowate, pokryte mechatymi wypustkami fałdy skóry można nazwać ustami, lśniły od posoki. Kawałek mięsa zwiślał z podbródka, przesuwał się w dół niczym wskazówka zepsutego zegara.

Dorian zebrał w sobie resztki energii i rzucił się ku Agnieszce, Gałeckiemu i reszcie nieświadomych zagrożenia pasażerów. Po drodze pomyślał przelotnie o stewardach. Obaj wyruszyli z Dąbczakiem po pomoc. Major przepoczwarzył się w kreaturę, a oni? Zostali pożarci czy może zmienili się w maskary, jak on? Mogli leżeć gdzieś w pobliżu, rozerwani na strzępy albo...

Albo czaić się na skraju lasu i szykować do polowania.

* * *

Co tu się wyprawia, do ciężkiej cholery? Jakiś pieprzony Armagedon?

Agnieszka próbowała przełknąć ślinę, ale nic jej z tego nie wyszło, bo miała zbyt sucho w ustach.

Co kilka sekund bojaźliwie spoglądała w stronę lasu.

Co ich tam czekało? Była pewna, że prędzej czy później będą musieli...

Im dłużej zastanawiała się nad ostatnimi wydarzeniami, starając się poskładać je wszystkie do kupy, tym

większy mętnik miała w głowie. Miała ochotę się rozpląkać, ale wiedziała, że nie może.

Muszę być twardą suką, pomyślała.

Dorik. Gdzie on się znowu podział? Niech wróci. Potrzebuję go.

Biedak jest przerażony, zauważyła bez satysfakcji, a może nawet z odrobiną współczucia. Pierwszy lot samolotem i od razu taki kanał...

Aż podskoczyła, gdy Dorian położył jej dłoń na ramieniu.

— Ocipiałeś?! — warknęła. — Chcesz, żebym dostała zawału?

— Musimy spierdalać! Gdzie Artur?

Kapitan rozmawiał z Claudią kilkanaście metrów dalej, tuż przy dziobie samolotu. Dziwne, że nie dostrzegli Dąbczaka pałaszującego resztki drugiego pilota.

— Artur! — wrzasnął Dorian, kierując się w jego stronę. Pilot spojrział na niego z podszytym niechęcią zdziwieniem. Można by odnieść wrażenie, że przeszkodzono mu w arcyważnej dyskusji poświęconej problematyce globalnego ocieplenia albo głodu w krajach Trzeciego Świata.

— Co jest? Pali się?

— Musimy stąd wiać!

Kilku karykaturalnie zdeformowanych pasażerów, dzięki imponującej kolekcji niezbornych ruchów przywodzących na myśl golemu, które straciły rozeznanie,

komu służą i co właściwie jest ich zadaniem, usłyszawszy ostatnie zdanie, w owczym pędzie pognało przed siebie, zmierzając do lasu.

Dorian najchętniej zrobiłby to samo.

— Co się stało? — zapytał Gałęcki. Towarzysząca mu Claudia westchnęła ciężko, najwyraźniej przygotowując się do poznania kolejnej porcji fatalnych wieści.

— Po drugiej stronie samolotu Dąbczak...

Nie zdążył dokończyć, bo kapitan już okręzał boeinga.

— Nie! — Doskoczył do Gałęckiego i pociągnął go do siebie. — Do cholery, co ty wyprawiasz? Tam jest pełno krwi! On go zjadł! Zjadł!!!

Pilot wybałuszył oczy, co nadało jego pocziwej facji lekko głupkowatego wyrazu. Claudia wciąż milczała, zabawnie marszcząc nos. Przeszłowała przy tym z nogi na nogę, widocznie męcząc się niedawno nabytą nadwagą.

— O czym ty, do diabła, mówisz?

Chłopak zauważył, że stewardesa ściska w dłoni lartarkę.

— To działa? — zapytał, uznając że w zaistniałej sytuacji dalsze wyjaśnienia mogą poczekać.

Stewardesa przytaknęła z wahaniem, jakby dopiero teraz zorientowała się, co trzyma w dłoni.

— W samolocie jest ich więcej?

— Chyba jeszcze dwie. Albo trzy.

— Trzeba po nie wrócić.

— Chcesz wejść do samolotu? — zapytał Gałeczki. —

Po tym trapie będzie ciężko...

— Nie ja. Ty. A potem w nogi. Do lasu. Jak tamci.

Trójka pasażerów dopadła właśnie rosnących na skraju lasu drzew. W słabym świetle księżyca przypominali wycięte z kartonu postacie, które przeniesiono żywcem z teatru cieni. Nikt ich nie powstrzymywał. Nikt też nie ruszył za nimi w pogoń. Gałeczki podrapał się po głowie. Nie była pokryta piórami, jak głowa Dorian, także

221

reszta ciała kapitana nie uległa najmniejszej nawet metamorfozie. Nie wiedzieć czemu, początkujący pisarz nie poczuł się z tego powodu uspokojony. Wręcz przeciwnie. Z coraz większym trudem powstrzymywał nadciągający atak paniki.

— Za godzinę powinna dotrzeć do nas ekipa ratunkowa — oznajmił pilot. — Więc po co nam...

— Za godzinę będziemy martwi, jeśli nie pójdziesz po te cholerne latarki!

Claudia podreptała niezgrabnie do trapu. Po chwili uśmiechnęła się słabo. Jej tyłek urósł jeszcze bardziej, o ile to w ogóle było możliwe. Dorian po raz kolejny pomyślał, że tylko śni i że wkrótce się obudzi. Albo umrze we śnie, co zresztą wcale nie musiało być najgorszą z opcji. Do grupki dołączyła Agnieszka. Jej obecność podzia-

łała na chłopaka jak balsam na gojącą się ranę.

— Artur, proszę, idź po te latarki, dobrze?

Muszę być zdecydowana, nie okazywać strachu, powtarzała sobie w duchu. Nie oszaleć. Nie oszaleć. Nie oszaleć...

Kapitan zgodził się bez entuzjazmu.

— Nie mam pojęcia, dlaczego to robię — przyznał. —

Ale coś mi podpowiada, że powinienem was posłuchać.

Gdy Gałęcki zaczął wspinać się po trapie, rozległ się przeraźliwy ryk, nieomal identyczny z tym, który usłyszeli nie tak dawno. Dorian nie miał wątpliwości. To Dąb-
czak zakończył ucztę. Teraz zapewne zmierzał ku nim.

— Artur, pośpiesz się, na Boga!

Podeszwy butów pilota ślizgały się na gumie, wydając przy tym przyprawiające o dreszcze piski. Kiedy zniknął we wnętrzu boeinga, usłyszeli głuche „tudum-tudum” wybijane przez łapska zbliżającego się potwora. Claudia zadygotała, unosząc dłonie w geście wyrażającym pełną bezradność. Agnieszka odwróciła głowę i zlustrowała ogon maszyny, usiłując zlokalizować źródło hałasu. Jej eks stanął tuż przed trapem i krzyknął dopingująco:

— Dawaj, dawaj, dawaj!

Za szybą kokpitu majaczył zarys sylwetki Gałęckiego, myszkującego w szafkach. Widocznie znalazł to, czego szukał, bo skierował się do wyjścia. W momencie gdy pochwycił jedną z poręczy trapu, kolejny ryk rozdarł ci-

szę, a potem zza samolotu wyłonił się Dąbczak. Jego pysk błyszczał od krwi. Stwór musiał zachować resztki inteligencji, bo przez dobrą minutę obserwował zastygłych niczym słupy soli pasażerów, a następnie ruszył ku wyższemu z braci Głogowskich. Potężny mężczyzna nie wiedział, jak się zachować. Mógł podjąć próbę ucieczki — kreatura nie wyglądała na taką, która potrafi szybko biegać — jednak nawet nie drgnął, pozostając z jedną ręką wciśniętą do kieszeni, a drugą zwisającą wzdłuż tułowia. Dorian próbował odwrócić wzrok, ale nie potrafił.

Gdy zmutowany Dąbczak zbliżał się do swej ofiary, pozostali pasażerowie jak urzeczeni wpatrywali się w to, co miało nastąpić. Nikt nie zareagował, poza bratem zaatakowanego, który zmusił się, by przejść te kilkanaście kroków i zastąpić drogę bestii. Jego poświęcenie nie zdało się jednak na nic. Major, nie zatrzymując się nawet, machnął Wyposażoną w dwa stawy ręką i walnął go pięścią, zwalając z nóg, po czym doskoczył do wyższego z braci, wbijając mu zębiska w klatkę piersiową i błyskawicznie gruchocząc żebra. Mężczyzna zawył krótko, niezdolny do obrony. Szczęki majora zamykały się i otwierały, zamykały i otwierały jak na puszczone w przyśpieszonym tempie filmie przyrodniczym o drapieżnikach. Krew tryskała na lewo i prawo, a kawałki kości siekały powietrze niczym wióry ciętego piłą mechaniczną drzewa.

Z samolotu wynurzył się Gałęcki z dwiema dodatko-

wymi latarkami, ale z początku nikt się nie poruszył.

Minęła długa chwila, nim Majka ochłonęła na tyle, by podbiec do trapu. Kapitan posłał w jej stronę latarki, a następnie sam zjechał, omal nie rozkwaszając sobie nosa na usianym kamieniami podłożu.

Druga z transu wyrwała się Agnieszka.

— Na litość boską, uciekajmy! — wrzasnęła rozdierająco.

Dopiero wtedy do reszty pasażerów dotarło, że natychmiastowa ewakuacja to całkiem niegłupi pomysł. Rzucili się do chaotycznej ucieczki, biorąc udział w jedynym w swoim rodzaju wyścigu dziwotworów.

Nie zwracając uwagi na otoczenie, Dąbczak wciąż szatkował Głogowskiego. Wszystko, poza kikutami rąk nieszczęśnika, przekształciło się w połyskującą od posoki miazgę.

Oszołomieni, potykając się o własne nogi, wbiegli między pierwsze drzewa. Las, ten labirynt obrośniętych mchem roślin, zakotwiczonych w miękkiej, zdradliwej ziemi, przywitał ich czymś na kształt bezgłośnego westchnienia ulgi. Co wcale nie znaczy, że byli w nim bezpieczni.

Dorian gwałtownymi gestami ponaglił pozostałych maruderów, po czym chwycił Agnieszkę pod rękę i klepnął w plecy kapitana.

— Trzymasz się?

Pilot popatrzył na niego nieobecny wzrokiem. By-

ło jasne, że nie ogarnia ostatnich wydarzeń. W tej sytuacji już samo to, że nie wpadał na drzewa, można by uznać za sukces.

— On wrócił — odezwał się, przeciągając sylaby niczym opóźnione w rozwoju dziecko. — A gdzie są stewardzi?

— Skąd, do diaska, mam wiedzieć? Potem będziemy się nad tym zastanawiać... Szybciej, nie zatrzymuj się!

— Sprowadzili pomoc?

Dorian pomyślał, że z Arturem jest dużo gorzej, niż sądził. Jeśli przetrwają, dopilnuje, by zajęli się nim najlepsi specjaliści. Wyglądało na to, że umysł kapitana zrejterował w głąb siebie, do krainy, do której inni nie mieli dostępu.

— Pośpiesz się! Trzeba znaleźć jakieś schronienie.

On w każdej chwili może dopaść któregoś z nas...

— Dopaść? — GałECKI znów zrobił wielkie oczy.

Obok niego zaroilo się od kolejnych zmienionych w szkarady pasażerów. Nie zaszczylił ich nawet przelotnym spojrzeniem.

— I rozszarpać. Kto ma latarki?

— Ja — rozległ się drżący głos stewardesy. Podeszła, podając Dorianowi jeden z przenośnych reflektorków.

Usiłował się uśmiechnąć, by dodać jej otuchy, ale wyszedł mu tylko grymas. Był zmęczony. Kurewsko zmęczony. I nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie miał poczuć się lepiej.

Ironia losu sprawiła, że trafili na pełnię. Między drzewami utworzyła się charakterystyczna, nieco upiorna poświata. Na ten widok aż się wzdrygnął. Nie znosił lasów, nawet tych najmniejszych. Ten wszechobecny brud, mrowie nieznanymi owadami pajęczyn... Ilekroć zmuszono go, by wybrał się na grzyby, nigdy nie zapuszczał się zbyt głęboko, penetrując jedynie obrzeża lasu. Poza tym zawsze miał przy sobie kogoś, kto znał teren. Dopiero teraz zauważył, że nie są w lesie iglastym, jak początkowo sądził. Sosny rosły tu jedynie na przedzie; Im głębiej w mrok, tym drzewa gęstniały, potężniały, coraz bardziej obnosząc się ze swoim majestatem.

— Chodźmy — ponagliła Agnieszka.

* * *

Majka starała się trzymać blisko Artura, ale ten chyba był myślami zupełnie gdzie indziej. Od czasu do czasu posyłał jej błady uśmiech, po czym odwracał się i w milczeniu pokonywał kolejne metry. Z niejakim zdziwieniem uświadomiła sobie, że potrzebuje go bardziej, niż sądziła. Z początku myślała, że to zauroczenie, które szybko minie, ale stało się inaczej. Zakochała się w nim na zabój. Lecz teraz, gdy szła za Gałeckim, świecąc mu latarką w plecy, zamiast miłości czuła narastającą wściekłość. Wściekłość podszytą rozpaczą.

Jej ciało... Czy Artur ignorował ją właśnie przez to, że tak wyglądała? Raczej nie. Zdawało się, że nie przeszkadza-

dzają mu te porośnięte meszkiem uszy i wyrastający pomiędzy pośladków ogon. W każdym razie nie odezwał się na ich temat nawet półśłówkiem. Sama jednak nie potrafiła tak łatwo przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. Czy te zmiany były karą za grzechy? Jeśli tak, to musiałaby popełnić jakąś zbrodnię! Może nie była uosobieniem wszelkich cnót, ale z pewnością nie zasłużyła sobie na coś takiego. Jedyłą, wątpliwą zresztą, pociechą było to, że inni również ulegli metamorfozie, niektórzy znacznie bardziej dotkliwej. Tak czy owak, Artek powinien być przy niej, a nie obok, wspierać ją właśnie teraz, gdy zagubili się w tym przedpieklu.

I jeszcze ten facet, biedny wielkolud, którego wykończył Dąbczak. To było straszne. Przerazające. Niemal nierzeczywiste, a jednak boleśnie prawdziwe. To wszystko działo się w rzeczywistym świecie. Stąpała przecież po warstwie zaschniętych liści, otoczona ze wszystkich stron przez drzewa i pasażerów feralnego lotu 335. Nie umiała zrozumieć wydarzeń, w których uczestniczyła, ani swojej w nich roli, wiedziała jednak, że nie może się poddać, o ile nie chce zostać kolejną ofiarą żądnego krwi mutantu.

— Artur! — zawołała, lecz pilot nie zareagował. Przeniósł wzrok na Dorianą. On jeden może wyprowadzić nas z tego bagna, pomyślała i pomachała do niego. Podszedł bliżej, a zaraz za nim pojawiła się Agnieszka.

— Potrzebujesz pomocy? — zapytała.

— Nie, dzięki. On potrzebuje... — urwała w pół zdania. Kapitan na oślep przedzierał się przez chaszczce, najwyraźniej wierząc, że nadmierna ekspresja jest najlepszym sposobem na uwolnienie się z koszmaru. Gałązki krzaków bezlitośnie siekły go po policzkach, pozostawiając na nich zadrapania, ale nic nie wskazywało na to, by się tym przejmował.

Gdzieś po prawej zamigotało światło latarki.

— Claudia też prowadzi kilku naszych — wyjaśniła Agnieszka, nie wiedząc czemu uważając, że ma to znaczenie.

— Pogadam z nim — oznajmił Dorian, wpatrując się w plecy Gałęckiego z takim napięciem, jakby były tarczą strzelecką.

— To nie ma sensu — odparła Majka. — On w ogóle nie kontaktuje.

— Myślę, że jednak kontaktuje. Powiedział niedawno, że wszystko, co nam się przytrafiło, to jego sprawa.

Majka wyduła wargi, strzygąc przy tym uszami, co nadało jej fizjonomii nieco surrealistycznego wyrazu, mogącego oznaczać zarówno znużenie, jak i irytację.

227

— Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz.

— Ja już nie wiem, w co mam wierzyć. On jeden nie uległ przemianie, zgadza się? Przynajmniej jeśli chodzi o ciało. Poza tym... — zawahał się, dramatycznie zawieszając głos.

— Poza tym nie dostrzega tego, co my — dokończyła Agnieszka, ze złością rozorując swymi ostrzopalcami korę mijanego dębu. — A to akurat przemawia przeciwko niemu. Zamilkli. Żadne z nich nie miało nic więcej do powiedzenia.

Miękka ściółka łatwo ustępowała pod podeszwami ich butów, nieomal zachęcając do kontynuowania marszu. Zresztą, czy mieli jakikolwiek wybór? Czy cokolwiek od nich zależało?

No właśnie. W takich okolicznościach pojęcie wolnej woli zdawało się Dorianowi jeszcze bardziej abstrakcyjne niż zwykle. Zanim zrównał się z Gałeckim, na wszelki wypadek obejrzał się, by sprawdzić, czy nie podąża za nimi major, a raczej bestia, w którą ewoluował. Coś szeleściło w zaroślach po prawej i na moment zaparło mu dech w piersiach. Po chwili z ulgą skonstatował, że to tylko nieco silniejszy podmuch wiatru.

Marzył o kąpieli, piwie i paru godzinach snu.

Już nigdy nie będę czysty, myślał z rozpaczą. Zdechnę wśród ekskrementów, wydzielin mego ciała, w błocie i...

— Artur! — zagadnął, resztką woli wrywając się z nakręcającego depresję myślotoku.

Kapitan popatrzył na niego z ociąganiem, jakby obawiając się, że chłopak rzuci mu się do gardła i rozszarpie krtań.

— No?

— Pogadamy?

— O czym?

— To był popieprzony dzień...

— Mnie to mówisz? — Gałeczki spojrzał na poduszki swych dłoni, jakby szukał w nich zgubionego przed laty kompasu. — Mam nadzieję, że następny będzie lepszy.

Masz może latarkę?

— Dziewczyny mają. Po co ci latarka?

— A papierosa?

— Niestety, rzuciłem palenie.

— Gdzie Majka? Widziałeś ją ostatnio?

— Za nami. Oświetla ci drogę. Gdyby nie ona, od dawna musiałbyś zbierać forszę na nową sztuczną szczękę. Kapitan zmarszczył brwi, nie komentując żartu, i ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. Mizerne światło latarki tańczyło na pobliskich pniach. Nie sposób było tego nie zauważyć.

— Słuchaj — podjął Dorian. — Martwię się o ciebie.

Odkąd w samolocie znowu walnąłeś się w łeb, zachowujesz się co najmniej dziwnie.

Niezrażony brakiem reakcji chłopak kontynuował:

— Sprawiasz takie wrażenie, jakbyś w ogóle nie rozumiał, co się wokół dzieje.

— Bo nie rozumiem... A ty coś z tego rozumiesz?

— Nie odwracaj kota ogonem. Wiesz, o czym mówię.

To znaczy wiesz albo i nie. Zachowujesz się jak szurnięty.

Nie widzisz ludzi wokół siebie, nie dostrzegasz zmian,
jakie w nich zaszły...

Artur uniósł do czoła dłoń w daremnej próbie starcia
zadomowionych na nim zmarszczek.

— Musimy teraz o tym wszystkim rozmawiać? —
burknął rozdrażniony. — Nie mam ochoty na jakieś filo-
zoficzne dywagacje...

— Spokojnie, chcę tylko coś wyjaśnić. Tam, pod boein-
giem, Dąbczak przerobił na mielonkę jednego z pasażerów.
Twoich pasażerów. A wcześniej to samo uczynił
z twoim kumplem. Obchodzi cię to choć trochę? Widziałeś
przecież, co się z nimi stało, musiałeś widzieć!

Gałecki przystanął, sapiąc ze złością. Machnął ręką,
jakby odganiał uprzykrzonego komara, po czym splunął
na trawę.

— Niby co takiego się stało? Z jakim znowu moim
kumplem? Dąbczak? O czym ty gadasz?

— Tak, u licha, Dąbczak — upierał się Dorian. —
Przemienił się w gigantyczną piranię, a potem... Potem
rozszarpał drugiego pilota, Arturze.

— W piranię?

— Nie inaczej.

— Widziałem, że Szymon ruszył do lasu razem ze
wszystkimi!

Dorian przez chwilę zastanawiał się, czy aby się nie
przesłyszał.

— Człowieku, ten mutant go zabił! Poszatkował, zagryzł, zżarł!

— Mutant? — zaświszczał drwiąco kapitan. — Nie-
źle posrało ci się we łbie! Daj mi spokój, dobra?

Znów ruszył przed siebie, zostawiając Doriana w tyle.

Ten jednak ani myślał zaprzestać rozmowy. Cały kipiał.

Dawno nikt go tak nie wkurzył.

Obrócił się, by ochłonąć. Dostrzegł Agnieszkę i Ma-
ję, kluczące między drzewami. Podążyły jakieś dziesięć
metrów za nim. Rozmawiały. Nie, nie mogę tego tak zo-
stawić, pomyślał.

— Hej! — krzyknął do kapitana i podbiegł do niego.

— Właściwie dokąd idziemy? Dokąd nas prowadzisz?

Gałecki zawahał się.

— Odwal się, dobra?

— To tak mi odpłacasz za ocalenie dupska?

Kapitan zacisnął zęby. Na czoło wystąpiły mu kro-
pelki potu. A potem raptownie zwolnił. Dorian zagryzł
wargę, szykując się do awantury. Może nie powinien wy-
pominać kapitanowi tamtego zdarzenia?

— Słuchaj no — podjął zapalczywie Artur. — Pamię-
tam o tym, co dla mnie zrobiłeś, w porządku? Jeśli chcesz
wiedzieć, czy orientuję się w terenie, to odpowiedź jest
dziecinnie prosta. Nie, nie orientuję się. Za cholere! Nie
wiem też, dokąd zmierzają ci wszyscy ludzie. Nikogo ni-
gdzie nie prowadzę! Idę z nimi. Po prostu. A ty idziesz ze

mną. Może łązimy w kółko? Pieprzę to wszystko! Jestem wykończony. Tak jak wszyscy tutaj łudzę się, że ten kurwski las zaraz zniknie i pojawi się jakaś autostrada, droga, chatka na kurzej stopce, cokolwiek... Kapujesz? Że ktoś nam pomoże! I, na Boga, nie mam ochoty wysłuchiwać poronionych historii o jakichś mutantach! Dorian kopnął w kępkę mchu, z trudem panując nad narastającą irytacją.

— Nie boisz się Dąbczaka?! — rzucił tak głośno, że idące z tyłu dziewczyny zamilkły. — Gdzieś tu mogą być też stewardzi! Nie wiadomo, co się z nimi stało. Może i w nich nastąpiła ta przemiana. Może...

— Już ci powiedziałem...

— Nie wierzę, że nie dostrzegasz tego, co się tutaj dzieje!

Pilot znów się zatrzymał. Wcisnął ręce do kieszeni i posłał Dorianowi piorunujące spojrzenie.

Widząc, że szykuje się kłótnia, Agnieszka podeszła do Doriana i objęła go, a Majka stanęła za plecami kapitana.

Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało, a potem chłopak pomacał się po głowie, wrywając z niej jedno z czarnych, sztywnych piór.

Przytknął je pod nos pilota.

— Widzisz? Widzisz to?

Kapitan zerknął niepewnie na pióro.

— Ano... widzę — odparł, poprawiając sobie okulary

na nosie. — Czemu miałbym nie widzieć?

— Co to, kurwa, według ciebie jest? Możesz mi wyjaśnić?

Agnieszka popatrzyła na swoje ręce, zakończone długimi sztyletami. Wzdrygnęła się na ich widok.

— Wydaje mi się — odparł Gałdecki, przetykając ślinę. — Że to twoje włosy. Jeśli ci się znudziły, wystarczyło je zgolić...

Dorian wypuścił z dłoni pióro.

— Włosy? — wykrztusił zdumiony.

— Artur, co ty...? — jęknęła z przerażeniem Majka, ale kapitan zbył ją machnięciem ręki. Odwrócił się na pięcie i bez słowa ruszył ku kolejnej stacji swojej drogi krzyżowej.

Daleko nie uszedł. Coś zaszeleściło w zaroślach. Coś naprawdę dużego i zwinnego. Majka zapiszczała ze strachu. Pilot spojrział w tamtą stronę, a potem schylił się, podnosząc z ziemi sękaty kij i trzymając go jak maczugę, krzyknął uspokajająco: — Nie ma co panikować, to jakiś zwierzak! Zaraz go przegonię!

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Ktoś, niewidoczny w zielonej gęstwinie, wydierał się na całe gardło, po czym nagle zamilkł. Agnieszka poświeciła w tamtym kierunku, jednak za zasłoną drzew i krzewów nie było widać niczego niezwykłego.

Tymczasem w pobliskich krzakach zakotłowało się.

Gdzieś w oddali rozległ się kolejny krzyk. I jeszcze jeden. Wkrótce cała kawalkada wrzasków niemal rozrwała im bębni w uszach.

— Trzeba wiać! — warknął Dorian.

W momencie gdy chwycił Agnieszkę za rękę, usłyszeli znajomy ryk. Brzmiał donośnie jak miazdżony przez prasę samochód, jak cały szereg miazdżonych samochodów. Majka przylgnęła do Gałęckiego. Kapitan otoczył ją wolną ręką. Spoglądał w stronę zarośli, z których wypełzała gigantyczna larwa. Miała dobre pięć metrów długości i ze trzy wysokości. Jej fosforyzujące cielsko wytwarzało światło tak mocne, że aż rażące, i Dorian zmuszony był zasłonić oczy.

— Na drzewo — zarządził. Pociągnął Agę do rozłożystego dębu, podsadził ją, tak by mogła wspiąć się na najniższą gałąź i szykował się do pójścia w jej ślady. Gałęcki natomiast, wciąż obejmując sparaliżowaną ze strachu stewardesę, wpatrywał się w ogromną larwę z takim spokojem, że można by pomyśleć, iż mają do czynienia z najzwyczajszą dżdżownicą, a nie stworem z koszmarnego snu szaleńca.

— Artur! — krzyknął Dorian. — Majka, uciekaj!

Stewardesa ani drgnęła. Pilot obejmował ją mocno, a kiedy zwolnił uścisk, wydarzyło się coś, czego ani Dorian, ani Agnieszka nie potrafili przewidzieć. Cielsko larwy otworzyło się, wypluwając ze środka zmasakrowa-

ne ciała pasażerów boeinga. Dorian rozpoznał młodą matkę i jej dziecko, trójkę zagranicznych biznesmenów i towarzyszącą im kobietę. Byli połączeni jelitami i owinięci czymś, co przypominało czerwoną linę holowniczą. Najgorsze było to, że te szczątki żyły. W tym stanie nie miały prawa żyć, a jednak...

233

Niespodziewanie dziecko, które po kolejnej przemianie przypominało nie tyle istotę ludzką, co przerośniętego homunkulusa, złożonego z byle jak skleconych elementów ciała, nabrzmiewających i wijących się pod samą skórą splotów żył, poupychanych bez ładu i składu kolorowych kamyków, upręży i zużytych pampersów, spojrzało dziurami swych oczu na Artura i powiedziało dobitnie:

— Tata!

W trzewiach stwora kryło się coś jeszcze. Otwierało i zamykało pysk, jakby brakowało mu powietrza. Pokryte zielonkawym nalotem kły otaczała kleista maź, która równie dobrze mogła być płynami ustrojowymi gigantycznej dżdżownicy, co śliną. Kończyny tego czegoś wierzgały zajadle, ale wszelkie wysiłki związane z próbą wydostania się z krwawej pieczary kończyły się fiaskiem. Wreszcie znieruchomiało. Zrezygnowane? Przyczajone? Po chwili obróciło swój wielki łeb tak, że czarne, ziejące nienawiścią ślepie przyszpiliły zdruzgotanego tym widokiem Doriana. To był Dąbczak. Tam, ze środka glistowatego mięso-

żercy, spoglądał na niego z wściekłością. Chłopak nie miał wątpliwości, że gdyby mógł, major rozszarpałby go na kawałki. Jak drugiego pilota, a potem Głogowskiego. Zrzą-
dzeniem losu był jednak unieruchomiony. Organizm stwora, tej bestii, która go połknęła, mimo ziejącej w brzuchu dziury, rozpoczął proces trawienny. Słychać było skwierczenie, kwas żołądkowy w jednej chwili stopił korpus Dąbczaka, jakby major nie był żadnym potworem, a jedynie plastikową kukłą. Kilka innych mutantów w ciele megadżdżownicy wydało z siebie dziki ryk, a potem i one zaczęły wić się niczym węże w bebechach ofiary, zmieniając się w płynną czerwono-pomarańczowo-szarą masę. A sama larwa mruczała z zadowolenia. Dorian pomyślał, że nawet najlepszy na świecie pisarz nie potrafiłby wiernie oddać odgłosów, jakie ten stwór z siebie wydawał. Od tych dźwięków drętwiały zęby, włosy stawały dęba, a ślina w ustach stawała się niemożliwym do przełknięcia glutem.

Dorian ani drgnął. Zatkanby uszy, gdyby miał w sobie dość odwagi, aby poruszyć choćby małym palcem. Ja pierdolę, mam, jęknął w duchu, gdziekolwiek jesteś, zabierz mnie stąd!

W tym samym momencie rozległ się kolejny okrzyk. Tym razem wydobył się z gardła Agnieszki. Drzewo, na które się wspięła, trzęsło się niczym galareta. Jednak to nie wiatr poruszał gałęziami, a sama roślina, która z ja-

kiegoś niewyjaśnionego, chorego, kompletnie popieprzonego powodu nabrała ochoty na taniec świętego Wita.

Dorian w paru susach podbiegł do wyginającego się na wszystkie strony pnia i wyciągnął do góry ręce.

— Skacz! — krzyknął. — Do diabła, skacz!

Drugie z drzew wysunęło swe potężne drewniane macki ku Majce, ale wystarczyło, że Gałęcki machnął kijem i cofnęły się. Zaraz potem kapitan odwrócił się i powłócząc nogą, podszedł do Doriana.

— Cholerny świat — zauważył cicho, nieomal od niechcienia. — Chyba skrzyłem kostkę...

W tym akurat miał rację. To był kompletnie poroniony świat. Świat po drugiej stronie lustra, który rządzi się zupełnie innymi prawami niż ten, w którym się urodzili, świat, który na mocy czyjejs potężnej woli został wypaczony, przeistoczony w zbiorowisko niemożliwych do ogarnięcia form...

Dorian zatrzymał swoje myśli dla siebie. Złapał Agnieszkę, przyjmując na siebie cały jej ciężar. Kiedy dziewczyna wpadła mu w ramiona, przewrócili się na wilgotną

235

ściółkę i przylgnęli do siebie. Długo, o wiele dłużej, niż było to konieczne...

— Już dobrze, skarbie — wyszeptał jej do ucha. —

Poradzimy sobie!

Wstał, rozglądając się w poszukiwaniu monstrialnej

larwy. Z ulgą odnotował, że stwór ominął ich i pełznie dalej gdzieś przed siebie.

— Dosyć — oznajmił ni z tego, ni z owego kapitan. —

Mam serdecznie dosyć tego uroczyska.

Najbardziej przerażał sposób, w jaki Gałeczki wypowiedział swoje kwestie. W jego głosie nie było strachu, a jedynie lekka obawa. Jakby to, co obecnie się działo, nie było dla niego niczym dziwnym, niczym przerażającym. Jakby w ogóle nie istniało.

Jakieś pół godziny później wyjaśnił się los stewardów. Dla wszystkich poza Arturem, który minął ich z ludzką wręcz obojętnością.

Bartek i Jacek wyglądali jak uboższa wersja Światowida. Stali na skraju ścieżki, a ich wkopane w ziemię nogi zrosły się ze sobą, tworząc czworoboczny słup zwieńczony baryłkowatym korpusem i dwoma osadzonymi na krótkich szyjach głowami. Nakrywało je coś w rodzaju chińskiego kapelusza. Ubrani byli w prostą luźną szatę, przepasaną czarną szarfą. Jedna para ich rąk zwisała luźno, bezsilnie, niczym pozbawiona kości, a druga sterczała w bok pod kątem prostym.

Dorianowi skojarzyli się z drogowskazem wskazującym drogę do piekła. Może zresztą rzeczywiście nim byli.

Zasznurowane nićmi chirurgicznymi usta nie pozwalały im opisać przenikającego ich bólu, jedynie po wyrazie załzawionych i rozbieganych oczu można było

domyślić się, że cierpią...

Rozdział 13

Tam — stwierdził Artur, wpatrując się w niewielką polanę przeświecającą między sylwetkami drzew. Po jego twarzy przemknął bolesny skurcz. — Gdzieś tam powinno być wyjście z tego cholernego lasu.

Nie czekając na odpowiedź, pospieszył we wskazanym kierunku. Mięśnie nóg paliły żywym ogniem, ścięgnię wyły w niemym proteście przeciwko takiemu traktowaniu. Zataczał się, jakby miał uszkodzony błędnik, ale nie dawał za wygraną. Znów dopadła go nawałnica myśli, każda dziwniej sza od poprzedniej, a wszystkie zmówiły się, by rozsadzić mu czaszkę. Jeśli za polaną nie będzie szosy, skapituluje. Podda się. Po prostu położy się na wilgotnym mchu i poczeka na śmierć.

Poganiany przeraźliwym lamentem jakiejś kobiety zachwiał się, na szczęście przygotowana na taką ewentualność Majka doskoczyła do niego, ratując go przed upadkiem. Jej podkrążone oczy i świszczący oddech świadczyły niezbiecie o tym, że też jest na skraju wytrzymałości.

Musiał znaleźć właściwą drogę. Dla siebie. Dla niej, dla innych...

Po stewardach i Krzyżanowskim wszelki słuch zagięnął. Przykre, doprawdy przykre. Fakt faktem, że każdy powinien dbać o własny tyłek, a tamci są dorośli, ale i tak

martwił się, czy na tym pustkowiu nie przytrafiło im się coś złego.

Przypomniał sobie nonsensowne rewelacje Doriana.

Co w niego wstąpiło, do jasnej ciasnej, żeby bredzić o mutantach? Dąbczak masakrujący pasażerów? Pewnie chłopak naczytał się Mastertona albo przypalił o jeden raz za dużo!

Ewidentnie potrzebował pomocy. Jak tylko wydostał się z tego syfu, namówi go, żeby wybrał się do lekarza od dusz. I jego eks też na to nakręci. Sympatyczna z niej dziewczyna, bez dwóch zdań, tyle że zbyt nerwowa. Potrzebuje pomocy psychologa, zresztą jak oni wszyscy.

I Majka. Jakaś dziwna się zrobiła. Obserwuje wszystkich wokół niczym badacz mikrobów, który boi się zarażenia jakimś zjadliwym cholerstwem... Czy przed jej oczyma cały czas przewijały się sceny z filmu katastroficznego? Jeśli miał rację, to długo w ten sposób nie pociągnie. W każdej, nawet najgorszej, sytuacji trzeba szukać plusów, a nie zadręczać się i martwić na zapas.

Jasne, jasne, ale skąd znaleźć na to siły? Jak zachować trzeźwość umysłu, kiedy wszystko wokół zamiast upraszczać, komplikuje się w postępie geometrycznym?

Przystanął, by strząsnąć z buta przyklejone do podszwy liście. Przy okazji zauważył, że kilka osób podąża za nim w stronę polany. Brudni, wycieńczeni i apatyczni. Niby żaden z nich nie wyglądał na ciężko rannego, ale

marna to pociecha. Odpowiadał za tych ludzi, a nie mógł im pomóc. Irytowało go to. Błądzili niczym dzieci we mgle, a przecież wylądowali w Gironie!

Girona. Eldorado. Eden. Właściwie nie powinien myśleć o Gironie, roztrząsać wciąż na nowo tego tematu, bo tylko coraz bardziej się przez to dołował.

Kierowali się ku polanie, która najwidoczniej jawiła im się czymś w rodzaju ziemi obiecanej. Artur poczuł, że żółć podchodzi mu do gardła. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał coś ustach. Chyba zjadł kilka ciastek podczas lotu. Ale kiedy to było? Jak długo już błąkali się po tym zielonym labiryncie?

Przejaśniało się zwolna. Która mogła być godzina?

Trzecia? Czwarta? Spojrzał na ekran komórki, którą dostał w prezencie na trzydzieste trzecie urodziny, lecz ten pozostał ciemny. Bateria musiała się rozładować...

Cóż, słońce też nie kwapiło się, by obdarzyć ich większą ilością światła. Czyżby wstąpiło w szeregi piątej kolumny mającej za zadanie uprzykrzyć im wszystkim żywot?

Pytania mnożyły się niby drobnoustroje w sprzyjającym środowisku, a w pobliżu nie było żadnej apteki, w której można by znaleźć na nie lekarstwo.

Zatrzymał się. Usłyszał za sobą ściszone głosy dziewczyn. Uśmiechnął się do nich, ale nie przyjęły tego z entuzjazmem. Agnieszka syknęła coś pod nosem, a Claudia schowała się za plecami Doriany. Ten z kolei spoglądał

na niego takim wzrokiem, jakby chciał go ukamienować.

O co im chodzi? Co to wszystko ma znaczyć? Czego od niego chcą?! Poczul wściekłość. Na siebie, na nich, na cały ten świat...

233

Wszystko przez tamtych skurwysynów, którzy napadli go, kiedy pijany wylał w knajpy. To oni go tak urządzili. Dostał w bańkę i coś mu się poprzewracało w głowie. Coś ważnego. Wiedział o tym. Ale co to właściwie; było? No właśnie — kiedy wydawało mu się, że lada chwila przypomni sobie, gdy wyjaśnienie pojawiało się na obrzeżach świadomości, tak blisko, że potrzeba było ledwie; ułamka sekundy, by je uchwycić, umykało niczym spłoszony zajęc. Miał ochotę się zemścić. Dorwać drani i wypruć im flaki. Powinni zapłacić za to, co mu zrobili. Jeśli jest na tym świecie jakaś sprawiedliwość, na pewno odpowiedzą za swoje skurwysyństwo!

Pod powiekami znów ujrzał tę ciemną, zatęchłą piwnicę. Owionął go smród miejskiego grobowca, w którym spuścili mu łomot.

Niech ich szlag trafi! Skurwiele...

Gdyby nie Dorian, marnie by skończył. Czy kiedykolwiek będzie mógł mu się odwdzięczyć?

Nacisk na czaszkę stawał się nie do wytrzymania.

Przyłożył dłoń do czoła. Było rozpalone. Rozmasował skronie, jednak poczuł tylko chwilową ulgę.

Źle ze mną, pomyślał. Ledwo ciągnę.

Spoza liści przeświecał nieco jaśniejszy krąg polany.

Przyspieszył. A potem wreszcie wyszedł spomiędzy drzew.

— Stąd nie ma wyjścia. Kręcimy się w kółko uważa Doriana zabrzmiała niczym wyrok, od którego nie przysługuje odwołanie.

Kolana ugięły się pod nim. Oklapł, jakby ktoś jednym szarpnięciem wyrwał z jego ciała kręgosłup. Powieki opadły na oczy, opatulając go ciepłą ciemnością.

* * *

Byku z nudów kierował snop światła raz w jedną, raz w drugą stronę, wyławiając z mroku figurę umieszczonego na nagrobnej płycie puciołowatego aniołka, który skojarzył mu się z rozwrzeszczanym bachorem jego siostry, po czym zgasił latarkę, mrużąc do Szkieletom:

— Powinna już tu być, do kurwy nędzy! Koczujemy w tych jebanych krzakach od dwóch godzin i nic!

— Zaraz będzie — odparł chudzielec. — Kosa nigdy nie nawala. Jak powiedział, że będzie, to będzie, jasne?

— Skąd wie, że akurat dzisiaj?

— Podobno wygadała się przyjaciółce, że wybiera się na cmentarz. Przyjedzie bez obstawy, na mur beton, zaplute zarzygane, więc skończ pierdolić! Chyba nie chcesz, żeby ktoś nas usłyszał?

Barbara Wrzecionowata była wdową po wziętym architekcie. Pech chciał, że pół roku wcześniej jej mąż kop-

nął w kalendarz. Zawał, ulubione zejście pracoholików.
Gościa pochowano z honorami na cmentarzu o wdzięcznej nazwie Miłostowo. Od tamtego momentu wierna jak pies żonka naginała na grób średnio raz na dwa tygodnie. Wariatka nie znosiła, a może raczej bała się tłumów, więc drałowała tam wieczorami, niemal w nocy. I zawsze sama, zostawiając obstawę przy murach cmentarza. Dla Szkieletora i jego kompadres była jak wypchana po brzegi świnka skarbonka. Pal licho portfel, ale za samą biżuterię, którą nosiła, za te wszystkie pierścionki, łańcuszki, bransoletki i wysadzone szlachetnymi kamieniami broszki mieli nadzieję zgarnąć przynajmniej po dziesięć koła na łebka.

Byku ścisnął w dłoni latarkę, klnąc pod nosem. Po dwóch godzinach przyczajki ścierpły mu nogi i łupało w krzyżu.

— Przeżywasz jak mrówka okres — zadrwił Szkieletor. — Zassij se jointa, to ci się polepszy.

— Jaja mnie swędzą.

— Może podrapać?

— Spierdalaj!

Ostatnio zawalili i Byku miał wątpliwości, czy Kosa aby na pewno wiedział, co mówi. Tydzień temu zamiast bogatego prawnika stłukli jakiegoś pieprzonego frajera, który podawał się za kapitana. Nie powinni ciągnąć go do piwnicy, gdzie ktoś mógł ich namierzyć. Omal nie

wpadli we własną pułapkę. Kurwa, a jeśli znowu zostali wpuśczeni w maliny? Co, jeśli ta stara okaże się biedną jak mysz kościelna wdową po jakimś portierze? Albo jebanym nauczycielu?

— Do chuja, musimy tu kiblować?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, chudzielec zapalił skuna. Płomień zapalniczki na moment oświetlił jego dziobatą twarz.

— Stul się. Działasz mi na nerwy.

— Czemu nie pukniemy jej na mieście? Przecież tak byłoby łatwiej!

— Ochrona, nie da rady. Ryba jest zbyt gruba, nie możemy ryzykować. To nadziana kurwa, kumasz?

— No oby. Od ostatniego mordobicia śnią mi się koszmary, że zdechnę z głodu!

— Nie pękaj. Tamto to była wtopa, ale tera nie ma mowy o pomyłce. Cii...

— Co?

— Zgaś, kurwa, latarkę! Ktoś idzie.

— Mam zgaszoną, czubku.

Rzeczywiście ktoś podążył cmentarną alejką. W pobliskich krzakach zachichotał Kosa. Słysząc było jak pociera z zadowoleniem ręce. Byku miał ochotę podejść do niego i palnąć w durny łeb, ale nie było już na to czasu.

— Na trzy wyskakujemy — zakomenderował cicho Szkieletor.

— Mam złe przeczucia. Słyszałeś o tej klątwie...

— Nie pierdol, dobra?

— Wpadniemy albo zdarzy się coś jeszcze gorszego.

— Zamknij się. Raz.

— Jezu...

— Dwa...

Byku pomyślał, że oleje to wszystko i zwieje, gdzie pieprz rośnie. Kiedy jednak jego kompan syknął: „trzy!”, razem z resztą ekipy wyskoczył z krzaków, napompowany adrenaliną i testosteronem. Chwilowe załamanie wyparowało jak rosa w upalny dzień. Wiedział, że musi wykonać robotę i zdobyć forszę.

Wrzecionowata nie zdążyła nawet pisnąć. Szkieletor wystrzelił zza krzaka w tym samym momencie co pozostali i to on zadał pierwszy cios. Jego pięść trafiła w szczękę wdowy, ogłuszając ją na dobre kilka sekund. Jakże cennych sekund. Kosa podciął jej nogi i kobieta, wymachując przeładowanymi pierścionkami rękoma, zwała się na glebę z głuchym łomotem. Usiadł ofierze na pierśsiach, wyjął z kieszeni spodni kawał płótna i zaczął wciśkać go do rozwartych do krzyku ust.

— Pośpieszcie się! — zarządził. Dopiero wtedy zauważył, że twarz Wrzecionowatej usłana jest bąblami. Były duże i pękały, bez wyraźnego powodu, same z siebie. Cuchnęły ropą. I gównem. Z krost tryskały fontanny żółtawej mazi, ale nie to było najgorsze. Z ran wyłaziły robaki. Czar-

ne, wijące się stonogi wgryzały się w policzki kobiety, po czym znikwały w jej ciele, by znów wypełznąć gdzie indziej.

Szkieletor wrzasnął.

— Pojebało cię? — warknął Byku. — Zamknij jadaczkę!

— Kurwa mać...

Robaków było coraz więcej. Mnożyły się, wypełzały z rękawów płaszcza wdowy, z włosów, z ust, z dziurek w nosie, z uszu... Wkrótce cała kobieta przekształciła się w jedno wielkie kłębowisko stonóg.

Szkieletor poderwał się na równe nogi. Z miejsca puścił pawia i padł na kolana, wprost w rozmemfaną pulpę rozpościerającą się przed jego stopami.

— Ożeż kurwa — powtórzył z błyskotliwą inteligencją kretyna. — Widzieliście to, chłopaki?

— Ciii... Słyszycie ten szum?

Kosa rozejrzała się nerwowo. Czyżby znowu miało się nie udać? — pomyślał. Szkieletor wstrzymał oddech, a Byku przeżegnał się. Powinni byli mnie posłuchać, jęknął w myślach. Kiedy mówiłem, że to wszystko źle się skończy...

Dźwięk, jaki dobiegał do ich uszu, napawał pierwotnym lękiem. Brzmiał jak pracujące na pełnym ciągu silniki odrzutowca, ale chyba...

Tymczasem dźwięk narastał i narastał, przechodząc w ogłuszające wycie. Za moment niebo zwali nam się na głowy, pomyślał Szkieletor. W jednej chwili zrozumiał, że to, co wydawało im się niemożliwe, nabrało całkiem re-

alnych kształtów. Nie mieli szans na ucieczkę. Najmniejszych. Spoglądając w panice w górę, Kosa zdołał jedynie cofnąć się kilka kroków, ale na nic to się zdało.

— O Jezu! — wydusił w nagłym przypiływie straconej przed laty wiary. — O kurwa jego Matko Przenajświętsza!

Pikujący ku nim śnieżnobiały Concorde wbił swój niedorzecznie długi dziób w ziemię niczym dzida przesywająca ciało zwierzyny. Wybuch rozerwał mężczyzn na setki, a może i tysiące kawałków.

Ostatnim, co usłyszeli, nim pochłonęła ich nienasycona ciemność, był jeden, dochodzący jakby zewsząd, a przy tym wypowiedziany dziwnie znajomym głosem, epitet:

— Skurwiele...

* *T *

Żarłoczny mrok wyssał z otoczenia nieomal całe światło. Wraz z ciemnościami nadpłynęły burzowe chmury, z których wkrótce posypały się koraliki deszczu. Szmer ocierających się o nie liści był jak szept pradawnej istoty — cichy i osobliwie pociągający.

Ziemia pod ich stopami wchłaniała wodę niczym gąbka, od której zresztą różniła się już tylko twardością. Skupisko drzew rozpoczynające się za polaną było tak wielkie, że bardziej przypominało puszcę niż podmiejski las.

Większość roślin na jego skraju przepoczwarzyła się w najbardziej pokraczne formy, jakie można sobie wyobrazić, oscylując między zwichrowanymi figurami geometryczny-

mi, wykwitami absurdalnych konstrukcji, aż po wycyzelowane do granic percepcji dzieła sztuki. Z punktu obserwacyjnego, który przezornie zajęli, wyglądało jednak na to, że sam rdzeń lasu nie poddał się deformacji.

— Chciałbym z tobą pogadać — powiedział, przysuwając się do Agi tak blisko, by nikt postronny nie usłyszał, o czym mówią.

— No to wal, śmiało. — Dziewczyna przebierała ostrzopalcami, szykując się chyba do wbicia ich w niewidzialnego wroga. Na jej twarzy pozostały jeszcze ślady dawnej urody, ale ziemista cera w połączeniu ze stale pojawiającymi się, pęczniejącymi i co rusz pękającymi sinymi wągrami sprawiła, że obecnie nikt przy zdrowych zmysłach nie określiłby jej mianem ładnej. Była

245

odpychająca. I sfrustrowana, bo nawet nie oglądając się w lustrze, doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

On zresztą też nie miałby szans na tytuł mistera Universum. Lewa i prawa ręka zamieniły się miejscami, zęby uległy przetasowaniu, układając się w dwa rzędy u góry i jeden, ostro przetrzebiony, u dołu. Haczykowaty, sępi nos nieomal sięgał podbródka, spod którego niczym przerośnięte ptasie wole wylewał się bąbel o konsystencji niewypieczonego ciasta, a upierzona głowa wydawała się o jakieś dwa rozmiary za duża w stosunku do reszty ciała. Można by jeszcze długo wyliczać odstęp-

stwa od ogólnie przyjętego kanonu urody, ale Dorian bynajmniej nie miał ochoty ich katalogować. Bo i po co? Tak jak pozostali był przemoczony do suchej nitki, przez co bez przerwy łapały go dreszcze.

— Na osobności.

Mina Agi świadczyła niezbitcie o tym, że nie ma ochoty na żadne spacerunki, więc Dorian dodał cicho, ale stanowczo:

— To ważne, skarbie. Proszę...

— Nie jestem, kurwa, niczym skarbem! — wrzasnęła.

— W porządku?

— Chodź... proszę.

— Daruj sobie takie gadki! — Mimo wszystko pokuśtykała ku rosnącym na obrzeżach polany krzewom dzikich jeżyn.

Przeszła kilkadziesiąt kroków z nieodstępującym jej Dorianem, by zatrzymać się przy płonącym krzaku, który pomimo padających na niego z sykiem kropel bynajmniej nie zamierzał zgasnąć. Żeby było śmieszniej, choć produkował wciąż nowe obłoki dymu, wcale się nie spalał.

— Zauważyłaś coś niezwykłego? — zagał Dorian.

— Od kilku godzin widzę same niezwykłe rzeczy, więc może być tak łaskawie sprecyzować? — Dziewczyna była w wojowniczym nastroju.

— Nie sądzisz, że Gałeczki jest jakiś dziwny?

— Nie. Tak. W sumie to nie wiem, czy to jest dziw-

ne, raczej normalne... On jeden w ogóle się nie zmienił.

Nadal jest taki, jaki był na początku lotu. O to ci chodzi?

— Oto!

— No i co? Co z tego, że mu się udało i że dalej wygląda jak człowiek? Może mamy go za karę nabić na pal? Albo poćwiartować?

— No, nie całkiem. Tyle że... to wszystko jego wina!

— wybuchnął Dorian. — Pamiętasz, wtedy, w kabinie, sam się do tego przyznał.

W kilku susach znalazł się koło nich jeden z pasażerów feralnego boeinga. Jego tyczkowate nogi miały po dwa metry długości, a osadzony na nich tułów był nie większy od główki kapusty. Facet, co dało się poznać po pewnym przerośniętym szczególnie anatomii, splunął, i nie zwracając najmniejszej uwagi na dyskutującą zażarcie parę, pomknął w las.

— Nie nadążam — westchnęła Agnieszka.

— Widzisz, wydaje mi się, że on ma pewne zdolności.

— Jakie zdolności?

— Że jest kimś w rodzaju anioła... — ciągnął Dorian.

— Co?

— To możliwe. Myślę, że jego zadaniem było pilnowanie naszej rzeczywistości. Całej. Od A do Z. I że tym właśnie się zajmował, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Przynajmniej do tej pory.

— Gadasz jak obłąkany, wiesz o tym, prawda?

— Dostał mocno w głowę. Pobili go, dość dotkliwie.

Zmienił się od tamtego momentu. Jego psychika mocno ucierpiała. Nie mam pojęcia, jak to wyjaśnić, bo to całym porąbane. Ale... wydaje mi się, że on...

Agnieszka westchnęła z rozdrażnieniem.

— Przypuśćmy, że coś jest na rzeczy. Dalej nie rozumiem, do czego pijesz...

— Póki z jego makówką było wszystko w porządku, kształtował świat dookoła siebie według swego widzi-mię, ale powiedzmy, że w strawnej formie. Najpewniej sam nie zdawał sobie sprawy z tego, że posiada ten dar. Że może cokolwiek zmieniać. Dopóki był zdrow...

— Dopóty robił to jak należy, tak? — weszła mu w słowo eks.

— Właśnie. I bezwiednie. A później, po tym jak te pierzone matoly spuściły mu łomot, stracił kontrolę nad swoją wyobraźnią. Pojechał po całości. Stąd ten cały bajzel.

— Więc?

— Trzeba coś z tym fantem zrobić.

— Co? Wykonać Gałęckiemu trepanację czaszki?

— Musimy go unieszkodliwić. Dla dobra nas wszystkich.

— Dobra? Gadasz jak reinkarnacja Hitlera. Nie mieszaj mnie w to wszystko, okej?

— Aga, rozejrzyj się! Wszyscy tkwimy w tym szambie po uszy! To, o czym mówię, to nasza jedyna szansa na po-

wrót do normalności.

— Według ciebie zabicie niewinnego człowieka ma być rozwiązaniem?

— Czy jest niewinny, czy nie, to teraz bez znaczenia.

Chyba widzisz, co się dzieje?

— Widzę, ciągle jeszcze mam oczy.

— No właśnie — prychnął. — Na razie masz... A jutro? Jak będzie wyglądało nasze jutro? Myślałaś o tym?

— Do jutra zostało sporo czasu.

— Pomóż mi, proszę, bez ciebie nie dam rady.

— Na litość boską, Dorik!

— Dostrzegam więcej niż ty czy ktokolwiek inny.

Myślę, że to wynika z tego, że uratowałem mu życie. Rozumiesz?

Agnieszka pokręciła głową.

— Niczego, kurwa, nie rozumiem.

Franciszek i Krzysztof od lat pracowali w konkurencyjnych sieciach taksówkarskich. Teraz, po tym jak za sprawą niesamowitego zrzędzenia losu zespolili się ze swoimi maszynami, ich odwieczna wrogość, zamiast zmaleć, nabrała jeszcze rumieńców. Kiedy więc spotkali się na czymś, co kiedyś było skrzyżowaniem, a obecnie bardziej przypominało zbiegające się promieniście marsjańskie kanały, dali upust swym negatywnym emocjom. Najpierw przez kwadrans trąbili na siebie, by jeden drugiemu ustąpił pierwszeństwa przejazdu, a kiedy nie przyniosło to

efektu, przystąpili do werbalizacji swoich poglądów.

— Trrrytrytry żżżżżyyyfooooddźdźdźiiiiiejuuu! —

zawarczała swym silnikiem hybryda czarnego bmw z brzuchatym wąsaczem, która do poprzedniego dnia była Krzysztofem i odpicowanym jak szczur na otwarcie zsypu narzędziem jego zarobkowania.

Stwór miał zapewne na myśli będący tajemnicą poliszynela fakt, że jego adwersarz od dawien dawna używał przerobionego licznika, dzięki czemu z powodzeniem wyłudzał od swoich pasażerów podwyższone opłaty za kurs.

249

— Krzyrzychuuu, ttrytrytry rzyrzęcuchuchuuu! — odparował złośliwie mikś A trójki z łysym jegomościem w ewidentnie poprodukcyjnym wieku. Tablica rejestracyjna nad jego zderzakiem zaklekotała w wyrazie jawnej pogardy. — Jedźdźdźdźże nna zyzyzzłom! Trrtram twywyyyje mmmiejijiszcze!

— Szszszam jedźdźdź!

— Urrrrrwywywać czzzii luuszyszysy... sssteryrko-oo? — odgryzł się Franciszkoidalny bolid, a może raczej atrójkowy Franciszek, czując że jeszcze chwila, a z nerwów zagotuje mu się płyn chłodzący. Scalone z osłonami przeciwsłonecznymi okulary na jego nosie zasły mgiełką, a podświetlone wskaźniki tablicy rozdzielczej mrugały wściekle.

Ta niepozabawiona uroku pogawędka trwałaby zapew-

ne do późnej nocy, gdyby nie interwencja policyjnego volkswagena passata, który rękami swej umundurowanej części wlepił awanturnikom mandaty za bezzasadne wstrzymywanie ruchu.

Tymczasem kilka przecznic dalej miks kulawego motocyklisty i motoru wybrał się na łowy. Przemierzając okolicę w obłoku spalin i okowach czarnej skóry, która rozrosła się ze skafandra stykającego się z siedziskiem, rozglądał się czujnie, wypatrując czegokolwiek zdatnego do jedzenia. Nagle zza zakrętu wyłoniła się stacja benzynowa, mając go obietnicą sutego posiłku. Skuternoga przyssał się do dystrybutora, zatankował do pełna, kopnął rozrusznik i wielce zadowolony odjechał bez płacenia.

Nie on pierwszy, choć może ostatni.

* * *

Cmentarne płyty nagrobne, spoczywające dotąd bez ruchu na terenie nekropolii, ze stoickim spokojem znoszące częste ulewy i słoneczną spiekotę, nagle podniosły się w dawno odwiekanym buncie, wypiętrzyły, by w ten sposób zaświadczyć o tym, że świat nie tylko żywych, ale i umarłych wywraca się na lewą stronę.

Zwłoki, które spoczęły w cmentarnej ziemi, odprowadzane przez tłumy żałobników, wracały oto na arenę, by siać grozę i zniszczenie.

Łup, łup, łup — kroki nadciągającej armii umarła-

ków niosły się po okolicy złowrogim echem. Menażeria stworów rodem z przedsionków piekła parła przed siebie dużo wolniej niż tsunami, lecz równie skutecznie, zagarniając i włączając w swe szeregi kolejnych nieszczęśników, którzy stanęli jej na drodze.

Pierwszym, który dostał się tego zaszczytu, był grabarz Daniel, z racji pewnych dolegliwości zwany przez znajomych Trzęsawką. Poprzedniego wieczoru spożył całkiem pokaźną dawkę dobrego, bo taniego wina, więc jego zwyczaj zygzakowaty chód tego dnia przypominał raczej nieudolne i desperackie próby niż wykształconą przez lata umiejętność.

Żeby nie było niedomówień — z obrzmiałą gębą, kaprawymi ślepiami i rozdygotanymi niczym paralityk rękoma, nie dość, że nie prezentował się zbyt korzystnie, to jeszcze na dobrą sprawę nie różnił się szczególnie od swoich nowych pobratymców.

Na widok zbliżającego się z rozłożonymi ramionami monstrum orzekł krótko:

— Kurwa jego w mordę jebana mać!

Grabarz zastygł, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, a tymczasem obrzydliwy stwór, który wyglądał, jakby urwał się z teledysku Michaela Jacksona, gnał w jego stronę, a za nim kolejne maskary. Postać na czele miała zdeformowaną twarz: dwie pary wielkich szarych oczu bez źrenic i powiek, skrzywiony nos, nie z dwiema,

a z czterema dziurkami, wreszcie wysuszone i spękane usta, osadzone nieprawdopodobnie nisko, w miejscu, gdzie normalni ludzie mają podbródek.

Trzęsawka zatrząsł się. Wyjątkowo nie był to wynik przepicia, a strachu, bowiem te wstrętne zombie właśnie go zauważyły. Z pleców jednego z nich wystawała płyta nagrobna. Była niczym wrośnięta w ciało. Grabarz dokładnie widział widniejące na niej imię właściciela, co niestety w żaden sposób nie pomagało w zrozumieniu jego intencji.

— Co do... Co... — mamrotał. — Co jest, kurwa?

Dystans, jaki dzielił go od tych potworów, drastycznie malał. Jeszcze piętnaście, dziesięć metrów... I wpadnie w ich łapska!

Widział kiedyś, dawno temu, gdy był jeszcze uczniakiem, reprodukcję obrazu, na którym gęsiego maszerowali zdeformowani potępieńcy. Malunek spodobał mu się, bo był kolorowy, dziwny i na swój sposób zabawny. Nie pamiętał już okoliczności, w jakich oglądał wspomniany wytwór sztuki, ale w tej chwili czuł się, jakby pokonał barierę rzeczywistości i wtargnął do tego właśnie obrazu. Utkwił w nim niczym lotka w tarczy — pozbawiony wszelkiej nadziei na to, że wróci do swej zapuszczonej kawalerki i w spokoju napije się wódeczki.

Nie... Nie!

Dwa monstra zmierzały ku niemu. Jedno miało prawie

trzy metry wzrostu i pokrywała je warstwa jakiegoś żółtawego płynu. Drugie było niewiele mniejsze, ale nieco mniej paskudne. O ile trójnoga istotę z resztkami nagrobego wazonu na tylnej głowie można nazwać mniej paskudną. Co się stało z tymi umarlakami? — tak brzmiało ostatnie pytanie, jakie zadał sobie Trzęsawka, zanim dotarło do niego, że to naprawdę koniec, że pyta o samego siebie.

Wtedy jednak zdarzył się cud. Gdy zombie zbliżyły się do niego niemal na splunięcie, ten pierwszy nagle zawrócił. Po prostu odwrócił się jak gdyby nigdy nic i pognął w stronę cmentarnej bramy. Zaraz za nim podążył jego kompan. Grabarz nie potrafił pojąć dlaczego...

Dopóki nie spojrział na swoje dłonie.

Obie górne kończyny zespalala gruba niczym dywan błona. Od łokci po nadgarstki tworzyły jedną żylastą odnogę, zwieńczoną wielkim jak u orła szponem. Półmetrowej długości pazur był tak ostry, że z powodzeniem można by rozplatać nim brzuch słońowi. Widok porażał i przerażał. Trzęsawka zadławił się własnym wrzaskiem i sterczał oniemiały, gotując się na najgorsze. Widok tego, co do niedawna było jego rękoma, paradoksalnie przypominał mu o istnieniu Stwórcy.

— Proszę, Boże, przebacz, proszę, przebacz, proszę, przebacz...

Był taki jak oni. Był taki ja...

Przestał myśleć.

A z grobowców usytuowanych w starszej części cmentarza wychynęły na powierzchnię kolejne maskary...

* * *

Jarek kurczowo trzymał się obręczy umocowanej pod sufitem wagonu, starając się stłumić narastające mdłości.

Trzęsło tak straszliwie, że był nieomal pewien, iż tramwaj za moment się wykolei albo — co bardziej prawdopodobne — rozleci na części składowe.

— Pogięto pana?! — wrzasnął ktoś do zabarykadowanego w swej kabinie motorniczego, ale na nic to się nie zdało. Przecinak nie zwolnił, wręcz przeciwnie, przyspieszał coraz bardziej. Kiedy minął przystanek, Jarek uzmysłowił sobie, że najwyższa pora, by uznać się za martwego.

Pojazd kołysał się niczym statek na sztormowych falach. Ludzie piszczeli, wrzeszczeli i przeklinali ze strachu. Siedzący pasażerowie pochylili głowy, jakby znajdowali się na pokładzie awaryjnie lądującego samolotu, a reszta kucała w nadziei, że w chwili zderzenia będą w stanie zamortyzować jego siłę.

On też przykucnął.

Dobrze chociaż, że to nie godziny szczytu, pomyślał.

W tym samym momencie maszyna weszła w kolejny zakręt. Jarek zachwiał się i z rozpędu grzmotnął barkiem w najbliższy fotel.

— Cholera! — zawył, bezwładnie waląc się na podłogę.

Tymczasem tramwaj wydał z siebie przeraźliwe zgrzytanie, jakby nagle nie toczył się już po szynach, lecz po jezdni. I tak w istocie było. Wypadł z szyn na zakręcie i obrał kurs na zderzenie z Akademią Medyczną. Szyby trzęsły się delirycznie, a wagony ryczały jak obdzierane ze skóry zwierzęta. Pantografy wygięły się i oderwały od maszyny. Spod podwozia wylatywały jakieś metalowe części, rozbijając zaparkowane w pobliżu samochody i niszcząc witryny sklepów.

Pojazd wyraźnie zwalniał, jednak Jarek wątpił, by zdołał zatrzymać się przed staranowaniem budynku.

Kątem oka dostrzegł wykrzywioną lękiem twarz zgrabnej brunetki, która pólżąc w niezbyt eleganckiej pozie, usiłowała zachować równowagę i życie. Posłała mu przypadkowe spojrzenie, po czym zamrugła, jakby licząc na to, że w ten sposób wyrwie się z okowów wchłaniającego ich koszmaru. Pomyślał, że jest bardzo ładna i że zapewne ma chłopaka. Pomyślał też, że gdyby mógł, przeleciałby ją. Ot, takie ostatnie życzenie skazańca.

Wtem wszystko ucichło.

Podniósł wzrok. Zorientował się ze zdziwieniem, że maszyna jednak nie uderzyła w budynek Akademii. Zatrzymała się niecały metr od niego.

Mamy farta, pomyślał. Zerknął na dziewczynę...

Zamarł.

Przez moment walczył z pokusą, by uznać to, co wi-

dzi za zwykle omamy, lecz im dłużej na nią patrzył, tym prawda stawała się coraz bardziej oczywista.

Z oblicza brunetki odpłynęły kolory, jakby stearynowa biel była jej drugą naturą, a ona sama niczym woskowa figura zaczęła się topić. Usłyszał skwierczenie i syk jak podczas akcji gaśniczej. Głowa nieznajomej straciła kontury, następnie dosłownie rozpadła się na kawałki, zmieniając się w czerwono-różowo-popielatą papkę. Zaraz potem rozpląnęły się ramiona dziewczyny, tułów i wreszcie nogi. Wszystko to trwało pięć, może dziesięć sekund. Pozostali pasażerowie z oszołomieniem pędzonej na rzeź trzody chlewnej wpatrywali się w kleistą pozostałość po bezimiennej ofierze.

Wkrótce w całym wagonie dało się słyszeć ten syk, tą dziwną uwerturę do jego własnej śmierci. Ludzie rozpuszczali się jak świece na urodzinowym torcie, które jubilat zapomniał zdmuchnąć. Tyle że nieporównanie szybciej.

Jarek miał nadzieję, że to sen i że za sekundę się obudzi. Ale się nie obudził. Nawet wtedy, gdy tramwaj wziął przykład ze swoich pasażerów, niknąc w oczach, a on wciąż tylko patrzył.

W końcu usłyszał skwierczenie własnego ciała, po czym zapadła ciemność. Ostatnia myśl, jaka zrodziła się pod sklepieniem jego czaszki, była taka, że może po drugiej stronie ją spotka... I przeleci.

* * *

Wiekowe drzewa pochylały się nad nimi tak nisko, jakby lada chwila miały się złamać, ale nic takiego nie nastąpiło. Trwały dzielnie na posterunku, uginając się pod niewyobrażalnym ciężarem i konkurując ze sobą o miano największego z dziwolągów. Żadne ptaki nie nawoływały się, żadne gryznie nie chowały się wśród listowia. Las sprawiałby wrażenie kompletnie wymarłego, gdyby nie dobiegające z różnych stron skrzypienie konarów...

Agnieszka z melancholią wpatrywała się w pozbawiony wszelkiego owłosienia kadłub, w który przekształciła się szczuplejsza ze stewardes. To coś, ze zgiętymi w pałąk plecami i odstającymi niczym ciernie ramionami, wbrew wszystkiemu nie chciało zniknąć. Wbrew logice, zdrowemu rozsądkowi.

Na szczęście siąpiący od godziny deszcz ustawał, wypierany przez kulę księżycą rozświetlającą wokół srebrzysty blask.

Przypomniała sobie, jak na początku studiów, niedługo przed poznaniem Dorianą, zdecydowała się na operację kosmetyczną. Niby nic wielkiego — chodziło o korektę nieco krzywego nosa, ale... Gdyby wtedy wiedziała, ile ten zabieg będzie kosztował ją bólu i jak długo będzie później przesiadywała w domu, wstydząc się pokazać z bandażem na spuchniętej twarzy, wówczas pewnie podjęłaby inną decyzję.

A teraz okazało się, że cierpiała na darmo. Od wczoraj wyglądała jak jakaś kwintesencja porażki!

We wszystkim trzeba szukać plusów — powtarzała jej babcia. Przynajmniej do czasu, gdy rak płuc nie zmusił jej do przedwczesnej przeprowadzki na łono Abrahama. Ale czy w wydarzeniach ostatnich dwóch dni było cokolwiek pozytywnego? Choć maleńkie ziarenko sensu, z którego mógłby później wykiełkować sens przez duże S?

Wątpliwe.

Wokół ogniska przycupnęło kilkunastu ludzi. Choć czy aby na pewno? Czy zasługiwali jeszcze na to miano? Część miała na sobie resztki odzienia, inni byli nadzy.

Dwójka z nich przemieniła się w larwy — różowo-białe, z nieomal ludzkimi głowami, tyle że kompletnie pozbawionymi włosów, oczu i uszu. Nos zastąpiły dwie niewielkie dziury, trzecia, nieco większa, pojawiła się w miejscu ust. Ślepe i głuche poczwary mamrotały coś niezrozumiale, początkowo wywołując w Agnieszce irytację, która w miarę upływu czasu przerodziła się w narastającą żądzę mordy.

Jedna z kobiet, której twarz praktycznie nie uległa zmianie, została obarczona przeźroczystym niczym szkło korpusem, pęczniejącym i malejącym zgodnie z rytmem pracy jej pływającego w wodnistych tkankach serca. Na plecach nosiła coś w rodzaju pancerza, nogi stały się krótsze, a z palców wyrastały mięsiste kwiaty, które wię-

dły wydzielając z siebie przyprawiający o mdłości smród.

Kiwała się w przód i w tył, daremnie prosząc, by ktoś uwolnił ją od tego ciężaru, jakim stało się jej życie.

Agnieszka odwróciła wzrok, jednak dalej słyszała to przyprawiające o gęsią skórkę zawodzenie.

— Kep... pipi... teenie — wybełkotał stwór, w którym ledwie dało się rozpoznać dziarskiego sześćdziesięcioletka, w samolocie siedzącego ledwie dwa rzędy za nią.

— Ciii pss... ssij... dzieee... po neesss pom... pom... ooo... czczcz...?

Zagadnięty milczał, zaabsorbowany jakimiś fantasmagorycznymi krajobrazami czy może wizją raj, niedostępną reszcie zgromadzonych. Słyszac pytanie, powiódł wokół nieobecny wzrokiem, i kiedy już myśleli, że się nie odezwie, wyszeptał głośnym, teatralnym szeptem:

— Nie wiem, musimy wierzyć, że o nas nie zapomnieli.

Gdyby mógł, Dorian sam by go ukatrupił. Własnymi rękoma. Niestety, zdawał sobie sprawę z tego, że jest to absolutnie niemożliwe. Nie dość, że Gałeczki nie dopuściłby go do siebie wystarczająco blisko, to na dodatek, po kolejnej metamorfozie, Dorian stracił chwytnie dłonie na rzecz czegoś, co w innych okolicznościach można by wziąć za nieco przerośnięte padalce. Były ruchliwe. Żyły własnym życiem.

Dławiące poczucie bezsilności doskwierało mu co-

raz bardziej. Było nawet gorsze od uporczywego bólu nienaturalnie przemieszczonych zębów.

Agnieszka walczyła sama z sobą. Z jednej strony sama myśl, że może kogoś uśmiercić, wydawała się czymś kompletnie pozbawionym racji bytu, ba, czymś absurdalnym, z drugiej jednak z absolutnie niemożliwymi rzeczami stykała się już od paru dni, a przecież istniały... I choć na ogół były ledwie efemerydami, które ulegały dalszej transmutacji, nikt nie mógł odmówić im zakotwiczenia w bezsensownej, ale przecież rzeczywistości. Co gorsza, raz uruchomiony projektor wyobraźni rzucał na ekrany jej powiek wciąż nowe wizje ekstremalnych przemian, zakłętę kręgu deformacji, w którym pasażerowie boeinga kotłowali się niczym brudne ubrania w bębnie pralki. A ona, ze szczypcami zamiast palców, gadzią fizjonomią i bulwami czyraków na całym ciele, tkwiła w tym szambie razem z nimi...

Czyżby wszystkie jej nadzieje obróciły się wniwecz?

Czy na zawsze przepadły? A może jedynie osunęły się w mrok, skąd przy odrobinie szczęścia można je wydobyć?

A co, jeśli Dorik ma rację? Jeśli za tym samonapędzającym się horrorem stoi Gałeccki? W końcu argumenty, jakie za tym przemawiały, brzmiały prawdopodobnie, nie wydawały się wysane z palca... Co wtedy? Skoro kapitan naprawdę może dowolnie wpływać na kształty i naturę otoczenia, czy nie znaczy to, że jest wszechmocny?

Przyglądała mu się ukradkiem, próbując z rysów twarzy wyczytać odpowiedź. Niestety, nic to nie dało. Przechesała włosy palcami, podniosła się i bez słowa odeszła poza krąg światła rzucanego przez płomień ogniska.

Obserwujący ją spod spuchniętych powiek Dorian tylko na to czekał. Wstał powoli, jakby wysiłek włożony w ten ruch był szczytem jego możliwości, po czym niby to przypadkiem poczłapał za nią. Tym razem spotkali się pod rozłożystym dębem, który przybrał postać podziurawionego jak rzeszoto knajpianego parasola, zrzędzeniem fortuny nieoznaczonego logo żadnego z browarów.

— Słuchaj — zaczęła bez wstępów Agnieszka. —

A jeśli kapitan jest Bogiem...

Nie zważając na niezamierzony komizm sytuacji, chłopak pociągnął swym monstrualnym nosem. Czuł, że jeszcze chwila, a kompletnie się rozklei. To wszystko — ten cały lot, koszmarnie lądowanie, konstelacja mutacji i potwory — było stanowczo ponad jego siły.

— Masz łzy w oczach, Dorik.

— Bo... mam już dość tego całego obłądu, szarpaniny...

— Poczekaj jeszcze trochę z tym uzalaniem się nad sobą. — Aga chciała szturchnąć go w bok, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że mogłaby w ten sposób wyrządzić mu krzywdę i tylko machnęła ręką. — Co, jeśli Gałęcki jest Bogiem? Razem z jego śmiercią cały świat ulegnie zagładzie.

— Co ty wygadujesz? — Chłopak nerwowo uderzał jedną padalcowatą dłonią o drugą. Przy każdym ich zetknięciu rozlegało się młaśnięcie. — Czy on wygląda na Boga? A nawet jeśli by nim był, to nie uda nam się go zabić. W końcu Bóg jest nieśmiertelny, no nie?

— Niby tak...

— Ale nie sądzę, żeby był prawdziwym Bogiem. Bo czy wtedy dopuściłby do czegoś takiego?

— Więc kim właściwie jest?

— Czy to ma znaczenie?! Może przerośniętym wirusem albo kosmitą? Zastanów się, dziewczyno! Czy naprawdę chcesz do końca życia unikać swego odbicia w kałuży?

— zmytygował się, widząc, że trafił w czuły punkt Agi. —
Wybacz. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Sama nie wiedziała, co gorsze, co budziło w niej większą odrazę — szpaler monstrualnie zdeformowanych drzew czy szkaradne stwory, które urządziły sobie pod nimi piknik. W głowie brzęczało jej od pytań, zupełnie tak, jakby były rojem objających się o siebie metalowych kulek. Niby rozważała wszystkie za i przeciw, ale wciąż nie wyzbyła się wątpliwości.

Gorąco, zimno. Natłok myśli, kołowrót wspomnień bezlitośnie atakował jej komórki nerwowe, a za ich pośrednictwem udręczony mózg.

Obrazy nakładały się na siebie w niemożliwym do

zidentyfikowania algorytmie, odbierając nadzieję na rozwikłanie zagadki, z uporem dążąc do uczynienia z niej bezwolnej marionetki, manekina na wystawie cudów świata... Przepchnij swoje lęki przez moje otwarte oczy, tak brzmiały słowa piosenki, tej piosenki, która zazwyczaj pomagała Agnieszce uwolnić się z oplatających ją macek depresji. Teraz, wypływając na powierzchnię świadomości, przypominały skrojone na jej miarę wybrakowane memento moń.

Co powinna uczynić?

Zastanawiała się nad tym bez końca... I z każdym drobnym kroczkiem była coraz bliżej kapitana, który w sobie tylko znanym celu grzebał patykiem w popiołach ogniska, kreśląc tajemne znaki. Spisywał testament?

Górując nad zalegającymi na polanie maskarami, w swej zabrudzonej koszuli pilota wydawał się postacią z innej bajki, kimś kompletnie nie na miejscu, kimś zdolnym osuszać bagna i wytyczać bieg rzek.

Dorian obchodził Gałęckiego z drugiej strony, pokazując jej na migi, że jest z nią, że w razie czego wkroczy do akcji.

— Mam coś specjalnie dla ciebie — powiedziała, niepewna, czy zdobędzie się na to, co zaplanowała.

— Co? — kapitan tyknął na nią spode łba, wietrząc podstęp. O ile to w ogóle możliwe, spochmurniał jeszcze bardziej. Cóż, po tym jak ostatnio był traktowany przez

Doriana i jego lubą, nie spodziewał się po nich niczego dobrego.

— Możesz to nazwać prezentem, choć chyba ci się nie spodoba.

— Lubię prezenty — wyznał Artur, odrzucając kij.

Agnieszka nie odpowiedziała. Daskoczyła do kapitana, objęła go jedną ręką, by drugą, tą wyposażoną w ostrza, przeciągnąć płynnym ruchem po jego szyi. Skóra poddała się z taką łatwością, jakby czekała na umówiony sygnał. Struga krwi chlusnęła z rozciętej tętnicy niczym surrealistyczny krawat. Jednak to wszystko działo się naprawdę.

Po minie Artura widać było, że jeszcze nie pojmuje, co się stało. Padł na kolana, z tłącym się w oczach bezbrzeżnym żalem. Przecież nikomu nic złego nie zrobił, przynajmniej nie specjalnie. Więc dlaczego?

Purpurowe rozbryzgi układały się wśród pieniającej się dziko trawy w niezbyt przekonujący deseń. A ziemia?

Nieomal westchnęła z ulgą, po czym jej szklistobura powierzchnia nabrała chropowatości, wypuszczając z siebie uwięzione dotąd pędy roślin.

I wtedy...

Działo się tyle rzeczy naraz, że Dorian miał wrażenie, iż jeszcze chwila, a dostanie oczopląsu. Zgraja straszylet, która jeszcze przed momentem mogłaby spędzić sen z powiek najzagorzalszemu miłośnikowi grozy, w ułam-

ku sekundy na powrót stała się zbieraniną zmęczonych pasażerów.

Agnieszka pozwoliła ciału pilota swobodnie opaść na rosnącą jak na drożdżach trawę. Ani na moment nie spojrzała na jego tężejące oblicze. Zamiast tego skupiła wzrok na płaczącym w najlepsze dziecku. Tym samym, które jeszcze przed kilkoma minutami było wielką napompowaną piłką, pod której skórą kłębiły się żyły, krew i tłuszcz. Teraz dzieciak — drobny, zapłakany, całkiem ludzki — pełznął na czworakach ku matce. Ta, niedowierzając własnym oczom, najpierw rozejrzała się wokół, a dopiero potem dopadła do maleństwa. Tuliła je do siebie, zanosząc się płaczem bezbrzeżnej ulgi. Pewnie nawet nie zadawała sobie pytania o to, gdzie podział się stwór, który ich pożarł? Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia. Gigantyczna dżdżownica zniknęła.

Oswobodzeni pasażerowie spoglądali po sobie z minami świadczącymi o kompletnym pomieszaniu. Można by uznać, że są pacjentami psychiatryka, którzy po latach niespodziewanie wyszli na wolność.

Agnieszka zerknęła na swoje dłonie.

Na widok długich, wypielęgowanych paznokci w kolorze bordo wstrzymała oddech. Wróciły, pomyślała. Naprawdę wróciły.

Potrząsnęła głową, aby upewnić się, że to wszystko nie jest majakiem. Nie było. Dorian przykucnął nad ka-

pitanem, opuszczając mu powieki na oczy. Cóż, wyglądało na to, że pomimo wszystko jej byłego chłopaka i tego pilota zaczynała łączyć przyjacielska nić. Nić, którą definitywnie przecięła.

Musiała, po prostu musiała. Patrząc na to, co się wokół dzieje, nie miała wątpliwości, że postąpiła właściwie.

Ktoś przeszedł obok niej. Mężczyzna. Wysoki.

Nie wiedziała, jak ma na imię, ale był to ten sam facet, którego brat został rozszarpany przez zmutowanego majora.

Głogowski spojrzał na nią, po czym kiwnął głową w niemym pozdrowieniu. Nagle jego oblicze rozpozodziło się. Zaciekawiona odwróciła się, by sprawdzić, co wywołało w nim tak wielką radość.

Spomiędzy drzew wyłonił się właśnie jego zamordowany brat. Cały, emanujący wręcz zadowoleniem, jakby jego śmierć była kiepskim żartem, niczym więcej. W następnej chwili rzucili się sobie w ramiona. Trwali tak przez dobrą minutę albo i dłużej. Agnieszka patrzyła, jak się obściskują, jak szepczą coś do siebie. Zupełnie jak spóźnieni kochankowie, przyznała, ciesząc się z tego widoku. Zrobiło jej się ciepłej na sercu.

Widząc, że przywrócono im normalny wygląd, pasażerowie boeinga wybuchali śmiechem, niczym cieszące się dzieci.

— Udało nam się — szepnął Dorian, układając dło-

nie Gałęckiego na jego piersi. Wyprostował się, podszedł do Agnieszki i dodał pokrzepiająco: — Odwaliłaś kawał zajebistej roboty.

Najwyraźniej Dorian pomyślał, że wraz z ostatnim oddechem kapitana świat powrócił na swe dotychczasowe tory. Niebo, ziemia, roślinność — wszystko odzyskało przynależne im kolory, kształty i zapachy.

Agnieszka uśmiechnęła się.

— Miałaś rację — powiedziała, przyciskając go mocno do siebie. — Dzięki Bogu, nie myliłaś się.

Pomimo wszystkiego, co musiała przeżyć, znalazła siłę, aby znów się uśmiechnąć. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Starła się nie analizować postępu, którego się dopuściła, choć wiedziała, że jeszcze długo będzie ją męczył, torturował na jawie i w koszmarach sennych.

Zabiła. Kimkolwiek był Gałęcki, zabiła go. Ciężko zgrzeszyła przeciwko piątemu przykazaniu.

284

Nie miała jednak zamiaru teraz o tym myśleć. Trzeba było wydostać się z lasu. Znaleźć pomoc. Wrócić do domu.

Zakaszła, odwróciła się i raz jeszcze, dla pewności, spojrzała na tych kilku pasażerów, którzy byli w pobliżu.

Bez wątpienia byli ludźmi.

Będzie dobrze, dobrze, dobrze, powtarzała sobie ci-

chutko, aby nie usłyszał jej Dorian. Będzie dobrze.

Dorian...

Muszą poważnie porozmawiać. Niedługo.

Chyba ostatnio niezbyt dobrze go traktowała. Nie powinna była być taka opryskliwa wobec niego. Nie zastryżyla sobie na to. Chciał dla niej jak najlepiej, to oczywiste.

— Dorik? — zwróciła się do niego.

Macał się po czaszce, jakby dopiero co odkrył, że włosy stanowią naturalny atrybut ludzkiej głowy.

— Są. Takie jak dawniej... — oznajmił z dumą. — Wiesz?

— Widzę.

— Już zaczynałem tracić nadzieję...

— Dorian?

— No?

— Kocham cię, wiesz?

— Co? — wlepił w nią barani wzrok, który mógłby wskazywać na to, że wraz z powrotem poprzedniego owłosienia pogorszył mu się słuch.

Mniejsza z tym. Nawet gdyby naprawdę tak było, nie wpłynęłoby na to, co do niego czuła. Ani na jej postanowienie. Tak, najwyższa pora się ustatkować. Lepszej okazji już nie będzie. Napisze w końcu tę cholerną pracę magisterską, obroni się, skoncentruje na tym, co ważne.

Znajdzie pracę i...

Wyjdzie za Dorianą, urodzi mu syna, pomoże zbudo-

wać dom...

Pocałowała go. Najpierw w policzek, a potem w usta, pozwalając, by ich języki na nowo odkrywały zapomniane przyjemności. Pieściła jego kark, wodząc opuszkami palców od płatków uszu aż po szyję, uświadamiając sobie w przebłysku rozbrajającej szczerości, że tego właśnie brakowało jej najbardziej. Dotyku, zapachu Doriana, jego kłującego zarostu, silnych ramion.

Patrząc na nich, można było odnieść wrażenie, że za moment kolorowe fajerwerki na niebie ułożą się w olbrzymi napis — happy end, że wkrótce wszyscy zagubieni odnajdą swą drogę na prawdziwe lotnisko, wsiądą do samolotów, by już bez żadnych przeszkód odlecieć czy pojechać, każdy tam, gdzie sobie zaplanował. A ostatnie godziny pozostaną ledwie wspomnieniem, niezbyt jasnym, trudnym czy wręcz niemożliwym do opowiedzenia, ale tylko wspomnieniem, które od czasu do czasu, coraz rzadziej i rzadziej, będzie ich nawiedzać, pozostawiając w obliczu pytań bez odpowiedzi.

W tym galimatiasie wielkiego finału i ogólnej radości z początku trudno było dostrzec pierwsze oznaki nadciągającej zagłady. Dorian w euforii okrywał swą byłą i najwyraźniej obecną dziewczynę pocałunkami, gdy coś kazało mu zerknąć w bok.

I wtedy to zobaczył. Drzewo, pod którym stali... Jego kora wygładzała się, liście odpadały, rozptywając się

w powietrzu jak topniejące płatki śniegu.

Puścił Agnieszkę, by przyjrzeć się temu niezwykłemu zjawisku.

Dostrzegł majora Dąbczaka. Tego prawdziwego majora Dąbczaka, bez wypychających mu usta piranich zębów i grafitowej skóry. Spoglądali na siebie przez chwilę, poważnie, bez uśmiechu.

Gałęzie drzew usychały i odpadały od nich, przybierając postać srebrzystych, niezapisanych karteczek. Zdeformowane kolumny pni falowały, jakby przygotowując się do zmiany stanu skupienia, po czym znikały, wsysane przez marszczące się i bulgoczące jamy w ogołoconej z wszelkiej roślinności ziemi. Ludzie wyparowywali w ułamkach sekund, niczym dane wymazywane z komputera. Nasycające otoczenie barwy bladej, biorąc niechlubny przykład z blaknącej kalkomanii. Z tym, że robiły to szybciej, znacznie szybciej. Wszystko wokół zlewało się w szarawe smugi, zupełnie tak, jakby nadal lecieli samolotem, który stale przyspieszał. A może tak właśnie było? — Majorze — jęknął, ale nikt mu nie odpowiedział.

Dąbczak rozpułnął się w powietrzu z gracją ducha. Czyżby uciekł? Gdzieś w oddali zaszumiały liście w koronach ostatnich drzew. Potem zaległa cisza.

Kątem oka wychwycił umykające wrażenie ruchu.

Spojrzał pod nogi. Brunatnozielona ściółka wypłowiwała, zastąpiona przez wodnistą, brejowatą magmę. To nie mo-

gło działać się naprawdę, ale najwyraźniej się działało...

Przez mózg przetaczały mu się różne sformułowania,

zwroty, wyrwane z kontekstu zlepki wyrażeń: deszcz

dreszcze dygot anie błędy błęd nik o mamy umysł zgryzo ty równo ległe żywoty za tarte kamienne tabli...

Zacisnął mocno szczękę, by nie szczękać zębami.

Tak, właśnie słowa na początku formowały świat,

a teraz świat, stając się jedynie anonimowym zbiorem ka-

drów, wypranych z charakteru i treści, kształtował jego

umysł, krystalizując go w niezdolną do myślenia bryłę.

Wiatr wiał coraz silniej.

Obrócił się wokół własnej osi, nie widząc niczego aż

po cienki, biały horyzont.

Próbował coś powiedzieć, ale na próżno. Nie było już

do kogo.

Konsultacja techniczna:

Mirosław Rzeźnicki

Specjalne podziękowania dla

kmdr. ppor. rez. pil. Bogusława Gwozdeckiego